

Poniewski:
KOIPOL – projekt ludzi nauki

Kaczmarek:
Lista czasopism to nie wszystko

Wiszewski:
Komu zależy na jakości nauki?

FORUM AKADEMICKIE

Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Nr 3/2026

PL ISSN 1233-0930 22 zł (VAT 8%)

**Doskonały
IDUB?**

Marciniak i in.:
Poznańska Szkoła Archeologiczna

Olszak:
Konsolidacja i policentryczność

Skrycki:
Język barokowych map



Fot. Mateusz Wolski

30^{lat}
KOPIPOL[®]

30 lat Stowarzyszenia „KOPIPOL”



INFORMACJE I KOMENTARZE

Wydarzenia	2	Akademickie przyzwyczajenia	48
Nie potrzebujemy ministerialnej listy czasopism punktowanych	7	– Zbigniew Drozdowicz	
– Emilia Kaczmarek		W stronę metafotografii	
Nauka bez honorariów?	9	– rozmowa z dr. hab. Igozem Omuleckim,	
– Wojciech Czakon		kierownikiem Katedry Fotografii ASz w Szczecinie	51
Niedoskonała doskonałość	10		
– Mariusz Karwowski			
Al olenia Instytut Farmakologii PAN	12		
– Andrzej Piłc			
Otrząśnijmy się z chocholego tańca	14		
– Przemysław Wiszewski			
AZS najbardziej utytułowany	16		
– Robert Zakrzewski			
Wyśrubowali rezultaty	17		
– Robert Zakrzewski			
Nagrodzono najlepsze uczelniane projekty promocyjne	18		
Wydaj książkę z Wydawnictwem FRSE	29		
– artykuł sponsorowany			
Gdzie rodzi się doskonałość?	47		
– Katarzyna Świerk			

ROZMOWA FORUM

KOPIPOL od początku był dziełem wspólnym	20		
– rozmowa z prof. dr. hab. inż. Mieczysławem Poniewskim			

ŻYCIE NAUKOWE

Czy IDUB jest doskonały?	24		
– Piotr Kieraciński			
Poznańska Szkoła Archeologiczna	30		
– Arkadiusz Marciniak, Michał Pawleta, Włodzimierz Rączkowski			
Opowieść o ideach	34		
Konsolidacja nie zastąpi reformy	35		
– Celina Olszak			
Z archiwum nieuczciwości naukowej (221)			
Z doktoratu do monografii profesorskiej	39		
– Marek Wroński			

ŻYCIE AKADEMICKIE

Od zera do PRom	44		
– Anna Kiryłow-Radzka			
PRom – założyciele	46		
– Ewa Saperko			
PRom – to już dwie dekady...	46		
– Marek Zimnak			

Z LABORATORIÓW

Cesarski Geograf	57		
– Radosław Skrycki			
Medal dla poety	62		
– Monika Miazek-Męczyńska			

W STRONĘ HISTORII

Generał-major profesor Bolesław Szarecki (1874–1960)	66		
– Lubow Żwanko, Dmytro Kibkało			
Portrety nauki polskiej	70		
Profesor od wszy			
– Marcelina Smużewska			

OKOLICE NAUKI

Książki

Globalizacja i prorozwojowe impulsy	76		
– Andrzej K. Koźmiński			
Ghost in the machine	77		
– Marek Misiak			
„Supermoc Japonia”	77		
– Małgorzata Pawełczyk			
Viva la revolution	78		
– Jacek Hnidiuk			
Ewolucja przez współpracę	78		
– Anna Jawor			
Wielokulturowa metropolia	79		
– Weronika Zuzanna Jabłońska			
Jak pomalować ściany?	79		
– Juliusz Gałkowski			

FELIETON

Rozmowy o języku

Siły i zamiary	80		
– Krzysztof Goczyła			
Projekt okładki			
– Sławomir Makal			



Ogólnopolski miesięcznik środowisk akademickich

Rok XXXIII Nr 3 (388) Marzec 2026

Adres redakcji: 20-601 LUBLIN, ul. Tomasza Zana 38, tel. 81 528 08 22, e-mail: redakcja@forumakademickie.pl, <http://www.forumakademickie.pl>. **Rada Patronacka:** prof. dr hab. Wiesław Baniś, prof. dr hab. Katarzyna Chałasińska-Macukow, prof. dr hab. Andrzej Elias, prof. dr hab. Jarosław Górniak, prof. dr hab. inż. Andrzej Jajszczyk, prof. dr hab. inż. Jan Szmidt, prof. dr hab. inż. Jerzy Woźnicki – przewodniczący. **Redaguje zespół:** Piotr Kieraciński – dział informacji, redaktor naczelny (kieracinski@forumakademickie.pl), Mariusz Karwowski – informacje, media elektroniczne (karwowski@forumakademickie.pl), Marek Remiszewski – sekretarz redakcji (remiszewski@forumakademickie.pl). **Stała współpraca:** Stefan Ciechan (fotograf), Paweł Kaniuk (DTP, www.web-graf.pl), Sławomir Makal (grafika), Marek Wroński (Marekwro@gmail.com), Aneta Zawadzka. **Promocja, kolportaż, konferencje:** reklama@forumakademickie.pl), Ewa Kostowska (kostowska@forumakademickie.pl). **Wydawca:** Fundacja Forum Akademickie, ul. Tomasza Zana 38 a, 20-601 LUBLIN. Prezes Zarządu: Piotr Kieraciński. **Druk:** Akapit Intro Sp. z o.o. © Wszelkie prawa zastrzeżone. Informacje dla autorów: <https://forumakademickie.pl/dla-autorow/>. Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, a także zastrzega sobie prawo do skracania i opracowywania artykułów oraz zmiany ich tytułów. Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. **Prenumerata:** Zamówienia należy składać na adres redakcji. Konto: PEKAO S.A. 21124054971111001061654371. Prenumerata roczna dla instytucji 230 zł. Prenumerata roczna indywidualna 166 zł. e-mail: prenumerata@forumakademickie.pl. PL ISSN 1233-0930

Doktorat h.c. – prof. Andrzej Dziech

KIELCE Wybitny specjalista w zakresie telekomunikacji cyfrowej, kodowania oraz przetwarzania sygnałów i obrazów, został doktorem honoris causa Politechniki Świętokrzyskiej. Jest 23 osobą wyróżnioną przez



tę uczelnię najwyższą godnością akademicką. Tytuł przyznano za jego wizjonerstwo i wkład w rozwój nowoczesnych technologii, w tym telekomunikacji cyfrowej. Prof. Dziech należy do grona światowej klasy specjalistów w dziedzinie telekomunikacji cyfrowej. W 1995 roku rozpoczął pracę w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie, której pozostał wierny do dziś. Efektem realizowanych przez niego projektów były m.in.: innowacyjna wyszukiwarka do wykrywania treści pedofilskich; szybki system wyszukiwania akt sądowych; prototyp systemu nawigacji dla osób niewidomych i słabowidzących; system ochrony treści multimedialnych i zabezpieczenia przed manipulacjami; system map dynamicznych dla usprawnienia ruchu pojazdów oraz monitorowania, wykrywania i archiwizacji zagrożeń w środowiskach miejskich; system optymalizacji prędkości na drogach z uwzględnieniem dynamicznego zarządzania ruchem; inteligentne znaki drogowe do adaptacyjnego sterowania ruchem drogowym; system inteligentnego monitoringu wykrywający zagrożenia i niebezpieczne narzędzia; robot internetowy służący do pobierania i identyfikacji obrazów; system diagnostyki chorób na bazie obrazów OCT dna oka z zastosowaniem AI.

Nowy dyrektor IPPT PAN

WARSZAWA Prof. Janusz Szczepański, dotychczasowy zastępca dyrektora ds. naukowych, stanął na czele Instytutu Podstawowych Problemów Techniki PAN. Zastąpił prof. Tadeusza Burczyńskiego, który kierował placówką od 2013 roku. Nowy dyrektor jest związany z IPPT PAN od 1984 roku. Jego badania istotnie poszerzyły wiedzę na temat efektywności transmisji informacji w sieciach neuronalnych, różnic między kodowaniem czasowym i częstotściowym oraz wpływu korelacji i szumu na komunikację neuronalną. Równolegle rozwijał pionierskie prace z kryptografii opartej na chaosie, współtworząc nowe metody



konstrukcji bezpiecznych szyfrów i S-boxów oraz wprowadzając pojęcie dyskretnej wykładnika Lapunowa. Jest autorem prac, które trwale weszły do kanonu badań nad złożonością Lempela-Ziva oraz analizą sygnałów neuronalnych. IPPT PAN został założony w 1953 roku. Jednostka prowadzi wysokiej jakości badania w zakresie zaawansowanych problemów współczesnej mechaniki, inżynierii materiałowej, elektroniki, inżynierii biomedycznej, informatyki i nauk obliczeniowych. Instytut zatrudnia 319 pracowników, w tym 48 profesorów. To jeden z największych instytutów nauk technicznych PAN.

Zoolog z UW z EMBO Installation Grant

WARSZAWA Dr Ludwik Gąsiorowski z Instytutu Biologii Ewolucyjnej na Wydziale Biologii Uniwersytetu Warszawskiego otrzymał Installation

Grant przyznany przez Europejską Organizację Biologii Molekularnej. Dzięki niemu polski zoolog stworzy swoje laboratorium, w którym podejmie badania nad mikroskopijnymi płazińcami. Jak tłumaczy „Forum Akademickie”, wśród badaczy zwierząt istnieje przekonanie, że ewolucja mikroskopijnych rozmiarów ciała wiąże się z jego morfologicznym uproszczeniem, które pociąga za sobą utratę licznych genów stojących się zbędnymi z rozwojowego punktu widzenia. Zgodnie z tą koncepcją mikroskopijne zwierzęta powinny być prosto zbudowane i mieć zredukowane genomy. W konsekwencji miniaturyzacja uważana jest za nieodwracalny, jednokierunkowy proces ewolucyjny, w którym morfologiczna i genetyczna złożoność jest bezpowrotnie tracona. – O ile jest to prawdą w przypadku niektórych grup zwierząt (np. pierścienic czy mięczaków), o tyle wśród płazińców widzimy odwrotny trend – w ich ewolucji, po początkowej miniaturyzacji ciała i redukcji genomu, doszło do kilkakrotnego pojawienia się form życiowych charakteryzujących się dużymi rozmiarami ciała. W swoich badaniach chcę zrozumieć, co takiego niezwykłego jest w mikroskopijnych płazińcach na poziomie genomu, biologii rozwoju i organizacji ciała, że umożliwiło im to ucieczkę z jednokierunkowej ewolucyjnej pułapki miniaturyzacji – wyjaśnia zoolog z UW, specjalizujący się w biologii rozwoju i ewolucji niemodelowych gatunków bezkręgowców. Jest 38 naukowcem z Polski, który otrzymał EMBO IG. Laureaci dostają po 50 tys. euro rocznie na okres 5 lat.



Polacy z grantami Wildlife Acoustics

BIAŁYSTOK Dwoje badaczy z Uniwersytetu w Białymstoku oraz Uniwersytetu Jagiellońskiego znalazło się wśród 15 laureatów Wildlife Acoustics Scientific Product Grant. W jego ramach otrzymali wsparcie sprzętowe w postaci rejestratorów, które umożliwią przeprowadzenie zaawansowanych analiz bioakustycznych. Dr Dominika Winiarska z Katedry Zoologii i Genetyki Wydziału Biologii UwB otrzymała 10 rejestratorów Song Meter Micro 2. Prace badawcze rozpoczną się wiosną w dolinie Narwi i Supraśli. Projekt ma na celu zbadanie, czy pasywny monitoring akustyczny może stać się wiarygodną alternatywą dla obserwacji terenowych w siedliskach lęgowych ptaków siewkowych. Rejestratory będą nagrywać głosy gatunków takich jak czajka, kszysk, krwawodziób czy rycyk przez cały sezon lęgowy, pozwalając uchwycić dobowe i sezonowe wzorce wokalizacji. Z kolei dr Nikhil Modak z Zakładu Anatomii Porównawczej w Instytucie Zoologii i Badań Biomedycznych Wydziału Biologii UJ otrzymał 20 rejestratorów, dzięki którym zbada zmienną dynamikę populacji żab *Pelophylax* w stawach rybnych w pobliżu Krakowa, ze szczególnym uwzględnieniem żab *P. ridibundus*, *P. lessonae* i ich mieszańca *P. esculentus*. Tradycyjne metody monitoringu nie pozwalają na szczegółowe poznanie interakcji tych gatunków, szczególnie w sezonie lęgowym. Dzięki zastosowaniu pasywnego monitoringu akustycznego w dziewięciu lokalizacjach zostaną zidentyfikowane odgłosy specyficzne dla danego gatunku, co pozwoli na śledzenie czasowych zmian w tej populacji. To pierwsze w Polsce badanie, w którym pasywny monitoring akustyczny zostanie wykorzystany w badaniach żab.



Nowa prezes ABM

WARSZAWA Dr hab. n. med. i n. o zdr. Anna Kowalczyk została oficjalnie powołana na stanowisko prezesa Agencji Badań Medycznych. Zastąpiła prof. Wojciecha Fendlera, który pod koniec stycznia złożył rezygnację z piastowanej od maja 2024 roku funkcji. Kowalczyk to doświadczona ekspertka systemu ochrony zdrowia i farmacji. Ukończyła studia na Warszawskim Uniwersytecie



Fot. ABM

Medycyną oraz studia podyplomowe z zakresu zarządzania na Uniwersytecie Warszawskim. Na tej drugiej uczelni ukończyła również program Executive Master of Business Administration (EMBA). Przebywała na stażu w amerykańskim Narodowym Centrum Badań Produktów Naturalnych oraz na University of Mississippi. W ostatnim czasie zajmowała stanowisko wiceprezesa Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji (od 2024), przez pięć lat była też dyrektorką Narodowego Instytutu Leków (2017–2022). Jest czwartą osobą na stanowisku prezesa ABM od momentu powołania tej instytucji w 2019 roku (wcześniej: Piotr Czaderna, Radosław Sierpiński, Wojciech Fendler).

Nowa przewodnicząca RMN

WARSZAWA Dr Milena Kowalska z Katedry Finansów Przedsiębiorstwa i Finansów Publicznych na Wydziale Ekonomii i Finansów Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu została nową przewodniczącą Rady Młodych Naukowców. Oprócz niej w IX kadencji, która potrwa do lutego 2028 roku, skład tego gremium doradczego ministra nauki tworzą:



Fot. UJEW

dr Mateusz Barta (Akademia Sztuk Teatralnych im. S. Wyspiańskiego w Krakowie Filia we Wrocławiu), dr Agnieszka Bieniek (Instytut Zootechniki – Państwowy Instytut Badawczy), Jan Bińkowski (Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie), dr Klaudia Jeznach (Uniwersytet Łódzki), mgr Hubert Kasprzak (Instytut Immunologii i Terapii Doświadczalnej Polskiej Akademii Nauk we Wrocławiu), dr Sylwia Klińska-Bąchor (Uniwersytet Gdański), dr Patrycja Kurowska (Uniwersytet Jagielloński), dr Malwina Marciniak (Akademia Muzyczna im. Feliksa Nowowiejskiego w Bydgoszczy), mgr Anna Nieczaj (Politechnika Rzeszowska im. Ignacego Łukasiewicza), dr Bartosz Nieścior (Szkoła Główna Handlowa w Warszawie), dr inż. Marta Nycz (Uniwersytet Zielonogórski), Kacper Rosner-Leszczynski (Uniwersytet Wrocławski), dr Hubert Szczerba (Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie).

Uphageny dla badaczek z UG

GDAŃSK Badaczki z Uniwersytetu Gdańskiego zostały laureatkami Nagród Miasta Gdańska dla Młodych Naukowców im. Jana Uphagena. To najważniejsze na Pomorzu wyróżnienie dla badaczki znajdujących się na początkowym etapie kariery naukowej.



Fot. Grzegorz Mehrling

W obszarze nauk przyrodniczych i ścisłych doceniono dr Esterę Rintz za wkład w badania nad leczeniem genetycznych chorób rzadkich i chorób neurodegeneracyjnych wieku dziecięcego, głównie schorzeń z grupy mukopolisacharydoz (MPS). Laureatka jest adiunktką w Pracowni Terapii Molekularnych działającej w ramach Katedry Biologii Molekularnej Wydziału Biologii UG. Z kolei w kategorii nauk humanistycznych i społecznych nagrodzono dr Beate Chmiel za badania nad rozwojem współczesnych miast, w szczególności zrównoważonym rozwojem, jakością życia mieszkańców oraz mobilnością miejską. Jest adiunktką w Katedrze Logistyki Wydziału Ekonomicznego UG.

Oddział PAN w Warszawie ma prezesa

WARSZAWA Prof. Leszek Kaczmarek, kierownik Pracowni Neurobiologii Molekularnej i Komórkowej w Instytucie Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN oraz lider Centrum Doskonałości w zakresie neu-



Fot. PAN

roplastyczności i chorób mózgu BRAINCITY, został wybrany na prezesa nowego, warszawskiego oddziału Polskiej Akademii Nauk. Dziewiąty oddział w strukturze PAN powstał pod koniec ubiegłego roku i liczy obecnie 140 członków. Dołączył do placówek w Gdańsku, Katowicach, Krakowie, Lublinie, Łodzi, Olsztynie, Poznaniu i Wrocławiu. Jak podkreśla prof. Marek Konarzewski, prezes PAN, oddział nie będzie konkurencją dla istniejących ośrodków regionalnych, lecz koniecznym wzmocnieniem głosu Akademii w stolicy, gdzie mieszka i pracuje około 40% członków PAN. Będzie też platformą do integracji i wspólnych działań członków PAN, pracowników instytutów PAN, członków Towarzystwa Naukowego Warszawskiego oraz innych towarzystw naukowych działających w województwie mazowieckim. Pozwoli także zacieśnić kontakty z Konferencją Rektorów Uczelni Warszawskich oraz włączyć się w prace Rady Naukowej m.st. Warszawy. Może być także zapleczem eksperckim dla władz samorządowych.

Potrójny sukces Uniwersytetu SWPS

WARSZAWA Uniwersytet SWPS zdobył główne nagrody w aż trzech kategoriach w tegorocznym konkursie Genius Universitatis. Inicjatywa promuje najbardziej kreatywne i skuteczne działania komunikacyjne polskich uczelni. Laureatów wyłoniono w siedmiu kategoriach. Uniwersytet SWPS wygrał w kategorii Bran-



Fot. Perspektywy

ded Content za kampanię „Dezinformacja. Sprawdź, zanim uwierzysz!”. Okazał się też najlepszy w kategorii Genius AD za kampanię „Nie studiuj dla dyplomu”. Zespół social mediów USWPS otrzymał także jedną z nagród specjalnych – Genius Stars. Druga z nagród specjalnych – Genius Hero – trafiła do mgr Anny Chmury, kierowniczki Działu Promocji Politechniki Krakowskiej. Nagrodzono także Politechnikę Wrocławską i Politechnikę Warszawską (Event), Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu (Film promocyjny), Politechnikę Lubelską (Reklama prasowa), Collegium Da Vinci i Uniwersytet Jagielloński (Gadżet), Politechnikę Bydgoską (Kampania w mediach społecznościowych). Do tegorocznej edycji zgłoszono 136 projektów przygotowanych przez 38 uczelni (oraz 3 wydziały).

Wręczono nagrody w konkursach FRSE

WARSZAWA W auli Gmachu Fizyki Politechniki Warszawskiej wręczono nagrody w konkursach FRSE. W konkursie EDUinspiracje 2025 w kategorii „Wyrównywanie szans” doceniono Politechnikę Łódzką za projekt „Virtual reality



Fot. FRSE

for anxiety and mental stress reduction in university students". Kluczowym rezultatem była aplikacja VR do redukcji lęku i stresu, oparta na scenariuszach psychologicznych. Nagrodę specjalną za Prezydencję Polski w Radzie UE odebrała dr hab. Patrycja Matusz, prorektorka ds. umiędzynarodowienia Uniwersytetu Wrocławskiego. W konkursie EDUinspirator 2025 zwyciężyła dr inż. Dorota Piotrowska, dyrektorka (od 2017 r.) Centrum Współpracy Międzynarodowej Politechniki Łódzkiej. W konkursie Młody EDUinspirator 2025 nagrodę otrzymała Katarzyna Szwarz, absolwentka italianistyki i studentka UMCS w Lublinie na kierunkach migracje i mobilność (studia magisterskie) oraz stosunki międzynarodowe (studia licencjackie). W konkursie EDUinspiracje Media 2025 laury trafiły również do przedstawicieli środowiska akademickiego. W kategorii „Wywiad” wygrała Hanna Kość z Radia Akadera Politechniki Białostockiej. Z kolei w kategorii „Materiał SoMe” zwyciężyła Katarzyna Bochniak za „Dzień z życia studentki medycyny”.

Nagroda Kopernika Ekonomisty

GRUDZIĄDZ Prof. Marian Gorynia z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu, obecny prezes Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego, został laureatem Nagrody Kopernika Ekonomisty. Doceniono jego badania nad konkurencyjnością przedsiębiorstw i gospodarek oraz procesami



Fot. UEP

internacjonalizacji, a także wkład w rozwój teorii i praktyki zarządzania. Istotne znaczenie miała również jego działalność dydaktyczna i organizacyjna, dzięki której kolejne pokolenia ekonomistów mogły rozwijać swoją wiedzę i kompetencje. W swojej pracy badawczej prof. Gorynia podejmuje kompleksową analizę strategii inwestorów zagranicznych operujących na rynku polskim oraz uwarunkowań sukcesu polskich firm podczas ekspansji na rynki międzynarodowe. Ważne miejsce w jego dorobku zajmuje problematyka mezoekonomii oraz ewaluacja skuteczności polityki gospodarczej ukierunkowanej na wspieranie przewag konkurencyjnych kraju i poszczególnych branż. Laureat był rektorem UEP w latach 2008–2016.

Leśni kardiologzy

KRAKÓW Naukowcy z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie i Czeskiej Akademii Nauk w ramach wspólnego projektu badawczego monitorują wzrost drzew z dokładnością do mikrometra – i to co pół godziny. Połączenie Internetu Rzeczy z teledetekcją satelitarną ma dać odpowiedź na pytanie, jak lasy Europy Środkowej radzą sobie z suszą i ociepleniem klimatu. Monitoring obejmuje 20 powierzchni badawczych na terenie całego kraju. W tym roku będzie rozbudowany o kolejne 9

powierzchni. Każda z nich wyposażona jest w stację pomiarową rejestrującą w czasie rzeczywistym temperaturę i wilgotność powietrza, temperaturę, wilgotność i potencjał wodny gleby oraz, co najważniejsze, przyrost grubości pnia z rozdzielczością jednego mikrometra. Dane są co 12 godzin automatycznie przysyłane do chmury, co oznacza, że po zainstalowaniu urządzeń nie trzeba wracać w teren – las sam „raportuje” swój stan. Polska sieć pomiarowa została zintegrowana z istniejącą czeską infrastrukturą DendroNetwork. W sumie naukowcy w sposób ciągły monitorują 231 drzew – 96 sosen i 135 świerków – na 77 powierzchniach rozciągających się od północy Polski do południowych Czech. To największa tego typu sieć w Europie. Wyniki mogą mieć kluczowe znaczenie dla leśnictwa. Wiedza o dynamice wzrostu lasów jest niezbędna do oszacowania ich zdolności do pochłaniania dwutlenku węgla, oceny



Fot. UJEK

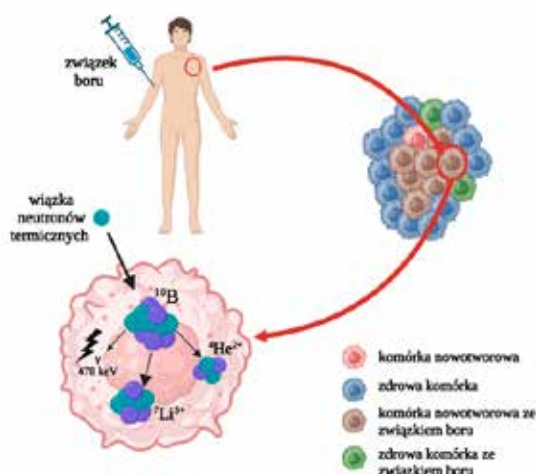
zasobów węgla w ekosystemach lądowych oraz przewidywania ryzyka zamierania drzewostanów.

UJ liderem w zgłoszeniach do EPO

MONACHIUM Polska zajmuje 12 miejsce w Unii Europejskiej pod względem zgłoszeń wynalazków do Europejskiego Urzędu Patentowego. Duży w tym udział mają uczelnie, które w czołówce naszych wnioskodawców zajmują połowę miejsc. Najwięcej aplikacji pochodziło w ub.r. z Uniwersytetu Jagiellońskiego (12). Ponadto w TOP 10 znalazły się: Gdański Uniwersytet Medyczny (9), Uniwersytet Warszawski (8), Politechnika Warszawska (8), Akademia Górniczo-Hutnicza (6). Sześć zgłoszeń patentowych wysłał też Instytut Fizjologii i Patologii Słuchu. Branżą, w której złożono najwięcej zgłoszeń z Polski, była farmacja (44 wnioski, +51,7% w porównaniu z 2024 r.). Największy wzrost liczby zgłoszeń odnotowano w takich dziedzinach, jak: maszyny, aparatura i energia elektryczna (+38,7%), transport, w tym motoryzacja (+45,8%) oraz biotechnologia (+25,9%). Polskie przedsiębiorstwa, uczelnie i wynalazcy złożyli w sumie 621 wniosków patentowych, co stanowi spadek o 10,3% r/r. Po raz pierwszy w historii liczba wszystkich zgłoszeń do EPO przekroczyła 200 tys. i osiągnęła poziom 201 974 (+1,4%). Najwięcej wniosków pochodziło ze Stanów Zjednoczonych, Niemiec, Chin, Japonii i Republiki Korei.

Nowa polska instalacja neutronowa

ŚWIERK W Narodowym Centrum Badań Jądrowych uruchamiana jest nowa infrastruktura umożliwiająca napromienianie wiązką neutronów termicznych w reaktorze badawczym MARIA. To ważny krok w kierunku rozwoju innowacyjnej terapii borowo-neutronowej, która pozwala niszczyć komórki nowotworowe w sposób bardziej precyzyjny, chroniąc przy tym komórki zdrowe. Uznawana jest za jedną z najbardziej obiecujących metod leczenia trudnych i opornych nowotworów. W terapii tej pacjent otrzymuje związek zawierający bor, który gromadzi się w komórkach guza. Następnie na zmienione chorobowo miejsce kierowana jest wiązka neutronów. W wyniku reakcji wychwytu neutronu przez jądro stabilnego boru-10, a następnie rozpadu powstałego jądra na wysokoenergetyczną cząstkę alfa oraz jądro litu-7 dochodzi do zniszczenia komórek nowotworowych przy jednoczesnym minimalnym uszkodzeniu otaczających tkanek. Instalacja została zaprojektowana tak, aby umożliwić uzyskanie wiązki neutronów o różnych zakresach energii oraz



zapewnić bezpieczny dostęp do stanowiska badawczego w czasie pracy reaktora. Nowe stanowisko będzie wykorzystywane także do badań nad wpływem promieniowania na materiały, testów biologicznych czy opracowywania metod pomiaru dawki promieniowania. Nowa infrastruktura w reaktorze MARIA może w przyszłości przełożyć się na dostęp pacjentów do bardziej precyzyjnych terapii onkologicznych.

Jaka depresja po zakończeniu gry?

WARSZAWA Badacze z Uniwersytetu SWPS i Akademii Nauk Stosowanych Stefana Batorego przyjrzeni się zjawisku pustki towarzyszącej ukończeniu angażującej gry komputerowej. Istworzyli pierwszą na świecie skalę mierzenia „depresji po zakończeniu gry” (Post-Game Depression, P-GD). Naukowcy przeprowadzili dwa badania, w których wzięło łącznie udział 373 graczy sięgających po m.in. gry akcji, strategiczne, narracyjne i fabularne. Wykazały one, że intensywność P-GD jest powiązana z silniejszymi objawami ogólnej depresji i niższym dobrostanem. Z badań wynika, że na „depresję po grze” najbardziej narażeni są fani gier fabularnych (RPG). To właśnie w tych tytułach gracze mają przez swoje decyzje największy wpływ na rozwój postaci i budują z nimi najsilniejsze więzi. Zgodnie z przewidywaniami, potwierdziło się, że osoby, które zazwyczaj mają skłonność do ruminacji, czyli powracających myśli, mogą ich również doświadczać w kontekście grania (i kończenia) gier wideo. A zatem skłonność do rozmyślenia może być uznana za czynnik ryzyka w doświadczaniu intensywnego P-GD. Wyniki mogą pomóc lepiej zrozumieć doświadczenia graczy, a także być użyteczne w procesie projektowania gier.

„Cyfrowe Oscary”

WARSZAWA Podczas Forum Gospodarczego TIME ogłoszono zdobywców nagrody Digital Shapers 2025, która nazywana jest w środowisku technologicznym „cyfrowym Oscarem”. Otrzymują ją osoby o wyjątkowej odwadze, wizji i determinacji, które wyznaczają kierunki rozwoju technologicznego, promują kompetencje przyszłości oraz tworzą rozwiązania konkurujące na rynkach międzynarodowych. Wśród laureatów znaleźli się przedstawiciele środowiska akademickiego. Prof. Agnieszka Dobrzyń, dyrektorka Instytutu Biologii Doświadczalnej im. M. Nenckiego PAN, została nagrodzona za stworzenie przełomowego sensora PreT2D do wczesnej diagnostyki cukrzycy typu 2.



Prof. Piotr Garstecki z Instytutu Chemii Fizycznej PAN otrzymał nagrodę za Bacteromic, spółkę i system diagnostyczny z Grupy Scope Fluidics, który

wszedł w fazę komercjalizacji technologii wspierającej walkę z antybiotykoodpornością. Tytuł przyznano też prof. Piotrowi Sankowskiemu, dyrektrowi Instytutu Badawczego IDEAS, za łączenie od lat świata nauki, technologii i gospodarki oraz pokazywanie, jak AI może stać się fundamentem konkurencyjności państw i firm. Prof. Włodzisława Dutka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu nagrodzono za trwającą dekadę wizjonerską pracę nad integracją neurokognitywistyki ze sztuczną inteligencją, która w 2025 roku stała się fundamentem dla rozwoju systemów AI o wysokim stopniu interpretowalności i empatii poznawczej.

Noblista stara się o polskie obywatelstwo

WARSZAWA Prof. Victor Ambros, laureat Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny z 2024 roku, stara się o przywrócenie polskiego obywatelstwa. Jego ojciec był Polakiem, w czasie drugiej wojny światowej deportowanym jako robotnik przymusowy do III Rzeszy. Longin Bogdan Ambros urodził się we wsi Dordziński na Wileńszczyźnie (pow. oszmiański) w 1923 roku. Był synem Wiktora i Małgorzaty z domu Pawłowskiej. Jako robotnik przymusowy pracował od 27 maja 1942 r. w Hesji (niem. Hessen), od 4 czerwca 1942 roku w Steinheim am Main/Offenbach, następnie przebywał w Dudenhoffen. Swobodnie operował czterema językami i łaciną, więc po wyzwoleniu został tłumaczem w armii USA. W 1946 roku wyemigrował do Stanów Zjednoczonych, gdzie założył rodzinę. Został spadochroniarzem, miał na swoim koncie ponad 100 skoków. W 1953 roku nadano mu amerykańskie obywatelstwo. Zmarł w wieku 90 lat w marcu 2014 roku. Jego syn Victor Ambros urodził się 1 grudnia 1953 roku w Hanover, w stanie New Hampshire (USA). Karierę akademicką zaczynał na Harvard University, by następnie przenieść się do Dartmouth College. Od 2008 roku związany jest z University of Massachusetts Medical School. Nobla otrzymał za przełomowe odkrycie mikroRNA i jego kluczowej roli w regulacji genów po transkrypcji oraz rozwoju organizmów wielokomórkowych. W lutym ub.r. został przewodniczącym Rady Naukowej Międzynarodowego Instytutu Mechanizmów i Maszyn Molekularnych IMol PAN.



Fot. IMol

Program Badań Kosmicznych

WARSZAWA Około 2,4 mld zł wyniosą w ciągu najbliższej dekady nakłady na Program Badań Kosmicznych Sieci Badawczej Łukasiewicz. Dzięki podejściu dual-use pozwoli on na wykorzystanie cywilnych technologii w obronności. Program ma wzmocnić



Fot. Łukasiewicz

kompetencje Polski w sektorze kosmicznym i zwiększyć naszą suwerenność w dostępie do kluczowych technologii kosmicznych. Jego celem jest uzyskanie przez Polskę samodzielności technologicznej do wynoszenia satelitów o masach 100–200 kg na niską orbitę ziemską. Program ma się składać z kilkudziesięciu projektów badawczych zaplanowanych do 2035 roku. W ramach programu rozwijane będą m.in.: mobilne systemy wynoszenia satelitów na niską orbitę, zastosowania sztucznej intelligen-

cji i analizy danych w systemach kosmicznych, zaawansowane materiały, w tym ultraczarne powłoki obniżające wykrywalność, technologie napędów i serwisowania satelitów na orbicie. Program konsoliduje zasoby 22 instytutów Łukasiewicza, a jego koordynatorem jest Łukasiewicz – Instytut Lotnictwa (Łukasiewicz – ILOT).

Polka z Planet Earth Award

BIĄŁOWIEŻA Dr hab. Katarzyna Nowak z Instytutu Biologii Ssaków PAN została laureatką Planet Earth Award przyznawanej przez Alliance of World Scientists, niezależną organizację zrzeszającą naukowców, której misją jest nagłaśnianie problemów środowiskowych i ekologicznych oraz wzywanie do działań na rzecz ochrony naszej planety. To pierwsze takie wyróżnienie dla Polski. Dr hab. Katarzyna Nowak, liderka Grupy ds. Ochrony Bioróżnorodności w Instytucie Biologii Ssaków PAN, z białowieską placówką związana jest od kwietnia ubiegłego roku. Wcześniej pracowała na Uniwersytecie Warszawskim. W swoich badaniach koncentruje się na ochronie różnorodności biologicznej, ekologii dużych ssaków oraz społeczno-ekologicznych wymiarach ochrony przyrody. Jej działalność łączy naukę, politykę środowiskową i zaangażowanie społeczne. – Jest wzorem w podejściu do ochrony przyrody opartej na wiedzy naukowej i polityce inkluzywności. Jej działalność, prowadzona na wielu kontynentach, łączy ochronę środowiska z kształtowaniem polityk publicznych, zaangażowaniem spo-



łecznym oraz działaniami na rzecz praw człowieka. Dbą również o to, by działania na rzecz środowiska opierały się na rzetelnych dowodach oraz uwzględniały ich konsekwencje społeczne – powiedział o polskiej laureatce William J. Ripple, dyrektor Alliance of World Scientists.

Lwy PR w akademii

WARSZAWA Rzeczniczka prasowa Uniwersytetu Warszawskiego dr Anna Modzelewska oraz medioznawca i badacz komunikacji społecznej dr Dominik Lewiński z Uniwersytetu Wrocławskiego zostali uhonorowani Lwami PR. Konkurs Polskiego Stowarzyszenia Public Relations ma na celu docenienie osiągnięć w branży public relations. Laureatów wyłoniono w 5 kategoriach.



Wśród nominowanych było pięcioro ekspertów ze świata akademickiego. Ostatecznie statuetki trafiły do dwojga z nich. W kategorii „Rzecznik prasowy/Rzeczniczka prasowa” uhonorowano dr Annę Modzelewską za wyjątkowe osiągnięcia i standardy w pracy. „Tragiczne zdarzenia, jakie miały miejsce na kampusie UW w ubiegłym roku, wymagały od rzeczniczki uczelni prowadzenia komunikacji opartej na empatii oraz odpowiedniego balansu między odpowiedzialnym informowaniem a dbaniem o emocje społeczności” – podkreślono w laudacji. W kategorii „Edukator_ka/Badacz_ka PR” nagrodę przyznano dr. Dominikowi Lewińskiemu, medioznawcy i badaczowi komunikacji społecznej. „To wyróżnie-

nie nie tylko za dydaktykę, lecz również za sposób myślenia o komunikacji, który realnie zmienia studentów, kształtuje branżę i wyznacza standardy, zanim jeszcze staną się powszechne” – wyjaśniono.

Prof. Krzysztof Matyjaszewski doktorem honoris causa UJD

Podczas nadzwyczajnego posiedzenia Senatu Uniwersytetu Jana Długosza w Częstochowie nadano tytuł doktora honoris causa prof. dr. hab. Krzysztofowi Matyjaszewskiemu. Uhonorowano go w uznaniu wybitnego dorobku naukowego, szerokiej współpracy międzynarodowej oraz



Źródło: UJD

nieocenionego wkładu w rozwój nauk chemicznych. Prof. Matyjaszewski jest absolwentem Politechniki Łódzkiej. W Polsce pracował też w Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN w Łodzi. Z obiema instytucjami jest związany do dzisiaj. Od lat pracuje w Carnegie Mellon University w Pittsburghu, gdzie w latach 1994–1998 pełnił funkcję dziekana Wydziału Chemii, a w 1998 r., otrzymał tytuł J. C. Warner Professor of Natural Sciences, „odziedziczony” po laureacie Nagrody Nobla Johnie Pople’u.

Prof. Matyjaszewski jest światowej sławy specjalistą w chemii polimerów, który od kilku lat wymieniany jest jako potencjalny laureat Nagrody Nobla w dziedzinie chemii. Jego przełomowym osiągnięciem było opracowanie w 1995 r. metody polimeryzacji rodnikowej z przeniesieniem atomu (ATRP). Technika ta umożliwiła precyzyjną kontrolę masy cząsteczkowej, architektury i funkcjonalizacji polimerów poprzez wprowadzenie mechanizmu odwracalnej dezaktywacji rodników. Dzięki temu możliwe stało się projektowanie makrocząstek o ściśle określonych parametrach – od kopolimerów blokowych i gradientowych po struktury gwiazdiste i szczotkowe. Za to osiągnięcie został w 2004 roku uhonorowany Nagrodą Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Dorobek naukowy uczonego obejmuje 1360 publikacji, 25 książek oraz ponad 100 rozdziałów w monografiach. Liczba cytowań przekracza 165 tysięcy (Web of Science), a indeks Hirscha $h = 190$ plasuje go w światowej czołówce chemików. Prof. Matyjaszewski wypromował ponad 100 doktorów. Jest współautorem 72 patentów amerykańskich i ponad 150 międzynarodowych, a technologia ATRP została wdrożona przemysłowo w USA, Japonii i Europie. Uczony został uhonorowany m.in. Wolf Prize in Chemistry (2011), The Dreyfus Prize (2015), Benjamin Franklin Medal in Chemistry (2017) oraz National Academy of Sciences Award in Chemical Sciences (2023). Prof. Matyjaszewski jest doktorem honoris causa: Uniwersytetu w Gandawie, Rosyjskiej Akademii Nauk, Politechniki Łódzkiej i Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Należy do National Academy of Sciences, National Academy of Engineering, European Academy of Sciences, Polskiej Akademii Nauk i Polskiej Akademii Umiejętności.

Opracował Mariusz Karwowski

Współpraca: Kamil Dziewit, Łukasz Kamiński, Marek Makowski, Magdalena Nieczuja-Goniszewska.

Wykorzystano serwisy prasowe szkół wyższych, placówek badawczych i instytucji otoczenia nauki.

Więcej aktualności na naszej stronie internetowej
www.forumakademickie.pl

oraz na naszych profilach na Facebooku i na platformie X



Nie potrzebujemy ministerialnej listy czasopism punktowanych

Emilia Kaczmarek, doktor nauk humanistycznych, adiunkta w Zakładzie Etyki Wydziału Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, apeluje o zmianę podejścia do oceny jakości publikacji, szeroko argumentując swoje stanowisko.

Ocenianie jakości treści naukowych wyłącznie po tym, gdzie się ukazały, jest niezgodne z międzynarodowymi rekomendacjami dotyczącymi metod ewaluacji nauki. Dlaczego nie przystępujemy do europejskiej platformy publikacyjnej Open Research Europe, tylko cementujemy „punktozę”? Dlaczego akceptujemy system, w którym instytucje naukowych nie stać na dostęp do części wyników ich własnych badań?

Zdaniem Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, lista czasopism punktowanych jest niezbędna. Jak przekonywano w czasie spotkania prezentującego efekty prac Zespołu ds. nowego modelu ewaluacji: „Polskie instytucje naukowe wypracowują w okresie 5 lat (...) około 700 tys. publikacji. Artykuły naukowe są oceniane (recenzowane) w czasopismach naukowych, zostały zatem poddane ocenie eksperckiej. Komisja Ewaluacji Nauki wraz z zespołem eksperckim nie jest w stanie ocenić wszystkich artykułów z uwagi na ich liczbę. Potrzebna jest zatem lista czasopism punktowanych oraz przyjęcie zasady tzw. dziedziczenia prestiżu, która polega na tym, że artykuł jest tak dobry jak czasopismo, w którym się ukazał”.

Powyższa wypowiedź wydaje się opierać na trzech założeniach. Po pierwsze, że wszystkie teksty, które ukazały się w recenzowanych czasopismach naukowych, podlegały już ocenie eksperckiej, której można zaufać. Po drugie, że skoro publikacji naukowych jest tak dużo, to niemożliwe jest ocenianie ich treści. Po trzecie, że można ocenić jakość artykułu wedle tego, gdzie został opublikowany. Postaram się pokazać, dlaczego każde z tych założeń jest problematyczne.

Przeciwko zasadzie dziedziczenia prestiżu

Zacznijmy od końca, a więc od tzw. zasady dziedziczenia prestiżu. Ocenianie jakości treści naukowych wyłącznie po tym, gdzie się ukazały, jest niezgodne z międzynarodowymi rekomendacjami dotyczącymi metod ewaluacji nauki. Do takich rekomendacji zaliczyć można *The San Francisco Declaration on Research Assessment* (DORA) czy postulaty Koalicji na Rzecz Poprawy Oceny Badań (Coalition for Advancing Research Assessment, CoARA). Punkt trzeci opracowanego w ramach tej Koalicji Porozumienia w sprawie reformowania oceny badań (*Agreement on Reforming Research Assessment*) nawołuje do zaprzestania oceny wyników na podstawie wskaźników związanych z miejscem publikacji. Porozumienie to zostało podpisane przez wiele zagranicznych oraz polskich instytucji naukowych. Jest ono także popierane przez Komisję Europejską i Europejską Radę ds. Badań Naukowych (ERC).

Ważnym przejawem międzynarodowych starań na rzecz odchodzenia od zasady „dziedziczenia prestiżu” jest platforma Open Research Europe, umożliwiająca publikowanie recenzowanych artykułów naukowych bene-

ficjentom grantów europejskich w otwartym dostępie bez opłat dla autorów czy czytelników. Platforma ta celowo nie występuje o wyliczenie jej współczynnika wpływu (Impact Factor). Dlaczego? Jak czytamy na stronie ORE: „Komisja Europejska jest częścią rosnącej liczby organizacji, którym zależy na wspieraniu (...) przekonania, że to wewnętrzna wartość tego, co jest publikowane, udostępniane i ponownie wykorzystywane, jest ważna, w przeciwieństwie do miejsca, czasopisma lub platformy, gdzie artykuł został opublikowany”.

W marcu tego roku ogłoszono rozszerzenie ORE. Na tej zarządzanej przez CERN platformie będą mogli publikować za darmo już nie tylko beneficjenci grantów ERC czy Horyzont, ale także badacze z 11 krajów (Austrii, Francji, Niemiec, Włoch, Holandii, Norwegii, Portugalii, Słowenii, Hiszpanii, Szwecji i Szwajcarii). Polska jak na razie nie przystąpiła do tego projektu. Zamiast tego – tworząc kolejną listę czasopism punktowanych na podstawie wskaźników wpływu periodyków naukowych – cementujemy tzw. punktozę. Tworzymy system, który stawia w centrum uwagi pytanie, „ile punktów daje artykuł” i gdzie się ukazał, zamiast pytania, o czym on jest, co wnosi, dlaczego warto go przeczytać.

Odejście od zasady dziedziczenia prestiżu i listy czasopism punktowanych było także postulatem Zespołu doradczego MNiSW ds. nieuczciwych praktyk publikacyjnych. W raporcie końcowym prac tego zespołu czytamy: „Ocena wyrażona w obecnych punktach jest niewłaściwa, bowiem przedmiotem prestiżu i wartości naukowej jest to, co jest napisane, a nie gdzie”. „Przeprowadzenie ewaluacji według obowiązujących kryteriów, szczególnie punktowanej listy czasopism i wydawnictw w żadnej mierze nie oddaje obrazu nauki, tylko pokazuje strategię dostosowania się jednostek do obowiązujących przepisów”.

Skąd więc pomysł na zasadę dziedziczenia prestiżu? Miejsce publikacji może być w wielu przypadkach trafny wskaźnikiem zastępczym (proxy) jakości artykułu. Po pierwsze, do najbardziej rozpoznawalnych czasopism składanych jest wiele artykułów, jeśli więc dany



Fot. K. Zuczkowski

tekst zostanie w jednym z nich opublikowany, to często oznacza, że przeszedł przez gęste sito selekcji. Po drugie, w zespołach redakcyjnych najbardziej znanych czasopism często zasiadają uznani eksperci, a proces recenzji prowadzony jest rzetelnie. Po trzecie, publikacja w prestiżowych czasopismach, w przeciwieństwie do publikacji w lokalnym, mało znanym periodyku, ułatwia włączenie się do międzynarodowego dialogu naukowego, ponieważ artykuł w topowym czasopiśmie staje się bardziej widoczny dla ekspertów z danej dziedziny.

Jednak zbytne koncentrowanie się na rankingach czasopism naukowych przyczyniło się do wielu istotnych problemów współczesnej nauki. Przede wszystkim chodzi o otwarty dostęp do wyników publicznie finansowanych badań. Nakładane przez wydawców paywalle stwarzają niepotrzebne i nierówne bariery dla badaczy i studentów. Publiczne wydatki na program Wirtualna Biblioteka Nauki, zapewniający m.in. dostęp do części światowej literatury naukowej poprzez uniwersyteckie subskrypcje biblioteczne, sięgają ponad 230 milionów złotych rocznie. Oligopolistyczna pozycja największych wydawców czasopism naukowych pozwala im dyktować wysokie ceny. Wydatki te jednak i tak nie starczą na to, aby zapewnić polskim instytucjom badawczym dostęp do wszystkich czołowych tytułów czasopism naukowych. Jest to szczególnie kuriozalne, gdy dotyczy braku dostępu do publikacji wyników badań prowadzonych w polskich instytucjach.

Choć nie każdy artykuł wzbudzi równe zainteresowanie szerokiej publiczności, nie ma powodu, aby odmawiać podatnikom dostępu do wyników badań finansowanych z publicznych pieniędzy. W zależności od dziedziny wiele publikacji naukowych zawiera cenne informacje dla osób, które często nie mają dostępu do akademickich subskrypcji bibliotecznych: dla nauczycieli, pacjentów, dziennikarzy czy przedsiębiorców. W ramach tzw. zielonej drogi otwartego dostępu (green open access) niektóre publikacje można znaleźć za darmo w uczelnianych repozytoriach. Nadal jednak nie wszystkie. Sam proces wyszukiwania na własną rękę może być czasochłonny, ale pomagają w nim rozwijane przez organizacje nonprofit automatyczne rozwiązania, takie jak np. Unpaywall i inne narzędzia otwartego dostępu.

Problemem jest także wydawanie publicznych środków na wysokie marże wydawców czasopism naukowych. Najwięksi wydawcy to komercyjne firmy, które nie wnoszą do nauki wiele, a ich zyski opierają się na darmowej pracy akademików (autorzy artykułów naukowych nie dostają wynagrodzenia za publikację, a recenzje przygotowywane są nieodpłatnie). Ważnym źródłem przychodu tych firm są opłaty za publikowanie w otwartym dostępie. W modelu zwanym złotą drogą (gold open access) to autor musi zwykle zapłacić za to, aby jego tekst był dostępny bez barier na stronie czasopisma. Opłaty za opublikowanie jednego artykułu w otwartym dostępie to nierzadko koszt około 3 tysięcy euro. Wszystko to razem tworzy niesprawiedliwy system, w którym dostęp do wiedzy naukowej lub możliwość otwartego dzielenia się efektami własnej pracy, zależy od zamożności badacza lub jego instytucji.

Co więcej, zasada dziedziczenia prestiżu opiera się na założeniu, że rankingi czasopism oparte na wskaźnikach cytowalności trafnie oddają wartość samych czasopism. Rankingi stwarzają samospełniające się przepowiednie: tytuły, które znajdują się w nich najwyżej, dostają wiele tekstów, z których mogą wybierać. Kiedy redakcje naukowe tych czasopism odchodzą od komercyjnych wydawców (np. w proteście przeciwko zbyt wysokim opłatom za open access, jak miało to miejsce w przypadku czasopisma *NeuroImage*), i zakładają nowe czasopisma prowadzone przez tych samych ekspertów, nowe tytuły muszą liczyć się z dużo mniejszą rozpoznawalnością, a często przez jakiś czas są wręcz nieobecne w rankingach. Wielu badaczy nie wie o ich istnieniu, a ci, którzy wiedzą, mogą obawiać się publikacji w nich ze względu na ryzyko utraty punktów.

Jeszcze poważniejszym problemem dla zasady dziedziczenia prestiżu jest fakt, że wskaźnikami cytowalności da się manipulować, co odsyła nas do pierwszego założenia z cytowanej na początku tego artykułu wypowiedzi.

Nie wszystkie teksty w recenzowanych czasopismach naukowych podlegały ocenie eksperckiej, której można zaufać

Jak pokazali Tomasz Żuradzki i Leszek Wroński, w 2023 roku w dziesiątce najlepszych czasopism z filozofii wedle topowych światowych rankingów, w tym w bazie Scopus, znalazło się kilka tytułów czasopism-wydmuszek (fake journals), publikujących w dużej mierze automatycznie wygenerowane artykuły, które cytując siebie nawzajem, trafiły na szczyty rankingów. Czasopisma drapieżne pojawiają się w każdej dyscyplinie nauki i część z nich jest indeksowana w takich bazach jak Scopus.

Na dotychczasowej polskiej liście czasopism punktowanych także nie brakuje tytułów o bardzo wątpliwej reputacji. Jak czytamy w raporcie końcowym Zespołu doradczego MNiSW ds. nieuczciwych praktyk publikacyjnych: „duża liczba punktów (100, 140) przypisana jest często czasopismom mało prestiżowym, stosującym wątpliwe etyczne standardy publikacyjne, a nawet «drapieżnym» (...). W powiązaniu z presją publikacyjną, sprawia to, że badacze decydują się na publikowanie w słabych, ale wysokopunktowanych publikatorach, a instytucje naukowe wspierają taką praktykę”. Podobne konkluzje pojawiają się w zagranicznych publikacjach naukowych omawiających skutki powiązania systemu ewaluacji nauki z bazą Scopus. Może to stworzyć system, w którym czasem publikowanie w czasopiśmie drapieżnym się opłaca.

W dobie rozkwitu czasopism drapieżnych oraz papierni (paper-mills) nie można zakładać, że redakcje wszystkich periodyków, które są indeksowane w bazach czasopism naukowych, faktycznie dbają o jakość publikowanych w nich artykułów. Część z nich to w istocie strony internetowe, które publikują wszystko, zarabiając na opłatach za otwarty dostęp.

Niektóre z zapowiadanych zasad tworzenia nowej listy czasopism punktowanych mają odpowiadać na opisane wyżej problemy. Chociaż „około 90% całej listy czasopism będzie kształtowane w oparciu o ocenę bibliometryczną”, ma być wprowadzona możliwość usunięcia z listy czasopism punktowanych „periodyków niespełniających standardów etycznych lub naukowych”. Nie wiadomo jednak, wedle jakich kryteriów będzie to możliwe.

Komisja Ewaluacji Nauki faktycznie nie może oceniać treści wszystkich artykułów, ale dlaczego miałaby to robić?

Najmocniejszy argument na rzecz listy punktowanych czasopism naukowych dotyczy kwestii organizacyjnych. Ewaluacja jakości publikacji wedle wskaźników bibliometrycznych czasopism jest prawdopodobnie tańsza i szybsza niż ocena ekspercka treści tych artykułów. Dlaczego jednak zakładać, że eksperci musieliby przeczytać wszystkie 700 tys. publikacji, aby ocenić poziom instytucji, w których pracują ich autorzy? Ośrodki naukowe mogłyby wskazywać do oceny mniejszą liczbę osiągnięć albo ocenie eksperckiej mogłaby podlegać losowana pula tekstów z bazy wszystkich osiągnięć.

Chociaż ocena ekspercka osiągnięć naukowych może być droższa niż ocena wedle listy czasopism punktowanych, to samo stworzenie listy czasopism także kosztuje czas i pieniądze. Jak tłumaczyli członkowie Komisji Ewaluacji Nauki: „z baz wskazanych w rozporządzeniu pobranych zostanie ponad 100 tys. czasopism, trzeba będzie podjąć decyzje odnośnie do ok. 5 tys. tytułów z mniejszych baz (dołączenie do wykazu, akceptacja propozycji ekspertów), należy określić dys-

cypliny, w ramach których funkcjonują periodyki, wreszcie około 3 tys. czasopism musi przejść odrębną ocenę ekspercką. W sumie klasyfikacja obejmie około 35 tys. pozycji". Ile artykułów z nieznanego wcześniej czasopisma trzeba przeczytać, aby ocenić „poziom merytoryczny artykułów naukowych publikowanych w czasopiśmie naukowym”? Z iloma osobami warto byłoby skonsultować „rozpoznawalność czasopisma naukowego”?

W aktualnym systemie obawy o to, że ocena ekspercka będzie zbyt subiektywna, przypadkowa lub stronnica nie znikają. Dotyczą one jednak nie oceny poszczególnych osiągnięć, a procesu tworzenia wykazu czasopism. O tym, że ministerialna lista może stać się narzędziem faworyzowania „swoich” czasopism, mogliśmy się już przekonać w przeszłości.

Oczywiście ocena ekspercka samych osiągnięć także narażona jest na to ryzyko. Dlatego powinna mieć jasno określone, transparentne i dopasowane do danej dyscypliny kryteria. Kluczowe jest także opracowanie mechanizmu wyboru międzynarodowych ekspertów, tak by

minimalizować ryzyko stronnicej oceny. Wskaźniki bibliometryczne mogłyby być brane pod uwagę jako element takiej oceny. Jednak do oceny wpływu danego artykułu lepszym narzędziem będzie liczba cytowań tego właśnie artykułu, a nie czasopisma, w którym się ukazał. W wielu krajach nie ma czegoś takiego jak jedna krajowa lista czasopism punktowanych. Istnieją alternatywy.

Za późno na zmiany?

Konsultacje społeczne zmian w kolejnej ewaluacji już się skończyły. Obecnie funkcjonujemy w systemie, którego szczegółowe reguły wciąż nie są znane. Nowa lista czasopism punktowanych ma być ogłoszona po wakacjach, ale będzie obowiązywać wstecz.

Może do czasu kolejnych konsultacji społecznych w sprawie zmian w systemie ewaluacji w środowisku naukowym uda się dojść do konsensusu chociaż w tej jednej sprawie: że ocena jakości wyników badań nie powinna zależeć wyłącznie od tego, gdzie te wyniki zostały opublikowane?

Nauka bez honorariów?

Prof. Wojciech Czakon z Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek stowarzyszenia KOPIPOL, o reformie systemu zbiorowego zarządzaniu prawami autorskimi naukowców i zagrożeniu obecności w nim stowarzyszenia, które od 30 laty reprezentuje interesy krajowych badaczy.

Dlaczego zbiorowe zarządzanie prawami autorskimi jest dla nauki ważne? Zachodzą obecnie istotne zmiany regulacji, związane z rozwojem technologii i potrzebą aktualizacji praw i obowiązków tych, którzy korzystają, ułatwiają korzystanie oraz tworzą dzieła naukowe i techniczne.

Dla mnie to była sytuacja trochę zaskakująca i to w kilku wymiarach jednocześnie. Mamy przecież stabilną organizację, która przez 30 lat zbudowała zaufanie środowiska naukowego, wypracowała procedury, zgromadziła dane i kompetencje. Funkcjonuje. Tymczasem projekt rozporządzenia w swoim pierwotnym kształcie tę organizację po prostu pomija w systemie poboru i podziału opłat. Takie projektowane zmiany coś przestawiają w układzie reprezentacji środowisk twórczych.

Patrzę na to z perspektywy strategicznej. System zbiorowego zarządzania prawami autorskimi nie polega na tym, że tworzymy jeden uniwersalny podmiot, który obsłuży wszystkich. To droga do monopolu, ze wszystkimi potencjalnymi szkodliwymi efektami. Siła wynika z reprezentatywności, z tego, że konkretne organizacje są zakorzenione w konkretnych środowiskach i rozumieją ich specyfikę. Spłaszczanie systemu niesie ryzyko utraty jakości i zaufania. A zaufanie, jak wiemy, buduje się latami, a traci bardzo szybko. W początkach działalności takich organizacji jak KOPIPOL sami naukowcy podchodzili do nich z ostrożnością. Nie byli pewni, czy mechanizm wynagradzania jest wiarygodny. Dziś to zaufanie jest, zostało wypracowane regularną, ciężką pracą wielu osób. Dziś wydaje się to zwykłą rutyną, ale pracownicy KOPIPOL-u doszli do niej w ciągu wielu lat intensywniej działalności w środowisku naukowym. Każda decyzja, która ten kapitał podważa, jest w jakimś sensie szkodliwa.

Zastanawia mnie też szerszy kontekst tej sytuacji. Mówimy o czasie, w którym nauka jest kluczowym źródłem innowacji i roz-

woju gospodarczego. To ona współtworzy technologie, które później trafiają na rynek, napędzają biznes, zmieniają sposób funkcjonowania całych branż. Tymczasem projekt rozporządzenia

w praktyce odcinałby twórców naukowych od środków związanych z poborem opłat od najważniejszych dziś urządzeń służących do kopiowania, tj. komputerów, smartfonów i tabletów. To tworzy swoisty paradoks. Z jednej strony deklarujemy, że chcemy gospodarki opartej na wiedzy, z drugiej traktujemy ją tak, jakby funkcjonowała poza współczesnym obiegiem technologicznym. Jakby rzeczywiście była na marginesie, a nie w jego centrum.

Z satysfakcją obserwuję, że po konsultacjach społecznych i międzyresortowych projekt uległ korektom. KOPIPOL pozostaje ważnym aktorem systemu, ale tylko przy poborze opłat od dotychczasowych urządzeń kopiujących przy jednoczesnym obniżeniu tych opłat. Nowe urządzenia, które generują dziś największy wolumen kopiowania, zostały przypisane innemu podmiotowi.

To oznacza realne ograniczenie strumienia środków dla środowiska naukowego. Warto przy tym podkreślić, że KOPIPOL to nie tylko mechanizm repartycji. To także faktyczne, odczuwalne wsparcie rozwoju nauki m.in. poprzez Fundusz Wsparcia Twórców, finansowanie publikacji, badań i konferencji. To także konsekwentna promocja nauki i naukowców. W świecie, w którym rośnie skala dezinformacji, ten wymiar działalności ma znaczenie fundamentalne.

Dlatego tak ważna jest dziś postawa samego środowiska akademickiego, jedność i konsekwencja w artykułowaniu swoich interesów. Jeżeli naukowcy nie będą jasno komunikować swojej roli i wartości, bardzo łatwo będzie ich przesuwano na dalszy plan w kolejnych decyzjach. A na to, zarówno z perspektywy nauki, jak i długofalowego rozwoju państwa, nie możemy sobie pozwolić.

Więcej czytaj na str. 20



Fot. KOPIPOL

Niedoskonała doskonałość

Myślenie o doskonałości nie powinno opierać się na wskaźnikach, na pokazywaniu, kto jest najlepszy. To pojęcie jest tak wieloznaczne i zależne od kontekstu, że trudno z niego czynić – jak chcieliby niektórzy – polską rację stanu. Dla mnie osobiście to bardziej refleksja nad tym, jak wygląda nasz zawód – mówi dr Karolina Ziolo-Pużuk, sekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego, podsumowując dla FA 7. sympozjum naukowo-praktyczne z cyklu Ministerialne Forum Debaty Akademickiej pt. „Dyskurs o doskonałości. Dekonstrukcja krytyczna”.

Wystąpili na nim naukowcy z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytetu Warszawskiego i Uniwersytetu Wrocławskiego, którzy z różnych perspektyw przyjrzeni się doskonałości naukowej. – Doskonałość w nauce wydaje się być czymś oczywistym, przecież ciągle o niej mówimy, zwłaszcza przy okazji ewaluacji, listy czasopism. Rzadko jednak mamy okazję, by porozmawiać, czym tak naprawdę ona jest i skąd się wzięła oraz jak powinna współgrać z polityką naukową państwa, a więc nie tyle doraźnie, co w dłuższej perspektywie czasowej – mówiła wiceminister nauki Karolina Ziolo-Pużuk, otwierając spotkanie.

Choć pojęcie doskonałości (tłumaczenie angielskiego terminu *excellence*) stało się głównym organizatorem akademickiego dyskursu w ostatnich latach – przeniknęło wraz z czerpanymi z Zachodu wzorami reformowania systemu, a na dobre ugruntowało swoją pozycję po wprowadzeniu tzw. reformy Gowina – to jego obecność w nauce datuje się znacznie dłużej. Przypominając znaczenie dyskursu doskonałości w okresie transformacji ustrojowej, dr hab. Krystian Szadkowski z Pracowni Komunikacji Naukowej na Wydziale Filozoficznym UAM zaznaczył, że wbrew pozorom nie tylko opisywał on stan rzeczywistości, ale przede wszystkim tę rzeczywistość współtworzył. Jak zauważył, już w tamtym okresie raczej pozwalał politykom uzasadniać ograniczenie publicznego finansowania badań, aniżeli przyczyniał się do realnej próby modernizacji systemu. Zdaniem współautora raportu *Narodziny dyskursu doskonałości naukowej z ducha terapii szokowej* parametryczna ewaluacja jednostek naukowych została zaprojektowana jako tani i dostępny mechanizm pacyfikowania konfliktów o coraz bardziej kurczące się środki. W latach dziewięćdziesiątych stworzono elementy oceny, które są z nami do dziś, a więc konkurencję, publikację, sprowadzenie doskonałości naukowej do mierzalnej produktywności. Przełożyło się to na działanie i myślenie instytucji. W tym sensie doskonałość z języka modernizacji stała się strategią przetrwania i adaptacji do systemu, w którym nieustannie podcina się finansowanie – stwierdził Szadkowski.

W jego ocenie dyskurs doskonałości, spleciony z naturą nauki jako takiej i w jej imię toczony, sprytnie skrywał swój politycznie zaprogramowany charakter. Paradoxem, dodawał badacz, było uczynienie z doskonałości terminu pustego, nic de facto nieznaczącego dla polskiej racji stanu. Nie jest ona bowiem ani uniwersalnym ideałem, ani neutralnym narzędziem oceny jakości badań – podkreślał prelegent. To mechanizm, który wiąże ze sobą język stałej konieczności reform i racjonalizacji systemu z praktykami selekcji, hierarchizacji i kontroli.

– Dlaczego w polskim systemie są same kije, a nie ma żadnych marchewek? To pytanie, które usłyszałem od kolegów z Turcji, oddaje cały sens dyskursu doskonałości naukowej. Właśnie w ten sposób „urządkował” on nam naukę. Ponieważ nie tyle opisuje naukę, co ją organizuje. Przede wszystkim tworząc język dla urzędników i polityków, którzy w imię troski o jakość ustanawiają jednocześnie produktywność jako podstawową miarę wartości nauki. Zmiana tego stanu rzeczy wymaga przede wszystkim postawienia pytania o to, jaką rolę nauka ma odgrywać w życiu publicznym – zakończył Szadkowski.

Bądź doskonały albo giń!

We wspomnianym raporcie, który omawialiśmy też na łamach FA, centralną figurą uczyniono doskonałego naukowca niedofinansowanego systemu. Spotkało się to z krytyką dr hab. Magdaleny Matyszek-Imielińskiej z Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu Wrocławskiego. Model ten, jej zdaniem, jest próbą prywatyzacji publicznych problemów. Można odnieść wrażenie, mówiła badaczka, że to akademicy nie poradzili sobie z transformacją nauki i nie wiadomo z jakich powodów, może przez brak świadomości, wzmacniają teraz system, który ich ogranicza. Model ten, oceniła, stanowi wyraz oczekiwania od naukowców, że z czasem dojrzeją oni do reformatorskich rozwiązań doskonałościowych, staną się bardziej obrotowi i konkurencyjni.

– Dyskurs doskonałości i zrodzone z niego ostatnie dwie ewaluacje pokazały, że naukowcy są niedoskonalimi. Ale dlatego, że dobrze rozumieją, czym jest nauka i cały czas bronią się przed uwewnętrznieniem narzuconej im logiki rywalizacji. Starają się ocalić możliwość uprawiania nauki, ale nie takiej, jak chcieliby ewaluatorzy – mówiła M. Matyszek-Imielińska. Jak zauważyła, architekci ewaluacji skonstruowali system bez wyjścia, którego efektem jest doskonały, w ich przekonaniu, naukowiec. W zasadzie nie ma możliwości wymknięcia się z tej matni: bądź doskonały albo giń. Badacze nauczyli się jednak umiejętnie ogrywać system, próbując ocalić etos zawodu i uzasadnić swoją rolę społeczną jako uczonych. Jak zauważyła, nie odbywa się to bezkosztowo. Ceną są nie tylko pochłaniane prywatne zasoby – i czasowe, i materialne – ale także alienacja wobec akademii i społeczeństwa.

– Dekonstrukcja modelu doskonałości powinna dzisiaj polegać na terapii sprawiedliwości systemowej i po prostu przyznaniu, że system nauki od samego początku nie był w stanie zapewnić warunków, by cokolwiek wytworzyć, a jedynie zerował na swoim środowisku, mawiając naukowcom, że na własne życzenie i z własnej winy są doskonałymi frajerami – przekonywała.

Jej zdaniem, o ile można było hasło „Naszym celem jest Zachód” uzasadniać w okresie transformacji, o tyle nie do obrony stało się ono po pierwszych reformach minister Barbary Kudryckiej. Nadganie mitycznego Zachodu, oceniła, wynikało nie tyle z niedoborów finansowych, lecz przede wszystkim z braku własnych celów i ambicji. Jednym słowem, z braku wizji na akademię i na rolę nauki, którą chcemy lokalnie budować.

Czy moje badania były doskonałe?

Pochwałę niedoskonałości wygłosiła z kolei dr hab. Iwona Kurz z Uniwersytetu Warszawskiego. Czy moje badania były kiedyś doskonałe? – zapytała na początek i od razu zastrzegła, że nigdy nie stawiała sobie takiego celu. Tradycja doskonałości jest chyba ostatnią, do której chciałaby się odwoływać. Jak zauważyła, doskonałość badań leży w ich niedoskonałości, stąd falsyfikacja, uwzględnianie innych interpretacji, ale także dopuszczenie porażki, przed czym nasz system się wzbrania. Tymczasem badania mogą się przecież nie powieść, co może być lekcją dla innych naukowców. Na to wszystko nakłada się jeszcze niedoskonałość współczesnego świata.

– Nie jesteśmy słuchani, nie umiemy wyjaśnić, dlaczego zasługujemy na to, by nas wysłuchać. Tłumaczymy się ciągle z tego, dlaczego nasze badania wyglądają tak, a nie inaczej, dlaczego niekiedy sobie przeczą. Musimy się przeprogramować i to w fundamentalnym sensie, chociażby w kontekście zmian w technologiach komunikacji społecznej – nawoływała.

Zmiana polityki naukowej, mówiła, musi się dokonać po obu stronach, i badaczy, i urzędników, którzy nadają kształt akademickim praktykom. Dziś problemem jest daleko posunięta niedoskonałość instytu-

cji towarzysząca doskonałości praktyk adaptacyjnych, które pozorują uprawianie nauki. Jeśli premiujemy się jak najwięcej publikacji, to idziemy „na ilość”. Jeśli ustala się punktację czasopism, to szukamy tych z największą liczbą punktów. Nie ma to nic wspólnego z uprawianiem nauki.

Badaczka odniosła się też do głośnego ostatnio sporu lokalne vs. globalne, którego istotą, jej zdaniem, jest przesuwanie środków, których permanentnie brak. Można więc pomyśleć o tym, jak inaczej dysponować tymi funduszami, które są w dyspozycji.

– Naszym zobowiązaniem jest tworzenie lokalnego języka komunikacji społecznej i języka społecznego, w którym nauka odgrywa istotną rolę. Nie możemy zrezygnować z języka polskiego jako języka prowadzenia badań i nie jest to, jak chcą niektórzy, tylko kwestia upowszechniania czy popularyzacji, ale sprawa absolutnie fundamentalna – wskazywała. Oczywiście, dodała, nie należy zaprzestawać publikacji w czasopismach anglojęzycznych, ale może zamiast wspierać prywatne konsorcja zagraniczne, które od lat żyją z budżetu polskiej nauki, nie wydając grosza na jej promocję, należałoby zadbać w Polsce o stworzenie silnego wydawnictwa czy konsorcjum wydawnictw uczelnianych, które zajmie się rzeczywistym umiędzynarodowieniem i będzie wsparciem dla naukowców.

Wpływ społeczny i wielojęzyczność

O tym, jak praktyki ewaluacyjne nadają znaczenie, mówiła dr Kamila Lewandowska z Centrum Europejskich Studiów Regionalnych i Lokalnych (EUROREG) Uniwersytetu Warszawskiego. Przywołała badanie, w którym analizowano ponad 2,6 tys. opisów wpływu społecznego. Najbardziej eksponowane były w nich uchwytne efekty współpracy nauki z przemysłem, a więc gotowe produkty, licencje, wdrożenia. Tymczasem, jak zauważyła, w innych krajach tę współpracę definiuje się głównie przez nieformalne relacje (wspólne projekty, doradztwo, certyfikaty). Czy zatem właściwa jest teza, że w Polsce opracowujemy wyjątkowo dużą liczbę wdrożeń?

– Nie, natomiast wpływ na to ma dowodowa logika naszego systemu ewaluacji: wymaga się potwierdzenia wpływu formalnymi dokumentami. Aplikacje są łatwiejsze do udowodnienia niż długofalowe relacyjne procesy współtworzenia wiedzy. Obecny system skłania zatem do raportowania tych osiągnięć, które najlepiej wpisują się w mierzalne wskaźniki. Sposób, w jaki trzeba sprawozdawać efekty, zmienia definicję samego wpływu społecznego – tłumaczyła badaczka. Dodała, że na tym przykładzie najlepiej widać tzw. lukę ewaluacyjną, czyli niedopasowanie między tym co mierzą wskaźniki stosowane w ocenie, a tym na czym faktycznie polega praca badaw-

cza. Ewaluacja, przekonywała, ma charakter performatywny, a więc poprzez nagradzanie określonych działań i osiągnięć kształtuje się zarazem praktyki badawcze, a przez to w ogóle rozumienie jakości i wpływu badań naukowych. Konstatowała, że przy projektowaniu systemów ewaluacji nieustannie się o tym zapomina.

Na pomijany w dyskursie doskonałości aspekt wielojęzyczności w naukach humanistycznych i społecznych zwrócił z kolei uwagę dr Stanisław Krawczyk z Zakładu Socjologii Wiedzy i Kultury w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Wrocławskiego. To nie tylko pisanie w języku ojczystym czy po angielsku, ale również w języku trzecim. W niektórych obszarach HS wielojęzyczność (i regionalność) jest normą, prestiżowe publikacje ukazują się np. po niemiecku czy francusku. Tyle że reformy z lat 2018–2019, wraz z towarzyszącym im dyskursem doskonałości, wspierały międzynarodową komunikację naukową głównie po angielsku. Inne języki i kultury akademickie zostały, w ocenie prelegenta, zmarginalizowane. Tymczasem wielojęzyczność w HS to nie tylko stosowanie różnych języków w różnych krajach, ale nawet w obrębie jednego. Stopień wielojęzyczności jest odmienny także w poszczególnych dyscyplinach: w psychologii więcej niż w historii publikuje się po angielsku, z kolei historia i archeologia (poza badaniami nad językami i literaturą) mają w Polsce najwięcej artykułów w tzw. językach trzecich. Zdaniem badacza, warto to docenić. Przede wszystkim ze względów poznawczych. Każdy język, każda kultura akademicka inaczej patrzy na świat. Czytanie Heideggera po niemiecku jest czym innym niż lektura jego prac po angielsku. Podobnie jest z pracami Kartezjusza po francusku. Ale są i inne powody. To rozwój współpracy badawczej z sąsiednimi krajami, ale też z krajami odległymi o zbliżonej pozycji geopolitycznej (np. część państw Ameryki Łacińskiej). To także kwestie strategiczne, jak np. dyplomacja naukowa w Europie Środkowo-Wschodniej. Wreszcie ostatni aspekt dotyczy prywatyzacji wiedzy w języku angielskim, czego doświadczyliśmy przy okazji pandemii COVID-19.

Jak mogłoby wyglądać wsparcie dla wielojęzyczności? Między innymi poprzez dostęp do publikacji w wielu językach, warto pomyśleć też o wskaźnikach ewaluacyjnych z baz danych, które w większym stopniu niż WoS i Scopus odpowiadają wielojęzyczności nauk humanistycznych i społecznych. Również dobór recenzentów w konkursach grantowych mógłby być szerzej ukierunkowany niż tylko na ekspertów angielskojęzycznych.

O tym, czego nie dostrzega dyskurs doskonałości, mówił natomiast dr hab. Andrzej Nowak z Zakładu Filozofii Nauki i Techniki na Wydziale Filozoficznym UAM. A nie dostrzega ludzi wiedzy, a więc



aspektów równościowych, reprodukcyjnych, sensotwórczych, także wypalenia zawodowego, ale i nie widzi całej osnowy, która podtrzymuje wiedzę. To drugie jest powodem, dla którego zwalczanie fake newsów, dezinformacji jest tak nieskuteczne. Dyskurs doskonałości jest w kontrze do nas, naukowców – mówił. Wyniki prowadzonych przez niego badań jakościowych pokazały, że właśnie po 2018 roku uniwersytet przestał pełnić swoją organiczną funkcję społeczną, skupiając się niemal wyłącznie na wskaźnikach.

– Widać w wywiadach wyraźne pęknięcie ontologiczne, nastąpił rozpad świata akademickiego na dwie niekomunikujące się rzeczywistości: oficjalną politykę sukcesu, gdzie królują strategie, punkty, ewaluacja, sprawozdawczość, oraz na codzienną, żmudną praktykę badawczą i dydaktyczną. To sprawia, że uniwersytet staje się „u-niwersytetem”, w którym biurokracja jest nadrzędna wobec wartości pracy akademickiej – raportował.

Naukowe Las Vegas

Na koniec głos zabrała wiceministra Karolina Zioło-Pużuk. Stwierdziła, że performatywny efekt dyskursu doskonałości naukowej (sama, jak przyznała, woli określenie „kształtujący”) widać najlepiej w patologiach systemu, który wypromował publikowanie ilościowe, drańskie, byle po angielsku, bez dbałości o jakość, ze znikomą cytawalnością, ale za to nagradzane przez uczelnie i instytuty. Zmiany, które zaproponowała w nowej ewaluacji, mają premiować co innego.

– Myślenie o doskonałości nie powinno opierać się na wskaźnikach, na pokazywaniu, kto jest najlepszy. To pojęcie jest tak wieloznaczne i zależne od kontekstu, że trudno z niego czynić – jak chciałiby niektórzy – polską rację stanu. Dla mnie osobiście jest to bardziej refleksja nad tym, jak wygląda nasz zawód – podsumowuje dla FA wiceszefowa resortu. W imię tak pojmowanej doskonałości wprowadzony zostanie II filar oceny, który pozwoli zobaczyć pracownika w całym ekosystemie, nie tylko od strony uprawianej przez niego nauki, ale też i warunków, w jakich to robi. Odpowiedzialność za ten drugi obszar leży już po stronie instytucji.

– Będzie to dla nich swego rodzaju papierek lakmusowy. Wiadomo, poszczególne jednostki różnią się od siebie, ale jesteśmy w stanie

pokazać, że są uczelnie czy instytuty, które będąc w gorszej sytuacji, potrafią zrobić więcej z posiadanymi zasobami także w kwestii tworzenia przyjaznego środowiska pracy. Mam nadzieję, że dzięki temu naukowcy zyskają o wiele więcej wolności, swobody – mówiła na spotkaniu Zioło-Pużuk. Dodała, że ewaluacja oparta w dużym stopniu na ocenie eksperckiej ma być mniej uciążliwa zarówno dla administracji uczelni czy instytutu, jak i samych naukowców, ale też i znacznie tańsza od obecnej. Zadeklarowała, że chce odejść od mierzenia działalności naukowej jako celu samego w sobie.

– Naukowcy znajdują się dziś w sytuacji, w której to podatnik płaci za ich badania, za możliwość publikacji wyników w renomowanych czasopismach, a później jeszcze raz za dostęp. To naukowe Las Vegas, tyle że zamiast kasyn wygrywają zawsze zagraniczne koncerny wydawnicze. Jest to bardzo nie w porządku, a naszą bronią powinno być wzmacnianie naszych publikacji w międzynarodowym obiegu poprzez otwarty do nich dostęp – wskazywała. Nie chodzi przy tym tylko o publikacje w języku polskim, ale też o anglojęzyczne prace opisujące polskie badania. Zapowiedziała, w zależności od dostępnych środków, nowy program dla czasopism dwujęzycznych.

– Chcemy pokazywać polską naukę opisywaną w naszym języku, ale też po angielsku, która będzie otwarta dla wszystkich. Jeśli fundusze nam pozwolą, to w przyszłym roku uruchomimy specjalny program dla czasopism, które decydują się na artykuły polskich autorów w dwóch wersjach językowych i nie będą wymagały przy tym dodatkowych opłat. Oczywiście, nie od razu polska nauka stanie się lepiej widoczna, ale od czego trzeba zacząć i dlatego chcemy mieć własne liczące się „wehikuły” na tej międzynarodowej autostradzie – deklaruje sekretarz stanu w MNiSW.

Oczekiwanym rezultatem tych działań, zdaniem wiceszefowej resortu, miałyby być w perspektywie najbliższej dekady rozpoznawalność kilku, kilkunastu czasopism w różnych dyscyplinach na rynku nie tylko europejskim, ale i światowym. – Tak, to ambitne założenie, ale realne – przyznaje Karolina Zioło-Pużuk.

Mariusz Karwowski

AI ocenia Instytut Farmakologii PAN

O krytyce systemu ewaluacji jednostek naukowych na postawie IF czy punktów ministerialnych nie trzeba już nic pisać. System, który powstał przed kilkunastu laty i przyczynił się do wzrostu liczby publikacji naukowych, niestety został zdegenerowany i należy go zmienić. Platforma analityki naukowej ScholarGPS® (<https://scholargps.com>), analizująca za pomocą sztucznej inteligencji, uczenia maszynowego, analizy statystycznej osiągnięcia indywidualnych badaczy i instytucji naukowych, może pomóc w takiej ewaluacji.

Możemy znaleźć na niej profile naukowe ponad 30 mln badaczy na całym świecie oraz 55 tys. instytucji naukowych. Dane analizowane są dla 14 podstawowych dziedzin nauk, podzielonych na 177 dyscyplin. Np. w dziedzinie Medycyna mamy 30 dyscyplin naukowych. Szczególnie ciekawe jest wyróżnienie w tych 177 dyscyplinach ponad 385 tys. zagadnień naukowych (w chwili obecnej), a każdy badacz czy instytucja może zobaczyć, jak wypada w danej dziedzinie, dyscyplinie czy zagadnieniu względem reszty świata.

Ranking instytucji zależy od jakości i liczby aktywnych badaczy w każdej z nich. Badacze są oceniani na podstawie liczby publikacji, liczby cytowań tychże i jakości (wskaźnik h). Każda praca i cytowanie są warte pod względem liczby autorów (np. w pracy dwuau-

torskiej każdy badacz dostaje połowę liczby prac i cytowań, z wyłączeniem autocytowań).

Z 55 tys. instytucji naukowych świata na platformie umieszczone są dane 3300 jednostek uznanych za najlepsze, co stanowi 6% całości. Rankingi ScholarGPS® są dostępne oddzielnie dla uniwersytetów i szkół wyższych (nazwanych jednostkami akademickimi) i instytucji badawczych (resortowych, akademickich, jak np. akademie nauk, szpitale) nazwanych jednostkami nieakademickimi oraz łącznie dla tych dwóch rodzajów jednostek.

Polska znajduje się na 34 miejscu pod względem liczby jednostek spośród 131 krajów. W naszym kraju platforma identyfikuje 69 jednostek naukowych (np. w USA jest ich 1743).

Najwięcej polskich jednostek reprezentuje dziedzinę nauk fizycznych (18 instytucji), a najwyżej notowany jest Uniwersytet Warszawski (254 miejsce na świecie). Inżynieria i nauki inżynierskie to 12 jednostek, a najwyżej notowana jest Politechnika Warszawska (536 miejsce). Nauki medyczne to 9 instytucji, najwyżej notowany jest Uniwersytet Medyczny w Warszawie (530 miejsce). Nauki o życiu mają 5 przedstawicieli, a najwyżej notowany uniwersytet zajmuje 525

Tabela 1. Polskie Instytucje naukowe we wszystkich dziedzinach i dyscyplinach nauki znajdujące się na platformie ScholarGPS®

Dziedzina	Dyscyplina	Polskie instytucje naukowe			
		Wszystkie		Miejsce	Nie-akademickie, miejsce
Farmacja i nauki farmaceutyczne		1	Instytut Farmakologii im J. Maja PAN	209	11
		2	Uniwersytet Medyczny w Gdańsku	295	
		3	Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum	383	
		4	Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	417	
	Farmakologia i toksykologia	1	Instytut Farmakologii im J. Maja PAN	63	8
	Farmacja	1	Uniwersytet Medyczny w Gdańsku	141	
		2	Uniwersytet Jagielloński, Collegium Medicum	186	
		3	Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	202	

miejsce. Farmację i nauki farmaceutyczne reprezentują w zestawieniu 4 jednostki. Instytut Farmakologii im. J. Maja PAN jest najwyższą notowaną z nich (209 miejsce). Po jednym przedstawicielu mają Biznes i zarządzanie z Akademią im. Leona Koźmińskiego (281 miejsce), nauki społeczne reprezentowane przez SWPS Uniwersytet Humanistycznospołeczny (277 miejsce) i Rolnictwo reprezentowane przez Polską Akademię Nauk (331 miejsce). W 6 dziedzinach nasz kraj nie ma swoich przedstawicieli są to: Edukacja, Prawo, Służba zdrowia, Stomatologia, Sztuka i nauki humanistyczne oraz Zdrowie.

Tabela 1. przedstawia w szczegółach dziedzinę Farmacji i nauk farmaceutycznych, gdzie Instytut Farmakologii im J. Maja PAN jest notowany na 209 miejscu, a kiedy chodzi o jednostki nie będące uczelniami – na 11 pozycji. W dyscyplinie Farmakologii i toksykologii Instytut jest na 63 miejscu na świecie spośród wszystkich, a na 8 spośród jednostek nie akademickich.

Na platformie wzięto pod uwagę 429 instytucji zajmujących się farmacją i naukami farmaceutycznymi, a stanowią one niewielki odsetek wszystkich instytucji pracujących w tej tematyce. Instytut Farmakologii PAN, w którym pracuję, notowany jest najwyższy w kraju w dziedzinie farmacji i nauk farmaceutycznych, zajmując równocześnie 209 pozycję wśród jednostek umieszczonych na platformie. W przypadku instytucji, które nie są uczelniami, jest to pozycja 11 w świecie. Natomiast w dyscyplinie farmakologii i toksykologią Instytut Farmakologii PAN ma 63 pozycję wśród wszystkich 160 jednostek na platformie. Instytucji nieuczelnianych jest na platformie 19, a IF PAN zajmuje wśród nich pozycję 8.

Najciekawsza jest analiza zagadnień badawczych. Instytut Farmakologii jest na pierwszym miejscu na świecie w trzech takich zagadnieniach (patrz: Tabela 2), jednym z nich są antydepresanty, na drugim miejscu również w trzech zagadnieniach, jednym z nich jest ból neuropatyczny. Zagadnieniem antydepresantów (antidepressant) na świecie zajmuje się 59 402 badaczy, z których 297 znalazło się na liście 0,5% najwyższych notowanych na platformie. Znaczenia tego zagadnienia nawet nie trzeba wyjaśniać. Wszyscy wiemy, jak wielkim i narastającym problemem jest depresja i jak bardzo potrzebujemy skutecznej jej leczenia.

Instytut Farmakologii PAN zatrudnia 14 badaczy spełniających kryteria top 0,5% (patrz: Tabela 3); wśród nich jest prof. Jerzy Maj, którego nazwisko nosi Instytut, a który w czasie, gdy był dyrektorem Instytutu, skierował uwagę badaczy tej placówki na depresję i metody jej leczenia. W tym zagadnieniu spośród wszystkich jednostek (akademickich i nieakademickich) naukowych świata, których jest na liście 100, na pierwszym miejscu znajduje się Instytut Farmakologii PAN, na drugim University of Oxford, na czwartym Yale University, na dziewiątym National Institute of Mental Health, National Institutes of Health, a na dziesiątym Harvard University.

Jeżeli jakiś światły i dysponujący pieniędzmi decydent uzna, że depresja to poważny problem i należy ją badać i zwalczać, to nasz kraj ma najlepszą na świecie jednostkę zajmującą się tym zagadnieniem, tylko należy ją odpowiednio finansować. W Instytucie Farmakologii PAN prowadzone są badania nad nowymi antydepresantami. Przykładowo suma 100 mln zł na te badania mogłaby doprowadzić do powstania nowego, skutecznego leku. Jeżeli zażyje go 100 mln ludzi na świecie, płacąc za kurację 1000 zł, da to 100 miliardów przychodu rocznie (razy 20 lat, bo tyle trwa ochrona patentowa), a wtedy problemy z finansowaniem SAFE, szkolnictwa, nauki i nie tylko, przestaną istnieć.

Wydaje się, że platforma ScholarGPS® może się świetnie nadawać do identyfikacji najlepszych jednostek naukowych w naszym kraju.

Andrzej Pilc, Instytut Farmakologii PAN im. Jerzego Maja

Tabela 2. Miejsce Instytutu Farmakologii PAN w wiodących zagadnieniach badawczych

Zagadnienie naukowe	Pozycja
Antydepresanty	1
receptory asparaginowe	1
Antagoniści receptorów NMDA (np. ketamina)	1
Antagoniści receptorów	2
Ból neuropatyczny	2
Receptory glutaminianowe	2

Tabela 3. Miejsca badaczy z IF PAN w zagadnieniu antydepresanty

Nazwisko badacza	Miejsce na świecie
Andrzej Pilc	38
Gabriel Nowak	39
Mariusz Papp	53
Zofia Rogóz	75
Jerzy Vetulani	78
Piotr Popik	112
Grazyna Skuza	133
Agnieszka Pałucha-Poniewiera	166
Edmund Przeglasiński	168
Ewa Mogilnicka	175
Bernadeta Szewczyk	202
Jerzy Maj	212
Ewa Tatarczyńska	291
Piotr Brański	295

Otrząśnijmy się z chocholego tańca

Listy czasopism ogłaszane przez MNIŚW odgrywają jedną istotną rolę: skłaniają środowisko akademickie do dyskusji nad swoim funkcjonowaniem. To cenne dla całego systemu. Natomiast jest jasne, że jeśli wybiera się miejsce publikacji wyników badań, kierując ministerialną punktacją, to nie ma to bezpośredniego związku z troską o udział w dyskursie naukowym. Debata właściwa dla odpowiedniej subdyscypliny czy pola badawczego toczy się bowiem zgodnie z własnymi zasadami: publikuje się tam, gdzie zaglądają i dyskutują najbardziej nowatorscy i aktywni badacze w ramach naszej subdyscypliny. A to nie muszą być wysokopunktowane czasopisma z list, bo wielu badaczy, często najlepszych, tam po prostu nie ma. Ba! powiem nawet, że dla niektórych dyscyplin humanistycznych czasopisma mają drugorzędne znaczenie, bo z racji specyfiki celu poznawczego pierwszorzędą rolę odgrywają monografie. Lista ministerialna nie ma żadnego znaczenia i wpływu na rozwój nauki. Ale ma znaczenie dla polskich instytucji – a wtórnie dla ich pracowników – które poprzez zdobywanie punktów uczestniczą w mechanizmie zarządzania prestiżem. Przy tym budowanie prestiżu w oparciu o to i pokrewne narzędzia odbywa się wewnątrz niewielkiej grupy społecznej. Poza nią oznaki tego prestiżu nie mają żadnego znaczenia.

Podnosi się argument, że uzyskiwane w tzw. ewaluacji jakości badań (a częścią tego mechanizmu są owe listy) kategorie rzutują na finanse instytucji i dyscyplin. Jest to prawdziwe w bardzo ograniczonym stopniu. Po pierwsze dlatego, że ministerstwo nie dopuszcza do gwałtownych zmian kategorii wielu dyscyplin w jednej jednostce. Po drugie, ministerialny algorytm wyliczania subwencji blokuje głębsze zmiany finansowania z tytułu zmian kategorii. Po trzecie, to nie kategorie jakości badań w dyscyplinach decydują o poziomie finansowania uczelni. Dane obrazujące wzrost przychodów uczelni z tytułu przepływów środków z ministerstwa po ostatniej ewaluacji wskazują, że kluczowe znaczenie ma... wola ministra. A ta, jak na razie, nie szła w parze z fluktuacją kategorii jakości badań. Jeszcze gorzej wygląda sytuacja w poszczególnych instytucjach. Bo pamiętajmy, że subwencja finansuje uczelnie, nie poszczególne dyscypliny z ich kategoriami.

Nie ma żadnego powszechnego mechanizmu podziału środków subwencyjnych pomiędzy dyscypliny zgodnie z uzyskanymi kategoriami naukowymi. I tak 70-80% subwencji w jednostkach idzie na wynagrodzenia. Reszta jest dzielona głównie na potrzeby infrastrukturalne. Na badania przeznaczają się realnie 5-10% sumy (to i tak bardzo dużo, większość instytucji mogła, według mojej wiedzy, pozwolić sobie na 1-2% realnego wsparcia badań środkami subwencyjnymi), którą dzieli umowa między kierującym instytucją i odpowiednimi grupami nacisku. Jako członek dyscypliny historia z kategorią A+ otrzymywałem kilkaset złotych rocznie na badania. Dużo mniej niż koleżanki i koledzy z uczelni, w których moja dyscyplina była oceniana na B+.

O tym, że spór wokół mechanizmów „oceny jakości badań naukowych” toczy się o prestiż, świadczą próby porównywania wyników punktowych między dyscyplinami. Jest to tak sprzeczne z przyjętą logiką systemu ewaluacji nauki, że trudno to zrozumieć. Ale taka praktyka staje się zrozumiała, gdy uznamy, że przedmiotem sporu jest nie obiektywna jakość wyników badań czy zarządzania aktywnością naukową, lecz subiektywny, wewnątrzgrupowy prestiż. Nie zamierzam odnosić się do takiej aktywności. Każda grupa społeczna buduje swoje struktury i stabilizuje je wyznacznikami prestiżu. Kształt tych mechanizmów, sposób ich ustalania i dyskutowania wskazują, co jest celem funkcjonowania grupy.

Po głębokich zmianach wprowadzanych pod wpływem najpierw wewnątrzgrupowych lobbystów, później sentymentów polityczno-religijnych ministrów dzisiejszy system oceny jakości badań naukowych mierzy wiele zjawisk, ale nie jakość badań. Dlatego za naturalne przyjmuję zmiany proponowane przez obecne kierownictwo MNIŚW.

W ich wyniku system jeszcze mniej – o ile to możliwe – będzie mierzył jakość badań. Natomiast będzie służył zaspokojeniu potrzeb politycznych kierownictwa resortu, potrzeb prestiżowych grup lobbystów, wreszcie będzie definiował rozkład sił w strukturach wewnątrz społeczności akademickiej w całym kraju. Polityczny charakter procedury spowoduje zaś, że ulegnie ona zmianie wraz ze zmianą ministra, a już najpewniej wraz z powstaniem nowej koalicji rządzącej.

Wykorzystywanie skonstruowanego przez ministra Czarnka mechanizmu zarządzania sektorem nauki i szkolnictwa wyższego, w którym z pomocą formalnych i nieformalnych bodźców ręcznie i w zgodzie z intencją polityczno-ideologiczną kieruje się całym sektorem, ma dla nas – nie dla polityków! – swoje konsekwencje. Na skutek skoncentrowania dyskusji na wewnętrznych mechanizmach budowania prestiżu postępuje alienacja środowiska naukowego w społeczeństwie. Z tego zaś wynika malejący wpływ grupy akademików na otoczenie i adekwatne dostosowywanie działań polityków względem nas. W początkach pracy rządu premiera Tuska zwracałem uwagę, że na naukę nie będzie pieniędzy, jeśli nie przekonamy polityków i społeczeństwa do szybkich zysków ze wsparcia nauki. Korzyści dotykających, szeroko komentowanych w przestrzeni medialnej, odczuwalnych jako swoje przez większość obywateli. Nie podjęto tego tematu. Nasze skomplikowane raporty trafiają tam, gdzie politycy hodują pająki. W rezultacie odbiór społeczny nauki kształtowały problemy z Collegium Humanum. A to nie sprawiało, że politycy w obecnej sytuacji czuli presję na finansowanie sektora o marginalnym oddziaływaniu społecznym.

Czy władzom politycznym naszego sektora zależy na jakości nauki i edukacji wyższej? Wszystkie oznaki po dwóch latach sprawowania władzy wskazują, że nie. Gdyby było inaczej, mielibyśmy już kompleksową ocenę i propozycje zmian w Prawie o szkolnictwie wyższym i nauce. Dyskutowalibyśmy o wynikach ewaluacji skutków działań PKA dla aktywności dydaktycznej w powiązaniu z wynikami zatrudnienia i wysokością wynagrodzeń absolwentów (lekką zapomnianą ELA). Posiadalibyśmy adekwatny do zróżnicowanych celów jednostek mechanizm finansowania. I wreszcie – moglibyśmy analizować system oceny wydajności finansowania jednostek w odniesieniu do ich celów. Tymczasem dziś żaden z tych elementów nie może zostać poddany dyskusji, bo... nie istnieje. Ewentualnie znajduje się w ciągłej dyskusji kolejnych komitetów. Zmiany w ustawie PSWiN dotyczą rzeczy drugorzędnych. Ułatwiają one administrowanie jednostkami, ale nie poprawiają fundamentalnych możliwości uczelni. Procedowanie ustawy o Polskiej Akademii Nauk pokazuje brak mechanizmów merytorycznego namysłu nad celem funkcjonowania tej instytucji i determinacji w usprawnieniu jej funkcjonowania. Dyskusja nad mechanizmami oceny jakości badań jest... No cóż, jaka jest, każdy zainteresowany widzi.

Politycy mają swoją „agendę”. Potrzebują spokoju społecznego i stabilnego utrzymania własnej pozycji, a potem awansu w swoim środowisku na podstawie realizacji celów „prezesa”, „kierownika” lub „gospodarza”. Jeśli sektor nauki nie stawia im wymagań i nie burzy ich spokojnego snu, jeśli społeczliwie akceptuje narzucaną politykę, nie może spodziewać się ze strony polityków projałociowych działań, bo to nie leży w ich interesie.

Dyskusja nad listą czasopism nie przybliża nas do żadnego z kluczowych celów naszego sektora: istotnego uczestnictwa w światowym dyskursie naukowym; spełniania funkcji centrum dystrybucji wiedzy naukowej (ogólnoświatowej) w polskim społeczeństwie; pozyskiwania doskonałości dydaktycznej wynikającej z dwóch pierwszych punktów; służeniu społeczeństwu poprzez promowanie racjonalnej, otwartej dyskusji jako sposobu rozwiązywania sporów i uporczywe przypominanie, że nie ma demokracji bez kierowania się przez obywateli wiedzą

tak obiektywną, jak to tylko możliwe. Bał, pogłębia podziały sztucznie wywołane przez brak zrozumienia różnorodności szkolnictwa wyższego i Polskiej Akademii Nauk przez polityków. Uczelnie i instytuty naukowe w praktyce realizują różnorodne cele i w konsekwencji mogą odpowiadać na różne potrzeby społeczne. Nie znam żadnej instytucji – ale to może moja niewiedza – której wszyscy pracownicy są wybitnymi naukowcami, a ona cała poświęca się wyłącznie wsparciu nauki. Uważam, że zdecydowana większość instytucji nie jest w stanie zapewnić warunków do prowadzenia badań naukowych na przyzwoitym poziomie. Nie tylko ze względów finansowych. Bardzo często jest to skutek pielęgnowanej od lat kultury pracy, w której nie dostrzega się wspólnego poszukiwania prawdy o świecie jako wartości. I nie ma potrzeby, byśmy desperowali z tego powodu.

Jako naukowcy powinniśmy trzeźwo opisywać rzeczywistość. Zapytać się, jakie cele stawiają sobie instytucje? Jak chcą uzasadniać zapotrzebowanie na środki publiczne? I dopiero w odniesieniu do odpowiedzi na te fundamentalne pytania warto skonstruować system oceniający wywiązywanie się z planów i obietnic. W tym systemie – podkreślam: trzeźwej oceny realiów – kluczowe znaczenie musi odgrywać system grantowy, w którym jednostki i tworzone przez nie zespoły podejmują ryzykowną grę o odpowiedni poziom finansowania jakości badań naukowych. I jeśli instytucja naukowa nie chce lub nie może być ośrodkiem badawczym na poziomie przynajmniej europejskim w danej dyscyplinie, powinna dawać szansę pracownikom na realizację poprzez granty ich własnych ambicji i na ich komunikowanie otoczeniu.

Bo najważniejszym atutem sektora nauki nigdy nie były hierarchie wewnętrzne. Profesor w tramwaju jest dziś wart dla otoczenia równie wiele, co księgowy lub spawacz: albo jest kulturalnym współpasażerem, albo kłopotliwym natrętem. Jednocześnie erozja autorytetu społecznego całej społeczności akademików zachodzi od lat. Jest zjawiskiem globalnym, połączonym ze zmianami wartościowania informacji w przestrzeni publicznej. Ale w Polsce stała za nią także akceptacja przez środowisko naukowe roli milczącego bądź w przypadku niektórych osób i instytucji aktywnego wsparcia dla kolejnych partii władzy. Dziś deklarowanym celem społeczności akademickiej jest maksymalizowanie korzyści jej członków w oparciu o środki z budżetu państwa. Politycy mogą łatwo wykorzystywać ten mechanizm, by grając na podziałach wewnętrznych, uzależniać od siebie kluczowych aktorów naukowej sceny. Ale czy w rezultacie społeczeństwo wie, dlaczego ma nas finansować? Jeśli tak, to powinno wywierać presję na polityków, by dosypywali środków. Tymczasem nie widać takich działań.

Historycznie źródłem szczególnego autorytetu środowiska akademickiego było przekonanie, że jest to grupa ludzi mających unikalne kompetencje do poszukiwania prawdy i propagowania dróg dochodzenia do niej. W pragmatycznej tradycji amerykańskiej oznaczać to powinno materialne, łatwo mierzalne korzyści z aplikowania nowej wiedzy do potrzeb społecznych. W tradycji europejskiej prawda była wartością autoteliczną, nie wymagała uzasadniania dopóty, dopóki dążenie do niej

było klarowne, a wyniki doceniane przez społeczeństwo, bo były aplikowane do życia tak kulturalnego, jak społecznego i gospodarczego z korzyścią dla obywateli.

Gdy religia traciła monopol na objaśnianie świata, nauka oferowała trudne, ale wiarygodne recepty na korzystanie z życia tu i teraz. Kształcą opiniotwórcę elity, a pośrednio krytycznie myślących obywateli, budowała kościec dla społeczeństw demokratycznych. W świecie, gdzie dogmat nie ma znaczenia, pewność ma dawać nauka otwarta na krytykę i wsparta na weryfikowalnej jakości osiągniętych wyników. Praca nad poszukiwaniem prawdy jako wartość sama w sobie, komunikowanie wyników tych poszukiwań obywatelom jako aktywność formująca cały system polityczno-społeczny to nasz, akademików, unikalny wkład w demokrację znajdującą się w tak głębokim kryzysie, jaki dziś obserwujemy.

To są wyjątkowe wartości, ważne dla całego społeczeństwa z samej swojej istoty. Nikt poza nami nie może ich realizować. To oferujemy otoczeniu. Ścieżki, jakie wybieramy w tym celu, powinniśmy oceniać krytycznie, w perspektywie korzyści dla tych celów. Czy dyskusje nad punktami na listach do czegoś nas przybliżą? Wątpię, ale to nie jest zarzut skierowany do kogokolwiek. To nie jest też sugestia, że „odeszliśmy od ideałów akademickich” albo że „politycy myślą tylko o sobie”. To wezwanie, byśmy skupili się na rzeczach ważnych. Wezwanie skierowane do osób i instytucji kierujących dyskursem dotyczącym organizacji naszego sektora.

W przestrzeni publicznej hasła powiązane z wartościami akademickimi wciąż krążą: bezinteresowne poszukiwanie prawdy, kształcenie w tym duchu młodzieży, otwartość na dyskusję z użyciem argumentów, nie zaś siły, wreszcie – niezależność od sekciarskich interesów, działanie dla dobra całej ludzkości. Wartości akademickie wciąż mają wielki autorytet, bo są ucieleśnieniem uczciwego, szczerzego, a przez to godnego zaufania życia. Strząśnijmy z siebie narzucane nam, powierzchowne i czasami wręcz dramatycznie płytkie spory o wewnętrzny prestiż. To deprecjonuje wysiłek pokoleń naszych mistrzów. Wysiłek ludzi pragnących zdobyć wiedzę o rzeczywistości, by zastosować ją w życiu.

Twardo postawmy przed politykami nasze wartości i realne cele, jakie chcemy osiągać. Nie dajmy się omamić udziałem w kolejnych sieciach wpływu graczy lekceważących nasze wartości: komisjach, kongresach, ciałach doradczych i rozważających. Politycy powinni służyć społeczeństwu. Powiedzmy im, jak można wykorzystać naukę i nasz sektor dla dobra Polaków, Europejczyków, ludzi. Nie bójmy się wyjść z chocholego tańca bezużytecznych sporów. Życie jest za krótkie na lęk.

Przemysław Wiszewski, Uniwersytet Wrocławski



Chochoły, Stanisław Wyspiański

Źródło: Wikipedia

AZS najbardziej utytułowany

Europejska Federacja Sportu Akademickiego (EUSA) podsumowała ubiegły rok i przyznała wyróżnienia w sześciu kategoriach. Najbardziej utytułowaną – czyli z największą liczbą sukcesów sportowych swoich członków – federacją sportu akademickiego został wybrany Akademicki Związek Sportowy. Na ten sukces duży wpływ miała organizacja wydarzeń rangi Akademickich Mistrzostw Europy: w biegach na orientację, w sportach walki oraz w wioślarstwie. Imprezy odbywające się odpowiednio w Łodzi, Warszawie i Bydgoszczy stały na wysokim poziomie i były dobrze oceniane przez uczestników i przez obserwatorów.

W 2025 roku studenci-sportowcy z polskich uczelni zdobyli 92 medale, najwięcej ze wszystkich krajów. Na ten wynik złożyło się 25 złotych, 29 srebrnych i 38 brązowych krążków. Do wygrania klasyfikacji medalowej i wyprzedzenia Turcji zabrakło tylko jednego złota. Azetesiacy byli bardzo aktywni na arenie europejskiej, startując w 12 wydarzeniach z programu Akademickich Mistrzostw Europy. W zawodach wzięło udział ponad 430 studentów i studentek z polskich uczelni.

Ubiegły rok był wyjątkowo udany dla AZS w wydarzeniach organizowanych pod egidą EUSA. Nagroda stanowi swoiste podsumowanie osiągnięć sportowych zwieńczonych zdobyciem 92 medali, najwięcej ze wszystkich federacji zrzeszonych w EUSA. Ponad 2 tys. uczestni-

ków przyjechało do Polski, żeby uczestniczyć w Akademickich Mistrzostwach Europy w sześciu dyscyplinach.

– AZS od lat jest i pozostanie wśród najbardziej aktywnych federacji narodowych. Jest to efekt entuzjazmu, wsparcia władz uczelni i władz publicznych – powiedział Adam Roczek, wiceprezes Zarządu Głównego AZS ds. międzynarodowych.

Blisko podium w klasyfikacji na najbardziej utytułowane uczelnie znalazł się też Uniwersytet Warszawski. Tu bezapelacyjnie zwyciężył Uniwersytet w Zagrzebiu z 93 punktami na koncie. Stołeczna uczelnia znalazła się na czwartej pozycji z dorobkiem 63 punktów. Warszawiacy zdobyli w sumie 12 medali: 3 złote, 4 srebrne i 5 brązowych. Dobrym wynikiem mogą się też pochwalić Akademia Wychowania Fizycznego Józefa Piłsudskiego w Warszawie z 8 medalami i Uniwersytet Jagielloński z 4 krążkami.

EUSA co roku publikuje zestawienie statystyczne oraz ogłasza najbardziej aktywne i najbardziej utytułowane stowarzyszenie sportu akademickiego, a także najbardziej aktywną i najbardziej utytułowaną uczelnię. AZS wielokrotnie był nagradzany w obu kategoriach, a w 2022 roku zwyciężył w obydwu równocześnie.

Robert Zakrzewski



Fot. EUSA



Fot. EUSA



Wyśrubowali rezultaty

Aż siedem rekordowych wyników padło w Poznaniu podczas Akademickich Mistrzostw Polski w pływaniu. W klasyfikacji drużynowej obyło się bez większych zmian. W klasyfikacji kobiet tytuł obronił Uniwersytet Warszawski, a Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach wygrała klasyfikację generalną mężczyzn.

Sezon Akademickich Mistrzostw Polski nabiera tempa, a za sportowcami-studentami jedna z największych imprez w kalendarzu. Bliżko 1100 osób z 88 szkół wyższych pojawiło się na poznańskich Terminach Maltańskich. Przez dwa dni trwała tam zacięta walka w konkurencjach indywidualnych i sztafetach. Wśród uczestników pojawili się kadrowicze i medaliści uniwersjad, co dla wielu startujących było okazją, żeby porównać swoje wyniki na tle krajowej czołówki. Mocna obsada zapowiadała wysoki poziom rywalizacji.

Jedną z bohaterów zawodów była medalistka mistrzostw Europy Dominika Sztandera (AWF Wrocław), która zdobyła złoto na 50 metrów stylem klasycznym (29.80) i na 100 metrów klasycznym (1:04.60). W obu przypadkach wyprzedziła ona Barbarę Mazurkiewicz (UW Warszawa). Poziom rywalizacji był bardzo wysoki, bo zwyciężczyni ustanowiła w Poznaniu dwa rekordy Akademickich Mistrzostw Polski.

– Troszeczkę wyśrubowałam ten rezultat, rzuciłam wyzwanie Basi i mam nadzieję, że z czasem poprawi ten rekord. AMP-y to naprawdę fantastyczne zawody, z czasami na poziomie czołówki mistrzostw Europy. Wiadomo, że mieliśmy zmianę czasu, przerwa między kwalifikacjami a finałami nie była długa, także warunki były inne od standardowych, ale to nie przeszkodziło mi w tym, żeby szybko pływać – komentowała Sztandera, która planuje za dwa lata wystartować na igrzyskach olimpijskich w Los Angeles.

Z dwoma złotymi krążkami i dwoma rekordami AMP ze stolicy Wielkopolski wyjeżdżała kolejna medalistka mistrzostw Europy Zuzanna Famulok (AWF Katowice). Pływaczka była najlepsza na 200 metrów stylem motylkowym z wynikiem 2:11.72 i wygrała na 200 metrów stylem dowolnym z czasem 1:57.97. Warto dodać, że na tym drugim dystansie całe podium zajęły zawodniczki AWF Katowice.

Z dubletem Poznań opuścił też Aleksander Styś (UW Warszawa), który wygrał na 50 metrów stylem grzbietowym (23.26) i 100 metrów

grzbietem (50.52). W obu przypadkach są to nowe rekordy Akademickich Mistrzostw Polski. Dla Stysia był to też pierwszy start w tych zawodach i mimo indywidualnych sukcesów nie był on do końca zadowolony z debiutu.

– Głównym celem było przede wszystkim wygranie klasyfikacji drużynowej dla uczelni, a nie indywidualne osiągnięcia. Przed AMP-ami wiedziałem, że jestem w formie, bo szybko pływałem podczas Grand Prix w Oświęcimiu. W Poznaniu nie zrobiłem żadnej „życiówki”, ale czasy są naprawdę bardzo dobre jak na tak wczesny moment sezonu – dodał reprezentant UW Warszawa.

Niespodzianki nie było też w konkurencji 200 m stylem klasycznym, gdzie z czasem 2:22.03 triumfowała reprezentantka Polski Kinga Paradowska (WSG Bydgoszcz), poprawiając należący do niej rekord AMP sprzed roku z Lublina. Wśród medalistów i medalistek znaleźć można olimpijki Paulinę Pedę (AWF Katowice), która była najlepsza na 50 m stylem grzbietowym i Laurę Bernat (UW Warszawa), która wygrała na 200 m stylem grzbietowym. Natomiast na 200 metrów stylem klasycznym zwyciężył Dawid Wikiera (PO Opole), który podczas letniej uniwersjady zdobył cztery medale. To wszystko pokazuje, że za Akademickimi Mistrzostwami Polski w pływaniu idzie nie tylko wysoka frekwencja, ale też wysoki poziom.

W klasyfikacji generalnej kobiet zwyciężył Uniwersytet Warszawski przed AWF Katowice i AWF Warszawa. Natomiast w klasyfikacji mężczyzn po raz kolejny tytuł obronił AWF Katowice, wyprzedzając UW Warszawa i AGH Kraków. Najwięcej medali zdobyła Akademia Wychowania Fizycznego w Katowicach, bo aż 28 z czego 13 to złote.

Najlepszymi zawodnikami Akademickich Mistrzostw Polski w pływaniu wybrano Dominikę Sztandere i Aleksandra Stysia. Czekają na nich memoriałowe wyróżnienia przypominające o dawnych gwiazdach AZS. Organizatorem wydarzenia był AZS Poznań.

Robert Zakrzewski



Fot. Paweł Jaskółka

Nagrodzono najlepsze uczelniane projekty promocyjne

Podczas uroczystej gali w Krakowie rozdano nagrody i wyróżnienia za najlepsze projekty komunikacyjne, promocyjne i informacyjne realizowane na uczelniach. Wydarzenie było jednym z punktów programu XXVIII Konferencji Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom”.

Oceniając nadesłane projekty, kapituła brała pod uwagę ich innowacyjność i kreatywność na tle standardowych działań, zgodność z powszechnie uznawanymi zasadami public relations ze szczególnym uwzględnieniem ich aspektów etycznych, społeczną odpowiedzialność nauki oraz uzyskane korzyści i siłę oddziaływania. W tym roku zgłoszono 93 przedsięwzięcia, a laureatów wybrano w sześciu kategoriach.

Uczelnia w przestrzeni medialnej

Od komentarza do wpływu: Jak Uniwersytet SWPS współtworzy debatę publiczną, Uniwersytet SWPS.

Centrum Prasowe i Komunikacji z Otoczeniem Uniwersytetu SWPS realizuje strategiczną komunikację naukową, która przekłada się na rzeczywisty wpływ na debatę publiczną i kształtowanie polityki publicznej. W ub.r. Centrum przeprowadziło wiele skoordynowanych kampanii komunikacyjnych, które przynosiły znaczne zasięgi medialne, a przede wszystkim pozycjonowały uczelnię jako wiarygodne źródło wiedzy ekspercko-naukowej w istotnych dla społeczeństwa kwestiach. Wspomniane projekty komunikacyjne egemplifikują profesjonalne podejście SWPS do media relations i strategicznego wpływu na debatę publiczną. Ich celem jest pozycjonowanie uczelni jako wiarygodnego źródła wiedzy, a prowadzona komunikacja oparta jest na dowodach naukowych. Dzięki opublikowanym materiałom uzyskano prawie 34,5 tys. wzmianek w mediach, a dziennikarze zwracali się do ekspertów Uniwersytetu SWPS ponad 1800 razy.

Wyróżnienie: Nauka w krwiobiegu informacji. Historia o tym, jak wyciągnęliśmy naukę z cienia baz danych, Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.

Nowe media

Uniwersytet, ale to 1670, Uniwersytet Śląski.

To autorska produkcja wideo zespołu TikTokUŚ. Projekt osadzony w konwencji XVII wieku nieszablonowo łączy świat akademicki Uniwersytetu Śląskiego z historyczną stylizacją i współczesną popkulturą, nawiązując do popularnego serialu „1670”, a jego publikacja nieprzypadkowo zbiegła się z premierą drugiego sezonu produk-

cji. Jej reżyser, Kordian Kądziera, jest absolwentem Szkoły Filmowej UŚ, projekt stał się więc formą twórczego dialogu uczelni z jej absolwentami, podkreślając realny wpływ uniwersytetu na kulturę powszechną. Celem było ukazanie uczelni jako instytucji autentycznej, odważnej i bliskiej ludziom. Zespół chciał także dotrzeć do nowych odbiorców, wykorzystując format short video oraz real time marketing jako narzędzi nowoczesnej komunikacji uczelni w mediach społecznościowych. Materiał spotkał się z bardzo pozytywnym odbiorem w mediach społecznościowych, budując pozytywny wizerunek uczelni. Odbiorcy docenili zwłaszcza autoironiczny humor i dystans do własnej instytucji, w połączeniu z licznymi odniesieniami do historii oraz współczesności (IKEA, Wiedźmin, Erasmus+).

Wyróżnienie: Hity Rekrutacji/Jak Politechnika, to Bydgoska, Politechnika Bydgoska im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich.

Popularyzacja nauki

Teatr Nauki – Fizyczna Opowieść o Krainie Łodu, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Projekt jest przedsięwzięciem z zakresu popularyzacji nauk ścisłych, realizowanym z wykorzystaniem innowacyjnych metod dydaktycznych łączących edukację formalną z elementami sztuki teatralnej. Jest skierowany do uczniów szkół podstawowych i odpowiada na potrzebę kształtowania pozytywnych postaw wobec nauk ścisłych na wczesnym etapie edukacji, istotnym z punktu widzenia przyszłych wyborów edukacyjnych. Jego głównym założeniem jest przełamywanie stereotypów dotyczących fizyki jako przedmiotu trudnego i abstrakcyjnego przez prezentowanie zjawisk fizycznych w formie przystępnej, angażującej i dostosowanej do wieku odbiorców. Projekt realizowany jest w formule pełnowymiarowego spektaklu teatralnego, w którym treści merytoryczne z zakresu fizyki zostały trwale zintegrowane z narracją baśniową. Ma na celu popularyzację fizyki, rozwijanie ciekawości poznawczej, logicznego myślenia oraz kompetencji poznawczych uczniów, a także budowanie pozytywnych doświadczeń związanych z kontaktem z nauką.

Wyróżnienie: Kampania „Porusz serce”, Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu.

Kreacja

Nie studiuję dla dyplomu, Uniwersytet SWPS.

Celem kampanii było odczarowanie wizerunku studiów wyższych oraz pokazanie, że edukacja akademicka nie sprowadza się do uzy-



Zdjęcia: Łukasz Kamiński i Anna Wojnar

skania dyplomu, lecz jest procesem rozwoju intelektualnego, osobistego i społecznego. Projekt miał inspirować młodych ludzi do świadomego wyboru ścieżki edukacyjnej opartej na własnych wartościach, aspiracjach i potrzebie sprawczości. Kampania została zrealizowana w formule ogólnopolskiej, wokół kluczowego momentu ogłoszenia wyników matur. Jej osią komunikacyjną była autentyczność – świadoma decyzja kreatywna polegająca na zastąpieniu klasycznych haseł reklamowych realnymi historiami i głosami studentów. Projekt obejmował ponad 20 kreacji i był realizowany w kanałach digitalowych (Meta Ads, Google GDN, TikTok, YouTube Shorts, LinkedIn) oraz w przestrzeni miejskiej poprzez kampanię outdoorową w sześciu miastach. Kampania wzmocniła społeczną refleksję nad sensem studiowania oraz rolę uniwersytetu we współczesnym świecie.

Wyróżnienie: Cudze chwalicie, Fryzego nie znacie, Politechnika Śląska.

Promocja zagraniczna

Warsztaty UJ na EXPO 2025 w Osace: Mikołaj Kopernik i dawna nauka, Uniwersytet Jagielloński.

Projekt stanowił element międzynarodowej promocji Uniwersytetu Jagiellońskiego, polskiej nauki oraz dziedzictwa intelektualnego Europy Środkowej, wpisując się w ideę EXPO „Designing Future Society for Our Lives”. Jego celem było zaprezentowanie interdyscyplinarnego charakteru uczelni poprzez postać Mikołaja Kopernika, wybitnego uczonego, absolwenta UJ (wówczas Akademii Krakowskiej), łączącego astronomię, ekonomię i medycynę oraz nawiązanie relacji z japońskim środowiskiem akademickim, promocję oferty edukacyjnej i badawczej UJ oraz budowanie rozpoznawalności uczelni na arenie międzynarodowej. Warsztaty zostały zaprojektowane jako interaktywne, wielopłaszczyznowe doświadczenie edukacyjne. Ich uzupełnieniem był pokaz spektaklu *Światło–Dźwięk: Kopernik*, który w nowatorskiej, multimedialnej formie przybliżył sylwetkę uczonego i jego odkrycia, łącząc edukację z elementami widowiskowymi. Projekt wsparty został materiałami promocyjnymi (pocztówki, torby, koszulki) oraz szeroką kampanią informacyjną w mediach społecznościowych i na stronach internetowych UJ.

Wyróżnienia:

International Student Ambassador Program, Politechnika Białostocka.

Embrace a world of opportunities. Learn, grow, and become a medical professional with MUL!, Uniwersytet Medyczny w Łodzi.

Nagroda specjalna

Hejt boli. UWażajmy na słowa, Uniwersytet Warszawski.

To kampania edukacyjno-informacyjna na rzecz wspierania dialogu oraz przeciwdziałania hejtowi i mowie nienawiści na Uniwersytecie Warszawskim. Celem projektu jest podkreślenie, że na UW nie ma miejsca na hejt i mowę nienawiści, a każda osoba, która ich doświadczyła lub była ich świadkiem, znajdzie wsparcie na uczelni. Uniwersytet dąży do tego, aby wszyscy członkowie społeczności byli traktowani z szacunkiem, niezależnie od tego, kim są, bez względu na narodowość, płeć, niepełnosprawność, wiek czy orientację seksualną. Pokazując w kampanii przyczyny i konsekwencje mowy nienawiści: ból, cierpienie i psychiczną degradację osoby doświadczającej mowy nienawiści, a także uświadamiając, że mowa nienawiści wpływa na zdrowie psychiczne i może dotknąć każdego, Uniwersytet chciał zwrócić uwagę na etykę słowa, pokazać znaczenie konstruktywnej komunikacji w debacie akademickiej oraz zachęcić do przeciwdziałania naruszeniom, wskazując odpowiednie instytucje wsparcia i ścieżki reagowania na uczelni.

Wyniki ogłoszono podczas uroczystej gali wieńczącej pierwszy dzień XXVIII Konferencji Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom” na Uniwersytecie Jagiellońskim. Patronem medialnym wydarzenia było „Forum Akademickie”.

MK



Sprostowanie

W związku z informacją zawartą w tekście p. Roberta Traby *Dialog przestał być w cenie*, opublikowanym na Państwa stronie w dniu 16 lutego (chodzi o artykuł z „Forum Akademickiego” nr 12/2025), jakoby IPN polecił przetłumaczenie książki dr. Grzegorza Rossolińskiego-Liebe *Polnische Bürgermeister und der Holocaust. Besatzung, Verwaltung und Kollaboration (Polscy burmistrzowie i Holocaust. Okupacja, administracja i kolaboracja)*, pragniemy stanowczo zdementować tę informację. IPN nie zlecał tłumaczenia tej publikacji. W tej sprawie informowaliśmy już wcześniej. IPN opublikował natomiast krytyczną recenzję autorstwa dr. Damiana Sitkiewicza, która jest nadal dostępna online.

Karol Starowicz, Naczelnik Wydziału Analiz i Opracowań,
Biuro Rzecznika Prasowego IPN

Odpowiedź autora

Informację o tłumaczeniu otrzymałem z wiarygodnego źródła, od jednego z pracowników IPN. Wierzę swojemu informatorowi. Cieszę się natomiast, że pan naczelnik nie zakwestionował podobieństwa postępowania IPN w sprawie książki o burmistrzach do tego, jakie zastosowano w stosunku do wybitnej, dwutomowej publikacji *Dalej jest tylko noc* (2018). A właśnie to jest sensem całego akapitu.

Prof. dr hab. dr h.c. Robert Traba,
Instytut Studiów Politycznych Polskiej Akademii Nauk

KOPIPOL od początku był dziełem wspólnym

Świat się zmienił, kopiowanie dawno wyszło poza kserokopiarki. Sztuczna inteligencja, smartfony, tablety, komputery stały się podstawowymi narzędziami pracy i korzystania z wiedzy. Dlatego od lat zabiegamy o dostosowanie przepisów do tej rzeczywistości. To proces trudny, czasem długotrwały, ale konieczny, jeśli chcemy zachować elementarną równowagę.

Panie profesorze, jak doszło do powstania KOPIPOL-u w połowie lat dziewięćdziesiątych? Dlaczego to się stało w Kielcach? Czy istotne było, że zajęli się tym inżynierowie, czyli ludzie mający do czynienia z ochroną własności przemysłowej?

Początek, jak to bywa z rzeczami ważnymi, był nieoczywisty. Kiedy po raz pierwszy usłyszałem o tej idei, pomyślałem, że dla inżyniera to będzie swoisty „płodozmian”. Wyjście poza własną dziedzinę, poza utarte schematy. I jak się okazało, ten „płodozmian” trwa do dziś, już ponad trzy dekady. Impuls rzeczywiście wyszedł od ludzi, którzy mieli odwagę myśleć szerzej: profesora Jana Bleszyńskiego, prawnika, specjalisty w zakresie prawa autorskiego i własności intelektualnej, oraz prof. Bogdana Michalskiego, specjalisty w zakresie prawa prasowego. Obaj są związani z Uniwersytetem Warszawskim. Ale bardzo szybko ta idea przestała być inicjatywą kilku osób. Stała się wspólnym przedsięwzięciem środowiska naukowego z całej Polski, z różnych dyscyplin i różnych doświadczeń. Bo trzeba jasno powiedzieć: to nie był projekt „inżynierski” ani „prawniczy”. To był projekt ludzi nauki. Owszem, być może mój sposób myślenia – bardziej systemowy, nastawiony na szukanie rozwiązań – miał tu jakieś znaczenie. Ale nie przypisywałbym temu roli dominującej. KOPIPOL od początku był dziełem wspólnym.

A początki? Bez gabinetów i bez sekretariatów. Spotykaliśmy się po prostu w mieszkaniach, między innymi u profesora Cezarego Bocheńskiego z SGGW w Warszawie. Wielkim wsparciem była również pani Mariola Rozmus, wiceprezes Polskich Wydawnictw Ekonomicznych. Dyskusje przy herbacie, czasem przy bardzo długiej, miały więcej energii niż formy. Zresztą długo funkcjonowaliśmy pod nazwą, którą – mówiąc szczerze – trudno było wypowiedzieć jednym tchem bez treningu

oddechowego: Stowarzyszenie Zbiorowego Zarządzania Prawami Autorskimi Twórców Dzieł Naukowych i Technicznych. Do dziś mam wrażenie, że zanim ktoś zdążył ją dokończyć, rozmowa zdążyła pójść w zupełnie inną stronę. Dopiero propozycja doktora Zdzisława Piasty z Politechniki Świętokrzyskiej – KOPIPOL – wprowadziła coś, co w komunikacji jest bezcenne: prostotę.

Jeśli chodzi o Kielce, to nie był efekt wielkiej strategii. Raczej splot okoliczności i ludzi. Byłem w tym czasie związany z Politechniką Świętokrzyską i to właśnie tam pojawiła się pierwsza realna przestrzeń do pracy. Ogromną rolę odegrały osoby, które nie stały na pierwszym planie, ale bez których nic by się nie wydarzyło. Jedną z nich była pani Ewa Rabiej, która zajmowała się sprawami organizacyjnymi; można powiedzieć, że nasze pierwsze biuro miało w niej swojego anioła stróża.

A formalnie było tak, że 16 sierpnia 1995 roku minister kultury podpisał zezwolenie na naszą działalność. I tak zaczęła się historia, która, jak wspominałem, swój początek miała w rozmowach, czasem chaotycznych, czasem bardzo konkretnych, ale zawsze prowadzonych z przekonaniem, że za każdą publikacją stoją ludzie. A skoro tak, to ich praca ma swoją wartość. I powinna być traktowana poważnie.

Jak wyglądała działalność KOPIPOL-u, jak się kształtowała w ciągu trzydziestu lat? Pamiętam, że musieliście walczyć o miejsce na rynku praw autorskich.

Było dokładnie tak, jak pan mówi: KOPIPOL nie tyle wszedł na rynek, co raczej musiał sobie na nim miejsce wywalczyć i wypracować jednocześnie. Nie było wolnej przestrzeni, która czekała, aż ktoś ją zagospodaruje. Było raczej przekonanie, że

kolejna organizacja zbiorowego zarządzania nie jest potrzebna. Dlatego na początku zamiast współpracy pojawiały się emocje, zarzuty, różnego rodzaju oskarżenia. Sprawy te znalazły swój finał w sądzie i zostały rozstrzygnięte na naszą korzyść. To był moment przełomowy, od tego czasu zaczęto traktować KOPIPOL jako partnera, a nie ciekawostkę czy intruza. Równolegle toczyła się druga, mniej widowiskowa, ale znacznie trudniejsza praca – budowanie samego systemu poboru opłat reprograficznych i wypłat wynagrodzeń uprawnionym twórcom. Bo wbrew pozorom największym wyzwaniem nie był pobór środków należnych twórcom. Najtrudniejszy zawsze jest podział. I to podział sprawiedliwy.

Tu ogromną rolę odegrała praca profesora Jana Jerschiny, założyciela Instytutu Badań Rynku i Opinii Publicznej CEM, i profesor Elżbiety Traple, wybitnej specjalistki w zakresie prawa cywilnego oraz prawa własności intelektualnej. Stworzyli oni fundament metodologiczny. Dzięki temu nie działaliśmy intuicyjnie, tylko na podstawie badań i modeli, które pozwoliły odpowiedzieć na kluczowe pytanie: komu i dlaczego te środki się należą? Ale nawet najlepszy system na nic się zda, jeśli nie ma do kogo trafić. A dotarcie do indywidualnych twórców było przedsięwzięciem niemal detektywistycznym. Dziś wpisujemy nazwisko w wyszukiwarce i mamy kontakt. Wtedy to była praca wymagająca cierpliwości, konsekwencji i, nie ukrywam, pewnej dozy uporu. Dział repartycji wykonał pracę, którą bez przesady można nazwać tytaniczną. I wreszcie trzeci poziom trudności, chyba najbardziej subtelny. Trzeba było przekonać samych autorów, że należne im wynagrodzenia to nie jest ani pomyłka, ani – jak niektórzy podejrzewali – próba nadużycia. Pomógł w tym... system podatkowy. PIT, jakkolwiek rzadko bywa bohaterem pozytywnym, tutaj odegrał rolę instytucji zaufania publicznego. A potem zadziałało to, co w środowisku naukowym działa najlepiej – rekomendacja. Informacja zaczęła krążyć, rosło zaufanie. Równolegle prowadziliśmy spory z płatnikami, którzy traktowali i nadal traktują opłaty reprograficzne jak kolejny, zbędny ciężar.

Dziś jesteśmy w zupełnie innym miejscu. Warto podkreślić, że KOPIPOL w wielu obszarach wyznaczał kierunki, zwłaszcza na poziomie orzecznictwa, torując drogę nowym rozwiązaniom. A przed nami kolejne wyzwania. Świat się zmienił, kopiowanie dawno wyszło poza kserokopiarki. Sztuczna inteligencja, smartfony, tablety, komputery stały się podstawowymi narzędziami pracy i korzystania z wiedzy. Dlatego od lat zabiegamy o dostosowanie przepisów do tej rzeczywistości. To proces trudny, czasem długotrwały, ale konieczny, jeśli chcemy zachować elementarną równowagę. Bo ostatecznie rzecz jest bardzo prosta: za każdą publikacją, każdym artykułem, każdą książką stoją nie godziny, ale często lata pracy. A za pracę należy się wynagrodzenie.

Ile środków przez 30 lat zebrał KOPIPOL? Skąd one pochodzą? Jak nimi gospodarujecie?

Środki, którymi gospodaruje KOPIPOL, pochodzą z tzw. opłat reprograficznych – mechanizmu określonego w ustawie o prawie autorskim. Pobieramy je m.in. od producentów i importerów urządzeń kopiujących. To rozwiązanie ma swoją specyfikę i – nie ukrywamy – bywa przedmiotem dyskusji. Ale patrząc szerzej, można powiedzieć, że wpisuje się w pewien naturalny porządek rzeczy. Nauka i biznes są podmiotami ściśle ze sobą powiązanymi: jeden tworzy fundament, drugi go rozwija i wykorzystuje. Jeśli chodzi o skalę, przez trzydzieści lat wypłaciliśmy twórcom naukowym blisko sto milionów złotych. Zdecydowana większość, ponad dziewięćdziesiąt milionów, to środki przekazane w ramach repartycji, czyli indywidualnych wynagrodzeń. I tu dochodzimy do sedna. Nasze działania są ściśle określone ustawowo. Jako organizacja zbiorowego



for. Mateusz Woźniak

Prof. dr hab. inż. **Mieczysław Poniewski** (ur. w 1943 r.) specjalizuje się w zagadnieniach wymiany ciepła w przepływach wielofazowych oraz termodynamiki procesów nierównowagowych. Pracował na Politechnice Warszawskiej (uzyskał tytuł professor emeritus) i Politechnice Świętokrzyskiej, której prorektorem był w 1993-1999. Jest członkiem Komitetu Termodynamiki i Spalania, a także Komitetu Założycielskiego Stowarzyszenia KOPIPOL oraz od 1995 roku przewodniczącym Zarządu Stowarzyszenia. Nagradzany indywidualnie i zespołowo przez ministra edukacji narodowej oraz rektora Politechniki Warszawskiej za dorobek naukowy i dydaktyczny. Odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Medalem Komisji Edukacji Narodowej, Medalem nr 12 Podsekcji Przepływów Mikro i Wielofazowych Komitetu Mechaniki PAN oraz Odznaką Zasłużony dla Politechniki Warszawskiej.

rowego zarządzania nie mamy dowolności. Te środki nie są „do zarządzania” w swobodnym sensie. One mają trafić do twórców. Sam proces podziału, repartycja, to złożony mechanizm oparty na wynikach badań, który pozwala precyzyjnie przełożyć środki zebrane w systemie na konkretne osoby, których prace są kopiowane. Zdarza się oczywiście, że część środków nie zostaje odebrana przez twórców. Wówczas – po określonym czasie, zgodnie z ustawą – trafiają one do tzw. repartycji wtórnej i są ponownie rozdzielane w systemie. Ale to nie jest droga zamknięta. Jeśli autor zgłosi się później, istnieje mechanizm korekt, który pozwala tę sytuację uporządkować. Kolejnym obszarem naszego działania jest Fundusz Wsparcia Twórców – to już ponad pięć milionów złotych przeznaczonych na rozwój środowiska naukowego. Można więc powiedzieć bez wielkich słów: działamy transparentnie i dbamy o to, by pieniądze trafiały tam, gdzie powinny.

Jak docieracie do naukowców, żeby im te pieniądze przekazać? Wiem, że to równie trudna sprawa, jak samo zdobycie tych pieniędzy.

Jak wspominałem wcześniej, na początku największym wyzwaniem było zaufanie. Dziś nie mamy z nim problemu,

ale sama operacja dotarcia do konkretnych osób nadal bywa wymagająca. Dysponujemy oczywiście narzędziami, które bardzo to ułatwiają. Na naszej stronie internetowej www.kopipol.org.pl działa ogólnodostępna wyszukiwarka uprawnionych autorek i autorów, i to jest rzecz, którą zawsze podkreślam. Każdy o dowolnej porze może sprawdzić, czy czeka na niego wynagrodzenie. To jest rozwiązanie proste, ale niezwykle skuteczne, bo oddaje inicjatywę również twórcom. Do tego dochodzi komunikacja, zarówno w mediach branżowych, jak i w mediach społecznościowych, oraz systematycznie budowana baza kontaktów, która przez lata bardzo nam ułatwiła pracę. Dziś wyzwanie jest nieco inne niż kiedyś. Często nie chodzi już o to, żeby dotrzeć z informacją, tylko o to, żeby zamknąć cały proces. Mamy sytuacje, kiedy twórca wie, że środki na niego czekają, ale ich nie podejmuje, najczęściej dlatego, że są to relatywnie niewielkie kwoty, a procedura pozyskania wynagrodzenia wymaga pewnego zaangażowania. I tu pojawia się pewien paradoks systemowy. Z naszej strony wykonujemy pełną pracę: identyfikujemy twórcę, przygotowujemy rozliczenie, zapewniamy narzędzia i kontakt. Natomiast wypłata wymaga działania także po drugiej stronie. Nie możemy jej zrealizować „z urzędu”, bez udziału autora. Można mieć mylne wrażenie, że system jest mniej efektywny niż jest w rzeczywistości. Tymczasem dane pokazują coś innego: choćby w pierwszym kwartale tego roku wypłaciliśmy ponad 60% repartycji za rok ubiegły. Są też sytuacje bardziej złożone, na przykład dotarcie do spadkobierców praw autorskich, co bywa procesem wymagającym dużej staranności. Krótko mówiąc, dziś nie chodzi już tylko o znalezienie twórcy. Chodzi o to, żeby domknąć cały proces w sposób rzetelny i zgodny z zasadami, a to zawsze wymaga współpracy obu stron.

KOPIPOL nie tylko wypłaca honoraria wynikające z praw autorskich, ale także prowadzi różne programy wspierające ochronę praw autorskich i pomoc dla autorów prac naukowych. Proszę o tym opowiedzieć.

Tak, to prawda. To drugi, obok samej repartycji, bardzo ważny obszar działalności KOPIPOL-u. Realizujemy go w oparciu o Fundusz Wsparcia Twórców, który utworzyliśmy ze środków odzyskanych od użytkowników urządzeń kopiujących, których nie udało się nam przekazać bezpośrednio autorom dzieł naukowych. Ten program dotyczy wsparcia środowiska naukowego i budowania świadomości wokół prawa autorskiego. Do tej pory przeznaczyliśmy na ten cel ponad 5 milionów złotych. Finansujemy z tych środków konferencje, warsztaty, publikacje naukowe, ale też wspieramy przewody doktorskie, postępowania habilitacyjne i profesorskie. Dla wielu naukowców, zwłaszcza w obszarze publikacji, to jest realna, odczuwalna pomoc. I nie ukrywam, że ten obszar działalności przynosi nam też dużo satysfakcji. Dzięki temu jesteśmy dziś partnerem wielu ważnych wydarzeń naukowych w Polsce. Wiele konferencji i publikacji powstaje przy wsparciu KOPIPOL-u. Uruchomiliśmy również stypendia doktoranckie. Aktualny nabór trwa do końca maja 2026 roku. Wszystkie szczegóły można znaleźć na naszej stronie internetowej w zakładce Fundusz Wsparcia Twórców. To jest dla nas szczególnie ważne, bo chcemy, żeby młodzi, zdolni naukowcy widzieli swoją przyszłość w Polsce.

Równolegle prowadzimy działania związane z promocją nauki i samych naukowców. Stąd nasza seria „Nauka zaczyna się od ludzi”. Pokazujemy w niej nie tylko dorobek, ale też drogę, wyzwania i codzienność pracy badawczej. To obszar, który przez lata był niedostatecznie zagospodarowany, a który, jak widzimy, ma ogromne znaczenie.

Trzecim, najmłodszym kierunkiem naszej działalności są licencje – KOPILEGAL – zarówno dla biznesu, jak i sektora publicznego. Jesteśmy tu na początku drogi, ale widzimy już pierwsze efekty. To naturalny krok, skoro wiemy, że wiedza i dorobek naukowy są obecne w codziennej pracy firm i instytucji, to chcemy stworzyć dla nich jasne, uporządkowane ramy korzystania z tych zasobów. Takie, które dają poczucie bezpieczeństwa prawnego, ale też po prostu szacunku do pracy twórców. Można powiedzieć, że wszystkie te działania mają wspólny mianownik. Z jednej strony chronimy prawa autorskie twórców naukowych, to jest nasz fundament. Z drugiej staramy się tworzyć warunki, w których nauka może się rozwijać, być lepiej rozumiana i realnie wspierana.

Jak jest zorganizowane stowarzyszenie? Ile osób zatrudnia? Na czym polega codzienna praca zatrudnionych u was osób?

Zaczynaliśmy od jednej osoby w biurze. Dziś zespół liczy piętnaście osób i choć wciąż nie jest to duża struktura, zakres pracy, który wykonują, jest naprawdę szeroki. W każdej organizacji zbiorowego zarządzania są dwa kluczowe obszary: inkaso, czyli pobór środków oraz repartycja, czyli ich podział i wypłata. To są działy, które pracują bardzo intensywnie i wymagają dużej precyzji, bo każdy etap musi być zgodny z przepisami i odpowiednio udokumentowany. Dużą część naszej codziennej pracy stanowi bezpośredni kontakt z twórcami: odpowiadanie na pytania, wyjaśnianie procedury repartycji i pomoc w przejściu przez cały proces pozyskania wynagrodzenia. To jest praca wymagająca cierpliwości i uważności, bo za każdym zgłoszeniem stoi konkretna osoba.

Nie sposób też funkcjonować bez solidnego zaplecza prawnego. Współpracujemy z prawnikami specjalizującymi się w prawie autorskim, bo to obszar, który wymaga stałego monitorowania i reagowania na zmiany. Do tego dochodzi obsługa Funduszu Wsparcia Twórców, czyli przyjmowanie i analiza wniosków, ich weryfikacja. Tych wniosków jest dużo i każdy wymaga indywidualnego podejścia. W ostatnich latach bardzo ważnym elementem stała się również komunikacja. Jesteśmy obecni w mediach, uczestniczymy w konferencjach, staramy się docierać do środowiska naukowego różnymi kanałami.

Można więc powiedzieć, że jesteśmy zespołem niewielkim, ale pracującym na wielu frontach jednocześnie. A to, co nas łączy, to coś trudniejszego do wpisania w schemat organizacyjny: poczucie, że ta praca ma sens.

Jakie są perspektywy dalszego funkcjonowania KOPIPOL-u na rynku praw autorskich w obszarze publikacji naukowych? Jak widzi pan miejsce stowarzyszenia w najbliższej i dalszej przyszłości?

Jesteśmy dziś w momencie, który w dużej mierze tę przyszłość definiuje. Mam na myśli długo wyczekiwane rozporządzenie dotyczące rozszerzenia katalogu urządzeń kopiujących, od których pobierana jest opłata reprograficzna, o smartfony, tablety, komputery. To kierunek, o który KOPIPOL zabiegał od lat. I można powiedzieć, że kiedy ten moment wreszcie nadszedł, zamiast stabilizacji pojawiła się poważna niepewność i realna destabilizacja naszej pracy. W pierwszym projekcie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego organizacja reprezentująca twórców naukowych została pominięta. To nie był szczegół, to był sygnał, że środowisko naukowe można potraktować jako mniej istotne.

Reakcja środowiska naukowego była jednoznaczna. Powstał list otwarty, pod którym podpisało się kilka tysięcy naukowców, a także najważniejsze instytucje: Polska Akademia Nauk, Konferencja Rektorów Akademickich Szkół Polskich, wiele uczelni. W konsultacjach międzyresortowych również Mini-

sterstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego jasno wskazało, że nie można marginalizować organizacji reprezentującej twórców naukowych. Warto podkreślić, że KOPIPOL jest jedyną organizacją reprezentatywną w odniesieniu do twórców nauki. Regularnie prowadzone badania niezależnego instytutu badań i opinii publicznej pokazują, że ta kategoria twórczości jest kopiowana najczęściej.

Dziś jesteśmy po etapie konsultacji. Z jednej strony widzimy, że KOPIPOL pozostaje w systemie w dotychczasowym zakresie. Z drugiej, kwestia poboru opłat od nowych urządzeń kopiujących, tj. tabletów, komputerów, smartfonów, nadal nie została rozstrzygnięta w sposób satysfakcjonujący. I tu pojawia się zasadniczy paradoks. Według projektu Ministerstwa Kultury te środki mają trafić do organizacji reprezentującej wydawców, podczas gdy prawo autorskie w swojej istocie powinno chronić przede wszystkim twórcę. Trudno nie odnieść wrażenia, że nauka, która współtworzy fundament rozwoju, w tym konkretnym mechanizmie została potraktowana jako element drugoplanowy. I na to nie ma zgody ani naszej, ani całego środowiska. Warto też jasno powiedzieć: Departament Prawa Autorskiego i Filmu działa w strukturze Ministerstwa Kultury. Naturalne jest więc, że w centrum uwagi są artyści. Ale naukowcy to również twórcy i państwo nie może ich pomijać w systemowych decyzjach. Nie możemy, tak jak to było do tej pory, pozostawiać ciała obcego.

Jesteśmy więc w momencie oczekiwania, ale też spokojnej konsekwentnej pracy. Co do niektórych decyzji Ministerstwa Kultury głos będzie musiał zabrać sąd. Skierowaliśmy tam dwie sprawy dotyczące nadania w ostatnim czasie dwóm organizacjom uprawnień krzyżujących się z uprawnieniami

KOPIPOL-u: dla Copyright Polska i Repopolu. Te krzyżujące się repertuary będą stanowiły realny problem w przestrzeni prawa autorskiego, którego ministerstwo zdaje się nie zauważać. Wiele z tych wątpliwości zostało już przez nas jasno nazwanych w pozwach sądowych i mamy nadzieję, że ostateczny kształt rozporządzenia będzie uwzględniał rolę twórców naukowych w sposób rzeczywiście adekwatny, a nie symboliczny.

Jeśli chodzi o perspektywę nieco dalszą, widzimy kilka kierunków. Jednym z nich jest rozwój systemu licencyjnego KOPILEGAL, o którym wspomniałem. Chcemy, aby zarówno firmy, jak i instytucje publiczne miały jasne i bezpieczne ramy korzystania z dorobku naukowego. To działanie, które – jeśli się dobrze rozwinie – może być realnym wsparciem dla twórców. Drugim obszarem jest sztuczna inteligencja. Tu wszyscy obserwujemy rzeczywistość, która zmienia się szybciej niż przepisy. Wiemy, że modele AI są trenowane m.in. na treściach naukowych. Nie chodzi o to, żeby zatrzymywać rozwój technologii. Przeciwnie, chodzi o to, żeby ten rozwój był oparty na uczciwych zasadach. To będzie wymagało nowych rozwiązań prawnych i – być może – szerszej współpracy różnych środowisk. My na pewno trzymamy rękę na pulsie.

A jeśli miałbym to wszystko podsumować, powiedziałbym tak: przyszłość KOPIPOL-u jest nierozdzielnie związana z przyszłością nauki. Jeśli nauka będzie traktowana poważnie, także w wymiarze ochrony praw autorskich badaczy i ich wynagradzania, to takie organizacje jak nasza będą potrzebne. I będą miały swoje miejsce.

Rozmawiał Piotr Kieraciński



Zarząd Stowarzyszenia KOPIPOL od lewej: wiceprzewodniczący dr hab. inż. Jacek Wernik, prof. uczelni, wiceprzewodnicząca dr Agnieszka Kowalska-Lasek, skarbniczka dr hab. Agnieszka Piotrowska-Piątek, prof. uczelni, przewodniczący prof. dr hab. inż. Mieczysław Poniewski, członek zarządu dr inż. Robert Grabarczyk.

Czy IDUB jest doskonały?

W pierwszym tysiącu uniwersytetów rankingu szanghajskiego było w 2025 roku tylko 7 polskich uczelni. Nie ma w tym zestawieniu nawet wszystkich laureatek pierwszego konkursu IDUB; niektóre pojawiły się na krótko i szybko wypadły z tego grona, za to są (pojawiają się) polskie uczelnie spoza IDUB.

Z końcem ubiegłego roku zakończono realizację pierwszego programu Inicjatywa Doskonałości – Uczelnia Badawcza. Na mocy ustawy Przepisy wprowadzające ustawę – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce z dnia 3 lipca 2018 roku środki finansowe w postaci zwiększenia subwencji o 10 procent będą wypłacane laureatom pierwszego konkursu jeszcze w tym roku. Wspomniana ustawa zakładała bowiem przygotowanie przez uczelnie programu na 6 lat, a wypłatę pieniędzy przez 7 lat. Grafik był taki: konkurs w 2019 roku, realizacja w latach 2020-2025, wypłata środków w latach 2020-2026. Ostatni rok, tj. bieżący, to czas podsumowania i oceny realizacji programów uczelni laureatek oraz przygotowanie i przeprowadzenie kolejnego konkursu.

Historia tego kalendarza też miała swoje zwroty. Najpierw jedna z uczelni, która miała prawo wziąć udział w konkursie – Uniwersytet Pedagogiczny w Krakowie – nie złożyła dokumentów, co wkrótce naprawiła. Okazało się, że uczelnie nie zdążyły złożyć dokumentacji w określonym komunikatem z 26 marca 2019 roku terminie 24 czerwca, a zatem tego właśnie dnia w odrębnym komunikacie wydłużono termin składania wniosków do 26 czerwca – raptem o 2 dni. Z kolei w komunikacie z 19 grudnia określono, że jeśli uczelnia nie złożyła umowy na czas, to uważa się ją za złożoną w terminie, jeśli zostały złożone stosowne wyjaśnienia. Ciąg tych komunikatów pokazuje, że uczelnie miały problem z przygotowaniem dokumentacji niezbędnej do udziału w konkursie, a władzom resortu nauki bardzo zależało na realizacji programu IDUB i na udziale wszystkich uprawnionych uczelni.

Realny, bo mniej elitarny

W końcu poszerzenie liczby laureatów i beneficjentów programu to był lep, na który miało się złapać – i złapało ochoczo – środowisko akademickie. Przecież o powołaniu superelitarnych uczelni flagowych, wiodących i tym podobnych mówiono od wielu lat. Nikt nie odważył się wcześniej zrealizować tego postulatu: dać kilku uczelniom ogromne pieniądze, aby weszły do światowej czołówki. Możliwość zdobycia poparcia środowiska naukowego, a zapewne i politycznego, wiązała się z odejściem od jego ściśle elitarnego charakteru, czyli zarzuceniem pomysłu powołania dwóch, trzech, może pięciu uczelni badawczych, które otrzymałyby znaczące środki w zamian za istotną poprawę pozycji w międzynarodowych rankingach, wejście do pierwszej, a choćby tylko drugiej setki rankingu szanghajskiego – o tym wspominał minister nauki Jarosław Gowin, dając na to znacznie więcej czasu niż okres realizacji jednego konkursu, co zrozumiałe.

Ponieważ taki program nie zyskał akceptacji – był politycznie niemożliwy do realizacji – minister Gowin postanowił go „spowszednić”. Laureatek miało być 10, ale pozostałe uczelnie, które uzyskają prawo do udziału w konkursie – jak się okazało, było ich również 10 – też miały dostać zwiększenie subwencji, ale znacznie mniejsze, bo dwuprocentowe i tylko na sześć lat, o ile ich programy zostaną ocenione pozytywnie. Już wtedy wymyślono, że będą dwie grupy uczelni uprawnionych do udziału w programie IDUB, a określały to Przepisy wprowadzające ustawę – Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce (art. 305 ust. 2): co najmniej połowa jednostek organizacyjnych uczelni posiada kategorię naukową A+ albo A oraz podstawowe jednostki organizacyjne posiadają uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego w co najmniej 4 dziedzinach, lub co najmniej 2/3 jednostek organizacyjnych uczelni posiada kategorię naukową A+ albo A oraz podstawowe jednostki organizacyjne posiadają uprawnienia do nadawania stopnia doktora habilitowanego w 3 dziedzinach określonych (tu chodziło o uczelnie medyczne). Do tego „żadna jednostka organizacyjna (...) nie posiada kategorii naukowej C”, a „żaden kierunek studiów nie posiada negatywnej oceny programowej”.

Wyniki konkursu pokazały, że programy przedstawione przez dziesiątkę laureatek otrzymały wysokie i w miarę równe oceny. Różnica między najwyższą (36,5 pkt.) a najniższą (31,5 pkt.) ocenionym programem wynosiła tylko 5 punktów (na 40 możliwych). Uczelnia laureatka, o której już wiemy, że nie weźmie udziału w drugim konkursie, wcale nie była najsłabsza.

Tabela 1. Punktacja w pierwszym konkursie IDUB (możliwe było przyznanie 40 punktów)

Uczelnia	Liczba punktów
Uniwersytet Warszawski	36,5 pkt.
Politechnika Gdańska	35 pkt.
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	34 pkt.
Akademia Górniczo-Hutnicza	34 pkt.
Uniwersytet Jagielloński	34 pkt.
Politechnika Warszawska	34 pkt.
Gdański Uniwersytet Medyczny	33,5 pkt.
Politechnika Śląska	33 pkt.
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	32,5 pkt.
Uniwersytet Wrocławski	31,5 pkt.

10 procent znaczy 11 procent

Wkrótce – gdy zaczynała się realizacja programu był rok 2020 i czas pandemii – okazało się, że z wypłatą należności dla laureatów konkursu będą problemy. W tej sytuacji Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego uzyskało zgodę, by początkowo owe ustawowe 10 procent subwencji wypłacać laureatom nie w formie gotówki, ale obligacji skarbu państwa. Przez pierwsze pięć lat (z siedmiu) uczelnie laureatki dostawały obligacje skarbu państwa o wartości 11 procent ich subwencji z 2019 roku, a różnica między pierwotnymi założeniami ustawowymi a rzeczywistością wynikała z troski, by beneficjentki nie straciły w przypadku spieniężenia walorów przed upływem terminu wykupu. Z drugiej strony, zatrzymanie tych papierów do formalnego terminu wykupu dawałoby możliwość zarobienia odsetek. Po roku 2024 postanowiono wrócić do 10 procent w gotówce. Tak więc w latach 2020-2024 laureatki IDUB dostały należność w postaci obligacji, a w latach 2025 i 2026 w gotówce na konto.

Kto zagra w IDUB?

Nie wiemy jeszcze, jak zostaną ocenione realizacje programów pierwszego konkursu, bowiem uczelnie laureatki mają czas na złożenie raportów do 30 czerwca, czyli do dnia, gdy upływa termin zgłoszeń do drugiego konkursu, co Ministerstwo Nauki ogłosiło w komunikacie z 13 lutego. Potem jest czas na ocenę sprawozdań z realizacji zadań pierwszego IDUB i aplikacji do drugiego konkursu. To dziwna historia, bowiem nie jest jasne, czy wszystkie laureatki pierwszego konkursu będą mogły wziąć udział w drugim konkursie. W ustawie Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce jest mowa o tym, że dwie laureatki nie będą mogły zostać laureatkami kolejnego konkursu. Gdyby w nim uczestniczyły, dostałyby tylko 2 procent zwiększenia subwencji. Jeśli nawet realizacja programów wszystkich uczelni, które wygrały pierwszy konkurs, zostałaby oceniona pozytywnie, to zespół ekspertów będzie musiał sporządzić listę rankingową, w wyniku czego dwie najniżej ocenione uczelnie stracą możliwość udziału w drugim konkursie.

Już od kilku lat (od ogłoszenia wyników poprzedniej ewaluacji okresu 2017-2021) jest jasne, że ta zasada będzie dotyczyła tylko jednej uczelni, bowiem niezależnie od wyniku oceny na pewno w drugim konkursie Inicjatywa Doskonałości – Uczelnie Badawcze nie będzie mógł uczestniczyć Gdański Uniwersytet Medyczny, który w ostatniej ewaluacji otrzymał dwie kate-

gorie B+ i jedną A, a zatem nie realizuje ustawowego wymogu posiadania w 2/3 ewaluowanych dyscyplin kategorii A+ i A (to już wymóg z PSWN, o czym za chwilę). Z powodu słabszych wyników ewaluacji w aktualnym konkursie, który został otwarty z początkiem kwietnia, nie będą mogły uczestniczyć również inne uczelnie, które brały udział w pierwszym konkursie. Warunków udziału w programie IDUB nie spełniają bowiem uniwersytety: Gdański, Łódzki, Śląski i Komisji Edukacji Narodowej. Stracą one dwuprocentowe zwiększenie subwencji, które pobierały przez ostatnie sześć lat. Zauważmy, że są to same duże, cenione uniwersytety. Najbardziej zapewne żałuje UŚ, któremu zabrakło tylko jednego A (zamiast B+), żeby pozostać w gronie kandydatów do konkursu IDUB i nadal otrzymywać przynajmniej dwuprocentowe zwiększenie subwencji. Subwencja UŚ w 2025 roku, która będzie stanowiła podstawę naliczenia wysokości dodatku, wyniosła 539,6 mln zł, a zatem jej dwuprocentowe zwiększenie oznaczałoby 10,8 mln zł rocznie przez 5 lat.

Na razie ustawa Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce mówi jasno: „Środków finansowych na okres kolejnych 6 lat nie otrzymują co najmniej 2 uczelnie, z którymi minister zawarł umowę” (art. 394. 1.). Z kolei art. 387. 2. PSWN stanowi, że „środki finansowe może otrzymywać nie więcej niż 10 uczelni akademickich”. Połączenie obu tych zapisów sugeruje, że do grona 10 laureatek drugiego konkursu mogą wejść dwie „nowe” uczelnie. Konkurencja jest silna, a mocnych kandydatek jest wiele.

Stawiam na Politechnikę Wrocławską jako jedną z nowych laureatek drugiego konkursu. Ostatnio odnosi ona szereg sukcesów i wyraźnie lokuje się wśród najlepszych uczelni w Polsce. W ewaluacji osiągnęła najlepsze wyniki wśród kandydatek do IDUB: same A+ i A, przy czym 4 kategorie A+ stanowią niemal 31% wszystkich 13 uzyskanych kategorii (pomijam tu uczelnie medyczne z 3 dyscyplinami). PWR pnie się też ostro w górę w zestawieniach beneficjentów grantów Narodowego Centrum Nauki. O ile w 2019 roku była na 9. miejscu pod względem liczby grantów, to w 2024, z 89 grantami, już na 4. Miejsce. Jednakże to wciąż daleko za potentatami, którymi są Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Warszawski, które dostały ponad 200 grantów. W latach 2019-25 PWR znalazła się czterokrotnie w rankingu szanghajskim, a w 2025 roku jako jedna z siedmiu polskich uczelni, choć kilka innych polskich uczelni wypad(a)ło z niego w ostatnim roku, a są wśród nich laureatki IDUB. Niektóre nigdy nie weszły do tego zestawienia.

Skład międzynarodowego zespołu ekspertów IDUB 2020-2026

Prof. Lauritz Holm-Nielsen, przewodniczący; botanik i fitogeograf; były rektor Uniwersytetu w Aarhus, były wiceprzewodniczący Europejskiego Stowarzyszenia Uniwersytetów. Współautor raportu o polskim systemie nauki i szkolnictwa wyższego 2017 Peer Review Report on Poland's Higher Education and Science System przygotowanego przez ekspertów Komisji Europejskiej w ramach Horizon 2020 Policy Support Facility.

Prof. Enric Banda, geofizyk; były sekretarz stanu w Ministerstwie Edukacji i Nauki Królestwa Hiszpanii i dyrektor Katalońskiej Fundacji Badań i Innowacji (2004-2007), przewodniczącym stowarzyszenia EuroScience (2006-2012).

Dr Jo Bury, nauki farmaceutyczne i medyczne, dyrektor zarządzający Flamandzkiego Instytutu Biotechnologii, członek Rady Konsultacyjnej Europejskiej Rady ds. Innowacji (EIC).

Mariana Chioncel, starszy wykładowca na Uniwersytecie w Bukareszcie (fizyka) oraz ekspert ds. polityki publicznej dla Rumuńskiej Agencji Wykonawczej ds. Finansowania Szkolnictwa Wyższego, Badań, Rozwoju i Innowacji (UEFISCDI).

Caroline Fennell, profesor prawa w School of Law University College Cork, ekspert w zakresie wymiaru sprawiedliwości w sprawach karnych i prawa dowodowego.

Prof. Simon Gaskell, chemik, przewodniczący Rady Dyrektorów Agencji ds. Jakości Kształcenia Zjednoczonego Królestwa.

Prof. Éva Kondorosi, biolog z Węgierskiej Akademii Nauk; była wiceprzewodniczącą Rady Naukowej Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. Założycielka Instytutu Nauk Roślinnych CNRS.

Prof. Peter Maassen, ekspert w zakresie badań nad sektorem badań i szkolnictwa wyższego. Przewodniczący Higher Education Development Association (Hedda) – europejskiego stowarzyszenia instytucji badających szkolnictwo wyższe. Profesor Uniwersytetu w Oslo.

Dr Sijbalt Noorda, prezydent Magna Charta Observatory. Były prezydent Uniwersytetu w Amsterdamie oraz Stowarzyszenia Holenderskich Uniwersytetów Badawczych. Prowadzi badania nad historią kultury i religii w Europie.

Tabela 2. Do drugiego konkursu mogą przystąpić (alfabetycznie)

Nazwa uczelni	Kategorie naukowe
Laureatki I konkursu IDUB	
Akademia Górniczo-Hutnicza	(1A+, 1-A, 6B+)
Politechnika Gdańska	(6A+, 6A, 2B+)
Politechnika Śląska	(2A+, 7A, 3B+)
Politechnika Warszawska	(2A+, 10A, 13B+)
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	(4A+, 11A, 8B+)
Uniwersytet Jagielloński	(5A+, 12A, 11 B+)
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	(4 A+, 12A, 13 B+)
Uniwersytet Warszawski	(8A+, 12A, 4B+)
Uniwersytet Wrocławski	(3 A+, 11A, 11B+)
Pozostałe uczelnie akademickie	
Federacja Naukowa WSB-DSW Merito	(5A, 5B+)
Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II	(3A+, 6A, 5B+)
Politechnika Krakowska im. Tadeusza Kościuszki	(1A+, 7A)
Politechnika Lubelska	(2A+, 4A, 1 B+)
Politechnika Łódzka	(A+, A, B+))
Politechnika Poznańska	(2A+, 7A)
Politechnika Wrocławska	(4A+, 9A)
Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie	(1A+, 2A)
Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu	(2A, 1B+)
Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu	(3A)
Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	(1A+, 2A)
Uniwersytet Medyczny w Lublinie	(2A, 1B+)
Uniwersytet Medyczny w Łodzi	(2A, 1B+)
Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie	(5A, 2 B+)
Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu	(2A+, 2A, 4 B+)
Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	(1A+, 3A, 1B+)
Uniwersytet SWPS	(2A+, 4A, 1B+)
Warszawski Uniwersytet Medyczny	(3A)

Kto może?

Zakładam, że wszystkie 10 laureatek pierwszego konkursu uzyska pozytywną ocenę realizacji swoich programów. Wniosuję tak na podstawie ewaluacji śródkresowej, w której wszystkie uczelnie zostały ocenione pozytywnie. I tak, do drugiego konkursu wejdzie tylko 9 z nich; zakładam, że wszystkie złożą wniosek, bowiem z przyczyn formalnych odpada GUMed. Warunkiem generalnym udziału w konkursie IDUB, określonym w PSWN, jest ewaluowanie 6 dyscyplin i uzyskanie co najmniej połowy kategorii A+ i A, a także brak kategorii B i C, prowadzenie szkoły doktorskiej i brak negatywnej oceny programowej (art. 388 PSWN). Warto zauważyć, że w konkursie mogą wziąć udział uczelnie medyczne, a zatem relatywnie nieduże instytucje, które ewaluowały co najmniej 3 dyscypliny, a 2/3 z nich uzyskało kategorię A+ lub A (art. 463 PSWN; pozostałe warunki jak w art. 388 PSWN).

Do drugiego konkursu może przystąpić – oprócz 9 laureatek pierwszego konkursu – 17 uczelni i jedna federacja uczelni, które

nie były laureatkami pierwszego konkursu, w tym 6 uczelni, które bez sukcesu uczestniczyły w pierwszym konkursie. W tym gronie jest aż 7 uczelni medycznych, z których 3 uczestniczyły także w pierwszym konkursie. Zakładam, że wszystkie uczelnie, które spełniają formalne kryteria, złożą aplikacje. Mamy zatem 27 kandydatek do drugiego konkursu IDUB.

Jest jednak pewien problem. Priorytety. Otóż w pierwszym konkursie priorytety badawcze określały same uczelnie na podstawie własnych osiągnięć i zasobów, a ograniczeniem tego był jedynie wymóg, aby była wśród nich jedna z nauk humanistycznych, społecznych lub teologicznych, jeśli uczelnia posiadała w takich dziedzinach uprawnienia akademickie. W komunikacie ministra nauki z 13 lutego uczelnia także określa priorytety samodzielnie, ale musi wśród nich znaleźć się jeden z sześciu wskazanych przez ministerstwo, czyli: geopolityka i bezpieczeństwo; cyfryzacja i rozwój sztucznej inteligencji; technologie kosmiczne; transformacja energetyczna; zmiany demograficzne i ich wpływ na społeczeństwo; gospodarka obiegu zamkniętego i surowce krytyczne. To obszary badawcze, które mogą być trudne do zaplanowania dla uczelni medycznych, a tych jest aż 7, czyli 26 procent. Duże uniwersytety i uczelnie techniczne oraz przyrodnicze na pewno coś dla siebie znajdą. W gronie kandydatów jest 9 uczelni technicznych, 7 uczelni medycznych, 6 publicznych uniwersytetów klasycznych (to, że tylko tyle, jest sporym zaskoczeniem!), 3 uniwersytety przyrodnicze, 1 niepubliczny uniwersytet klasyczny i 1 niepubliczna federacja uczelni.

Kto, ile dostał

Udział w konkursie IDUB, a zwłaszcza znalezienie się w gronie 10 laureatek, daje wymierne korzyści finansowe. Laureatki dostają dziesięcioprocentowe zwiększenie subwencji, a pozostałe kandydatki – dwuprocentowe. W przypadku pierwszego konkursu 10 procent wypłacane jest przez 7 lat: od roku 2020 do 2026 włącznie. W ciągu pięciu lat ów dodatek przekazywany był laureatkom w postaci obligacji skarbu państwa o wartości 11 procent subwencji z roku 2019. W ten sposób przekazano uczelniom prawie 2,5 mld zł. W latach 2025 i 2026 dostają one dziesięcioprocentowe dodatki – w sumie 903 mln zł w gotówce na konta. Łącznie zatem laureatki pierwszego konkursu IDUB zebrały 3 mld 387 mln zł. Koszty dwuprocentowych zwiększeń subwencji pozostałych 10 uczestników IDUB – wypłacane w gotówce na konto – wyniosły dotąd 294,5 mln zł. Koszty pierwszej realizacji programu IDUB wyniosły około 3,7 mld zł (trzeba tu dodać „koszty operacyjne”, czyli działania zespołu

Tabela 3. Wydatki na pierwszy konkurs IDUB. Uczelnie laureatki

Uczelnie	Obligacje przez 5 lat (w zł)	Pieniądze przez 2 lata (w zł)	Łącznie przez 7 lat (w zł)
Uniwersytet Jagielloński	429 465 000	156 168 240	585 633 240
Uniwersytet Warszawski	395 405 000	143 749 460	539 154 460
Akademia Górniczo-Hutnicza	292 135 000	106 230 460	398 365 460
Politechnika Warszawska	286 930 000	104 304 829	391 234 829
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza	270 740 000	98 436 220	369 176 220
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	201 320 000	73 196 480	274 516 480
Politechnika Śląska	192 400 000	69 963 280	262 363 280
Uniwersytet Wrocławski	181 915 000	66 144 960	248 059 960
Politechnika Gdańska	154 980 000	56 355 920	211 335 920
Gdański Uniwersytet Medyczny	78 465 000	28 533 454	106 998 454
Łącznie	2 483 665 000	903 083 303	3 386 748 303

Tabela 4. IDUB druga dziesiątka dodatki do subwencji w latach 2020-2025

Uczelnia	Wysokość dodatku 2 %	Łączne zwiększenie przez 6 lat
Politechnika Łódzka	5 773 600	34 641 600
Politechnika Wrocławska	9 066 000	54 396 000
Uniwersytet Gdański	5 322 800	31 936 800
Uniwersytet Łódzki	6 908 200	41 449 200
Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu	3 558 600	21 351 600
Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	2 365 200	14 191 200
Uniwersytet Medyczny w Łodzi	4 287 600	25 725 600
Uniwersytet Pedagogiczny im. Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie	2 493 100	14 958 600
Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	3 112 900	18 677 400
Uniwersytet Śląski	6 195 400	37 172 400
Łącznie	49 083 200	294 499 200

ekspertów, konferencji IDUB-owych, administracji programem po stronie MNiSW). Nie wliczam w to środków wypłaconych uczelniom, które w wyniku kolejnej ewaluacji uzyskały prawo do udziału w konkursie IDUB, gdyż raczej należy je zaliczyć do kosztów drugiego konkursu, MNiSW bowiem w komunikacie o przyznaniu zwiększenia nawiązuje do tego konkursu, pisząc: „spełniają kryteria przystąpienia w 2026 r. do konkursu w ramach programu «Inicjatywa doskonałości – uczelnia badawcza»”, a wynika to z PSWN.

Ile będzie kosztował drugi IDUB?

Skoro wiemy z grubsza, ile kosztowała pierwsza odsłona programu IDUB, spróbujmy policzyć, ile będzie kosztowała kolejna. To będzie tylko zgrubny i częściowy szacunek, ale chyba bliski prawdy. Biorę pod uwagę 9 obecnych laureatek i Politechnikę Wrocławską. Subwencje tych uczelni w roku 2025 (a ten będzie stanowił podstawę naliczania zwiększeń IDUB-owych) wyniosły łącznie 8 766 364 900 zł, co znaczy, że dziesięcioprocentowe zwiększenie będzie rocznie kosztowało budżet nauki 876,6 mln zł. To o 425,1 mln zł więcej niż wyniosły dotychczasowe zwiększenia IDUB-owe. Stanowi to wzrost o 94 procent w stosunku do kosztów z pierwszego konkursu. W ciągu sześciu lat na 10 laureatek, jeśli tyle ich będzie (tj. zespół oceni pozytywnie co najmniej 10 wniosków), wydamy z budżetu nauki ponad 5,26 mld zł. Zapewne każda z uczelni, która ma taką możliwość, weźmie udział w drugim konkursie. Zapewne wszystkie staranie opracują swej programy, które dzięki temu zostaną pozytywnie ocenione przez zespół ekspertów – to warunek otrzymania owych dwuprocentowych zwiększeń subwencji. A zatem nie dość, że uczelni jest na starcie znacznie więcej (27, czyli o 7 więcej) niż za pierwszym razem, to ich subwencje były w 2025 roku znacznie wyższe niż w roku 2019. W najlepszym przypadku dla uczelni biorących udział w konkursie, tzn. gdy wszystkie programy uczestniczek zostaną ocenione pozytywnie, a minister zdecyduje o finansowaniu ich wszystkich, jak za pierwszym razem, nakłady na uczest-

niczki spoza grona laureatek wzrosną z obecnych 49 mln zł do 95,5 mln zł rocznie, tj. o 94 %. W ciągu pięciu lat da to 570 mln zł, a cały koszt drugiego IDUBu może wynieść nawet ponad 6 mld zł, mimo skróconego o rok czasu finansowania.

Kolejnym po kosztach w relacji do spodziewanych, na podstawie dotychczasowej obserwacji, korzyści dla systemu nauki w Polsce, problemem drugiego IDUB jest udział uczelni medycznych. Nie ma wyraźnych powodów, aby traktować je odrębnie od pozostałych uczelni i dawać inne warunki udziału w IDUB. Jeśli program IDUB ma dać coś więcej, niż tylko stworzenie w polskim systemie nauki kolejnej relatywnie dużej wyodrębnionej grupy uczelni, ale zapewnić kilku uczelniom – sądzę, że na więcej niż 3-5 nie ma szans – znaczący awans w światowej rywalizacji uniwersytetów, zasady trzeciego konkursu muszą być inne. Trzeba zmienić ustawę PSWN w tym zakresie. O ile także politycy zdecydują, że taki ambitny cel jest jeszcze ważny i aktualny. I zdobędą się na odwagę, bo z protestem uczelni spotkają się z całą pewnością.

Zwiększenie subwencji dla uczelni niepublicznych, w tym wypadku Uniwersytetu SWPS, naliczane będzie od ich subwencji na utrzymanie i rozwój potencjału badawczego. Co prawda wspomniany uniwersytet jest pod względem wysokości subwencji krajowym liderem w gronie uczelni niepublicznych, jednak mimo to kwota wyjściowa do naliczenia zwiększenia będzie bardzo niska. Uniwersytet SWPS otrzymał w 2025 roku subwencję o wartości 6,2 mln zł. Oznaczałoby to, że 10 proc. to ok. 620 tys. zł, a 2 procent – 120 tys. zł. Uczelnia otrzymuje w ostatnich latach dodatkowe 56 tys. zł w formie zwiększenia do przygotowania do IDUB. Nie jest oczywiste, od jakiej podstawy miałby być naliczany dodatek dla Federacji Naukowej WSB Merito. Federacja nie otrzymuje subwencji, ale w 2025 roku tworzące ją uniwersytety, otrzymały łącznie nieco ponad 1,2 mln zł. Łatwo obliczyć, jak symboliczne byłoby jej zwiększenie nawet w przypadku wejścia do zwycięskiej dziesiątki. Mówiąc krótko, dla uczelni niepublicznych udział w konkursie IDUB może wiązać się z poniesieniem nakładów, których w żaden sposób nie zrekompensuje zwiększenie subwencji nawet o 10 procent. Niejasna sytuacja prawna federacji jeszcze komplikuje sprawę.

Co nam dał IDUB?

Nie potrafię odpowiedzieć, czy 3,7 mld zł w pierwszej odsłonie programu IDUB wydano sensownie. Zapewne oceny

Tabela 5. Subwencje pierwszej dziesiątki IDUB + PWr w latach 2019 i 2025.

(w tabeli GUMed zastępujemy PWr, aby pokazać ewentualną skalę łącznego wzrostu kosztów zwiększenia subwencji IDUB-owej w wyniku drugiego konkursu)

Uczelnia	Subwencja w 2019 r.	Subwencja w 2025 r.	Wzrost
Uniwersytet Jagielloński	780 841 200	1 489 082 300	90,7 %
Uniwersytet Warszawski	718 74 7 300	1 325 765 100	84,4 %
Politechnika Warszawska	521 524 100	917 459 400	76,0 %
Akademia Górniczo-Hutnicza w Krakowie	531 152 300	894 714 900	68,4 %
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu	492 181 100	855 890 400	74,0 %
Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu	365 982 400	674 129 700	84,0 %
Politechnika Śląska	349 816 400	630 664 400	80,3 %
Uniwersytet Wrocławski	330 724 800	579 181 900	75,1 %
Politechnika Gdańska	281 779 600	527 422 800	87,2 %
Politechnika Wrocławska	453 300 000	872 054 000	92,4 %
Łącznie	4 826 049 200	8 766 364 900	81,6 %

Tabela 6. Subwencje uczelni kandydatek do IDUB 2 w roku 2025 (bez PWR).

Uczelnia	Subwencja 2025	Wartość zwiększenia o 2 %
Politechnika Lubelska	221 683 200	4 433 664
Politechnika Łódzka	473 210 800	9 464 216
Politechnika Krakowska	382 172 800	7 643 456
Politechnika Poznańska	451 887 300	9 037 746
Uniwersytet Przyrodniczy w Lublinie	225 458 900	4 509 178
Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu	264 830 100	5 296 602
Uniwersytet Przyrodniczy we Wrocławiu	284 862 600	5 697 252
Katolicki Uniwersytet Lubelski Jana Pawła II	259 573 900	5 191 478
Pomorski Uniwersytet Medyczny w Szczecinie	172 499 200	3 449 984
Uniwersytet Medyczny im. Karola Marcinkowskiego w Poznaniu	331 540 900	6 630 818
Uniwersytet Medyczny im. Piastów Śląskich we Wrocławiu	294 966 800	5 899 336
Uniwersytet Medyczny w Białymstoku	249 496 400	4 989 928
Uniwersytet Medyczny w Lublinie	336 065 000	6 721 300
Uniwersytet Medyczny w Łodzi	393 587 000	7 871 740
Warszawski Uniwersytet Medyczny	424 209 200	8 484 184
Uniwersytet SWPS	6 239 500	124 790
Federacja Naukowa WSB-DSW Merito	1 219 200	24 384
łącznie	4 773 502 800	95 470 056

będą różne. Wyniki ewaluacji śródkresowej, w której wszystkie laureatki otrzymały pozytywną ocenę, wskazywałyby na to, że tak. Każda z tych uczelni coś uzyskała i coś za te pieniądze zrobiła. I zapewne każda ma się czym pochwalić. Dla poszczególnych uczelni udział w konkursie IDUB to wielka szansa na podjęcie rozmaitych działań, które bez dodatkowych środków nie miałyby szans na realizację. Czy jednak jako kraj osiągnęliśmy to, czego oczekiwaliśmy po tym programie: zbudowania silnej lub kilku silnych, międzynarodowo rozpoznawalnych uczelni badawczych? A może przynajmniej zbliżyliśmy się do tej perspektywy? Czy nasze najlepsze uniwersytety znalazły się w pierwszej setce międzynarodowych rankingów (takie byłby marzenia decydentów i nie tylko ich)? Nie, z wyjątkiem zestawień „by subject”, gdzie w różnych rankingach coś tam drgnęło. To są jednak tylko wąskie tematy, dyscypliny, specjalizacje. A przecież „wyspy doskonałości” miały być stworzone przez uczelnie, biorące udział w programie Regionalna Inicjatywa Doskonałości. I takie trafiły do zestawień tematycznych w rankingach międzynarodowych, obok tych IDUBowych. Tymczasem IDUB miał poprawiać międzynarodową pozycję naszych uczelni. Laureatki już bywają tytułowane mianem uczelni badawczych, a i same chętnie tak się tytułują. To nie znajduje odzwierciedlenia w międzynarodowych rankingach.

W pierwszym tysiącu uniwersytetów rankingu szanghajskiego było w 2025 roku tylko 7 polskich uczelni. Nie ma w tym zestawieniu nawet wszystkich laureatek pierwszego konkursu IDUB. Co więcej, liczba polskich uczelni w tym zestawieniu spadła z 11 w roku 2022. W ostatnich 6 latach (2020-2025) zawsze w pierwszym tysiącu najlepszych uczelni świata obecnych było 5 laureatek IDUB: Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński, Akademia Górniczo-Hutnicza, Uniwersytet im. Adama Mickiewicza i Politechnika Warszawska. Politechnika Gdańska była w pięciu zestawieniach (2020-2024), a Uniwersytet Mikołaja Kopernika w czterech (2022-2025). Nie znalazły się w nim Gdański Uniwersytet Medyczny, który już nie ma możliwości udziału w drugim konkursie, Politechnika Śląska i Uniwersytet Wrocławski. W rankingu ARWU przez 6 lat

pojawiała się tylko jedna uczelnia z drugiej dziesiątki pierwszego konkursu – to Politechnika Wrocławska, która wystąpiła w nim trzykrotnie, w latach 2021, 2022 i 2025. Są też czterokrotnie Warszawski Uniwersytet Medyczny (lata 2020-2023) i Uniwersytet Medyczny we Wrocławiu (lata 2021-2024), które mogą przystąpić do aktualnego konkursu. Pojawiły się też uczelnie, które na IDUB nie miały i nie mają obecnie szansy. To Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego (2021 i 2022) i Śląski Uniwersytet Medyczny (2020).

W Światowym Rankingu Uniwersytetów QS z roku 2026 mamy

20 polskich uczelni (w latach 2020-2026 ich liczba wahała się między 16 a 22, przy czym wzrost ich liczby wiąże się ze wzrostem liczby uniwersytetów w rankingu z tysiąca do 1,5 tysiąca), w tym wszystkie 9 laureatek pierwszego konkursu (za wyjątkiem GUMed), z tym że UMK i PŚ są poza pierwszym tysiącem (w grupie 1001-1500). W zestawieniu (w drugim tysiącu, a dokładniej w trzeciej pięćsetce) mamy też uczelnie z drugiej dziesiątki pierwszego konkursu: Uniwersytet Gdański, Politechnikę Wrocławską, Uniwersytet Łódzki, Politechnikę Łódzką i Uniwersytet Śląski. I w tym samym miejscu 4 uczelnie, które spełniają kryteria udziału w drugim konkursie: Politechnika Krakowska, Uniwersytet Przyrodniczy w Poznaniu, Politechnika Poznańska i Politechnika Lubelska. Są w tej grupie także uczelnie spoza IDUB: Uniwersytet Warmińsko-Mazurski i Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego. Warto zwrócić uwagę, że w pierwszym tysiącu uwzględnianych w rankingu QS uniwersytetów jest 10 uczelni z Polski, co czyni sytuację bardziej zbliżoną do tej w ARWU. W zestawieniu QS nie ma też polskich uczelni medycznych, za to wyraźnie silniejsza jest pozycja przyrodniczych. Jak się wydaje, międzynarodowe rankingi uniwersytetów pokazują brak wpływu programu IDUB na istotne wzmocnienie międzynarodowej pozycji laureatek pierwszego konkursu.

Już słyszę krzyki, że było za mało czasu. A ile go potrzeba? I ile jeszcze pieniędzy? I czy program w obecnym kształcie, gdzie grube pieniądze dzielimy pomiędzy kilkadziesiąt uczelni, jest na pewno odpowiedni do tego, aby zbudować jedną lub kilka międzynarodowo rozpoznawalnych uczelni badawczych? Ktoś potrafi sensownie to przewidzieć i podjąć działania, które by do tego doprowadziły? Nie widzę takiej opcji.

Bardzo ciekawe są wyniki pierwszego konkursu IDUB w kontekście ewaluacji jakości badań naukowych. Oba zestawienia się nie pokryły. Kilka uczelni z drugiej dziesiątki i jedna laureatka IDUB straciły możliwość uczestnictwa w drugim konkursie. Mamy słabo sprecyzowane oczekiwania, dotyczące uczelni, a tworzone w naszym systemie ich rozmaite porównania nie są ze sobą kompatybilne.

Wyдай książkę z Wydawnictwem FRSE

Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji – Narodowa Agencja Programu Erasmus+ i Europejskiego Korpusu Solidarności – ogłosiła kolejną edycję konkursu na najbardziej wartościową monografię poświęconą edukacji

Inicjatywa „EDUinspiracje Nauka – Monografie FRSE” skierowana jest do badaczek i badaczy, którzy chcą, by ich praca wybrzmiała szeroko w środowisku akademickim i eksperckim. Zgłoszenia przyjmowane są przez internet do 30 kwietnia 2026 r.

Konkurs adresowany jest do autorów oryginalnych, niepublikowanych monografii podejmujących tematykę kluczowych wyzwań współczesnych systemów edukacji: umiędzynarodowienia szkolnictwa wyższego, mobilności akademickiej, jakości i inkluzywności kształcenia, innowacji dydaktycznych czy długofalowych efektów i priorytetów europejskich programów edukacyjnych, takich jak Erasmus+. Szansę na zwycięstwo mają prace wnoszące istotny wkład w rozwój badań nad uczeniem się i nauczaniem, spełniające wysokie standardy metodologiczne i etyczne.

Oceny zgłoszeń dokona Rada Naukowa Wydawnictwa FRSE – zespół uznanych ekspertów, doświadczonych akademików i wydawców reprezentujących różne dyscypliny z obszaru nauk o edukacji. Rada, w której zasiadają m.in.: prof. prof. Urszula Sztanderska, Ewa Chmielecka, Barbara Worek, Agnieszka Wilczyńska, Dariusz Rott, Piotr Kostyło i Jacek Pyżalski, czuwa nad poziomem merytorycznym publikacji oraz strategicznymi kierunkami rozwoju działalności wydawniczej.

Nagrodzona monografia zostanie opublikowana przez Wydawnictwo FRSE, ujęte w wykazie wydawnictw punktowanych MNIŚW (poziom I). Autor zwycięskiej pracy otrzyma honorarium, a książka ukaże się w języku polskim i angielskim w wersji drukowanej oraz elektronicznej w formacie otwartego dostępu. Publikacja będzie

indeksowana w międzynarodowych bazach naukowych i promowana podczas kluczowych wydarzeń poświęconych edukacji i nauce. To realna szansa na zwiększenie widoczności dorobku badawczego, zarówno w kraju, jak i za granicą.

– Konkurs „EDUinspiracje Nauka – Monografie FRSE” to inwestycja w jakość polskich badań nad edukacją i unijnymi programami w tym zakresie. Chcemy wspierać autorów, których prace nie tylko opisują rzeczywistość, ale realnie wpływają na rozwój systemów kształcenia w Polsce i Europie. Zachęcam wszystkich badaczy do zgłaszania swoich monografii, to szansa na szeroką, międzynarodową promocję wyników ich pracy – podkreśla Mirosław Marczewski, dyrektor generalny FRSE.

W poprzednich edycjach konkursu nagrodzono i wydano m.in. publikacje poświęcone umiędzynarodowieniu szkolnictwa wyższego, mobilności edukacyjnej i społecznym kontekstom uczenia się. Wśród laureatów konkursu są dr Agnieszka Anielska, dr Agata Radecka i dr Alicja Zawistowska-Sadowska. Wszystkie dostępne są w Czytelni FRSE (www.frse.org.pl/czytelnia).

Konkurs EDUinspiracje Nauka jest częścią szerszej inicjatywy – konkursu EDUinspiracje, w którym nagradzane są również najlepsze projekty realizowane w programach prowadzonych przez FRSE, a także najbardziej inspirujący twórcy przedsięwzięć edukacyjnych i dziennikarze piszący na ten temat.

Szczegółowe informacje oraz regulamin konkursu znajdują się na stronie: www.frse.org.pl/wydawnictwo

Arkadiusz Marciniak, Michał Pawleta, Włodzimierz Rączkowski

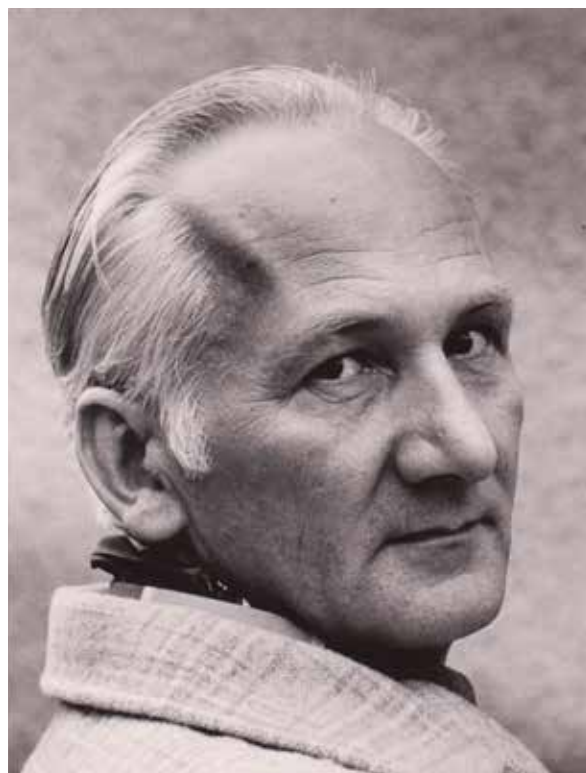
Poznańska Szkoła Archeologiczna

Zgodnie z teoretycznie ukierunkowaną archeologią, przedmiotem podlegającym badaniu nie jest samo wydarzenie, lecz myśl o nim. Tak rozumiana perspektywa teoretyczna stawia sobie za cel nie tyle samą przeszłość, co ludzkie wyobrażenia o niej ukierunkowane sposobami postrzegania świata, przyjętymi wartościującymi ideami i związanymi z nimi założeniami teoretycznymi.

Poznańska Szkoła Archeologiczna (PSA) jest najbardziej spójną, oryginalną i nowatorską szkołą myśli archeologicznej w Polsce. Rozwinęła się w środowisku akademickiej archeologii w Poznaniu w latach 70. XX wieku i jest nieprzerwanie praktykowana przez trzy pokolenia archeologów. Powstała w tradycji Poznańskiej Szkoły Metodologicznej, przejmując różne jej elementy.

Dystynktywny charakter poznańskiego środowiska metodologicznego ukształtował się na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza na przełomie lat 60. i 70. XX wieku wokół dwóch wybitnych filozofów: Jerzego Kmity i Leszka Nowaka. Powstał jako wypadkowa trzech elementów: filozofii nauki w ujęciu Karla Poppera i Kazimierza Ajdukiewicza, nieortodoksyjnego rozumienia materializmu historycznego oraz antynaturalistycznej metodologii nauk historycznych. W swej rozszerzonej wersji, postulowanej przez historyka Jerzego Topolskiego, Poznańska Szkoła Metodologiczna podkreślała pierwotność ontologii, szczególnie w odniesieniu do określania natury procesu badawczego oraz definiowania procedur epistemologicznych i metodologicznych. Do najbardziej dystynktywnych elementów wypracowanych w tym środowisku badawczym należą metoda idealizacji, społeczno-regulacyjna teoria kultury oraz interpretacja humanistyczna. Ta pierwsza oznacza procedurę badawczą polegającą na budowaniu idealnych modeli zjawisk, a następnie ich stopniowej konkretyzacji. Społeczno-regulacyjna teoria kultury ujmuje natomiast kulturę w sposób idealizacyjny jako społecznie podzielaną rzeczywistość myślową, na którą składa się zbiór przekonań normatywnych. Z kolei interpretacja humanistyczna oznacza procedurę badawczą zakładającą, że działania ludzkie są racjonalne w ramach określonych systemów kulturowych. Nakazuje ona rozpoznanie norm i przekonań, którymi kierują się badane grupy.

Założenia Poznańskiej Szkoły Metodologicznej zostały przyjęte z uznaniem przez szereg dyscyplin humanistycznych i społecznych, szczególnie w poznańskim środowisku akademickim. Dzięki płynącym z niej inspiracjom, powszechna stała się świadomość konieczności zrozumienia logicznej struktury procesu



Prof. Jan Żak, zdjęcie portretowe z 1977 r.

badawczego jako warunku koniecznego i niezbędnego uzyskiwania prawomocnej wiedzy naukowej. Jej ważnym elementem było wskazanie na fundamentalnie ważny wpływ teorii naukowych na kształt procesu badawczego. Podkreślano rangę explicite sformułowanej procedury metodologicznej zapewniającej integralność epistemologiczną badań. Wskazywano także na znaczenie metod empirycznych i formalnych w badaniach naukowych, któremu winna towarzyszyć refleksja nad ich ade-

kwatnością i komplementarnością. Wypracowano również podstawy metodologiczne badań interdyscyplinarnych, tworząc podwaliny pod integrację różnych dziedzin nauki, takich jak filozofia, logika, matematyka czy nauki przyrodnicze. Odwołanie się do koncepcji interpretacji humanistycznej pozwalało na zniwelowanie przepaści pomiędzy naukami przyrodniczymi a humanistycznymi.

Początki Poznańskiej Szkoły Archeologicznej

Archeologia była jedną z dyscyplin, która z entuzjazmem przyjęła inspiracje płynące z poznańskiego środowiska metodologicznego. Stało się ono w głównej udzialem Jana Żaka (1923-1990), wybitnego teoretyka archeologii i badacza średniowiecza. Z przekonaniem można uznać jego dokonania za podwaliny Poznańskiej Szkoły Archeologicznej jako dystynktywnego, konceptualnie i metodologicznie spójnego programu badań archeologicznych. Jako przeciwnik archeologii kulturowo-historycznej z jej naiwnym przekonaniem, że samo gromadzenie „czystych” faktów i źródeł oraz porządkowanie ich w ciągu chronologiczne dostarcza miarodajnych ustaleń i zapewnia prawomocność wiedzy o przeszłości, dostrzegł w inspiracjach płynących z Poznańskiej Szkoły Metodologicznej możliwość zbudowania silnych, alternatywnych podstaw epistemologicznych dyscypliny. Za szczególnie przydatne uznał wykorzystanie procedury interpretacji humanistycznej w ujęciu Jerzego Kmity. Zastosował ją do budzącego wiele kontrowersji zagadnienia ciągłości bądź jej braku w przypadku osadnictwa Słowian na ziemiach polskich w V i VI wieku n.e. Ujmował ją jako splot warunków życia, czynników zewnętrznych i wewnętrznych. Żak podkreślał również przydatność metody funkcjonalno-genetycznej w wyjaśnianiu świadomości historycznej społeczności pradziejowych.

Obszary inspiracji założeniami Poznańskiej Szkoły Metodologicznej przez archeologów pozostających w jej kręgu były zróżnicowane i zmieniały się w czasie. W latach 70. i 80. XX wieku podejmowano próby bezpośredniego zastosowa-

nia wypracowanych w jej ramach koncepcji, w szczególności społeczno-regulacyjnej teorii kultury jako sposobu konceptualizacji przedmiotu badań, a także metody idealizacji jako sposobu konstruowania procedur badawczych. Począwszy od lat 90., przy zachowaniu ogólnego programu badawczego odwołującego się do tradycji poznańskiej metodologii, podejścia te były sukcesywnie uzupełniane o rozwiązania z zakresu teorii i metodologii badań archeologicznych wywodzące się z różnych szkół badawczych, przede wszystkim z tradycji angloamerykańskiej.

W rezultacie tych dynamicznych procesów Poznańska Szkoła Archeologiczna w ciągu dekad przekształciła się w wyraźnie wyodrębnioną i wielowymiarową szkołę badań archeologicznych zakorzenioną w tradycji studiów kulturowych, filozofii, historii oraz nauk przyrodniczych. Jest nieprzerwanie uprawiana i rozbudowywana przez kolejne pokolenia badaczy. Cechuje ją w głównej mierze spójna i świadomie zaprojektowana metodologia badań, która stanowi konieczny i nieusuwalny element każdego projektu archeologicznego. Ma ona charakter zintegrowany i obejmuje metodologię nauk humanistycznych, filozofię nauki, metodologię historii, antropologię kulturową, procedury inferencyjne oraz empiryczne podstawy badań. Przedstawiciele Poznańskiej Szkoły Archeologicznej wypracowali także podstawy interdyscyplinarności, zarówno na poziomie konceptualizacji badań, jak i praktyki archeologicznej. Ważnym jej rysem jest pogłębiona refleksja nad intelektualnymi korzeniami i genezą akademickiej archeologii. Osobny nurt obejmuje konceptualizację badań nad empirycznymi podstawami dyscypliny, w szczególnością wykorzystanie szeregu kategorii źródeł archeologicznych. W obszarze jej zainteresowań znajduje się także konceptualizacja zachowań przestrzennych społeczności pradziejowych oraz studia nad religijnymi i symbolicznymi działaniami grup ludzkich. Istotne miejsce zajmuje również analiza społecznych uwarunkowań uprawiania archeologii, a także metarefleksja nad jej obecnością we współczesnym świecie i zmieniającym się statusem w relacji do zewnętrznych warunków jej praktykowania.



Relikty przeszłych działań ludzkich w kontekście współczesnego kontekstu środowiskowego i kulturowego

Poznańska Szkoła Archeologiczna współcześnie

Poznańska Szkoła Archeologiczna opiera się w głównej mierze na zespole Zakładu Historii i Metodologii Prahistorii dawnego Instytutu Prahistorii UAM, dzisiaj formalnie nieistniejącego, oraz sieci badaczy związanych z Polską Akademią Nauk. Jej osiągnięcia przełożyły się na powszechnie podzielaną opinię o wysokim poziomie metodologicznym archeologicznego kształcenia akademickiego na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu.

Badacze reprezentujący to środowisko naukowe podzielają przekonanie, że wszystkie działania archeologów są warunkowane akceptowaną (świadomie lub nieświadomie) teorią. Teoria powstaje w wyniku procesów poznawczych, a metoda traktowana jest jako sposób prowadzący do uzyskiwania zamierzonych wyników. W ten sposób eksponuje się zawartą w nich myśl, że metodologia to nauka o sposobach ujęcia teoretycznego interesującej nas dyscypliny. Nie dotyczy to więc samego przedmiotu badań archeologa, czyli przeszłości, lecz sposobów myślenia o niej. Chodzi zatem o sposoby poznawania (pra)dziejów, a nie o same (pra)dzieje. Zgodnie z teoretycznie ukierunkowaną archeologią, przedmiotem podlegającym badaniu nie jest samo wydarzenie, lecz myśl o nim. Tak rozumiana perspektywa teoretyczna stawia sobie za cel nie tyle samą przeszłość, co ludzkie wyobrażenia o niej ukierunkowane sposobami postrzegania świata, przyjętymi wartościującymi ideami i związanymi z nimi założeniami teoretycznymi.

W tym kontekście dystynktywnym obszarem badań prowadzonych w środowisku Poznańskiej Szkoły Archeologicznej jest natura materialnych pozostałości po społeczeństwach minionych. Jak podkreśla Włodzimierz Rączkowski, jeden z jej przedstawicieli, są one rozumiane jako swoisty „rdzeń badań archeologicznych”. Punktem wyjścia jest odrzucenie tezy, że „fakty mówią same za siebie”, na rzecz przekonania, że to sami archeolodzy odgrywają znaczącą rolę w ich tworzeniu. Chodzi więc o uświadomienie założeń badawczych oraz wpływu teorii sterujących interpretacją na fakty rekonstruowane przez archeologa. Tym samym prowadzi to do odsłonięcia założeń wartościujących i światopoglądowych, które nadają kierunek naszym archeologicznym interpretacjom.



Fot. Marcin Solakki

Danuta Minta-Tworzowska, najważniejsza postać
Poznańskiej Szkoły Archeologicznej

Znaczącym wkładem Poznańskiej Szkoły Archeologicznej są studia nad uporządkowaniem i klasyfikacją materialnych pozostałości, które stanowią podstawy empiryczne archeologii. Danuta Minta-Tworzowska, jej czołowa przedstawicielka, dowodziła, że klasyfikacja posługująca się kryterium podobieństwa i różnicy, jest uwarunkowana nowożytnie rozumianą ideą postępu i regresu oraz koncepcją zmian ujmowanych w perspektywie upływającego czasu. W takiej postaci stanowi ona podstawowy rdzeń koncepcji porządkującej źródła materialne.



Fot. Przemysław Krajewski

Czaszka tura ze śladami nacięć na lewym możdżeniu



Fot. Michał Pawleta

Jaćwieski Festyn Archeologiczny w Szwajcarii k. Suwałk

Czytelny rysem tego środowiska naukowego są także prace mające na celu wypracowanie formuły badań archeologicznych, która łączy ze sobą humanistykę i przyrodniczość. Postulują one przełamanie opozycji między archeologią jako nauką o kulturze człowieka a archeological sciences jako zespołem dyscyplin wyrosłych na gruncie nauk ścisłych i przyrodniczych. Integracja tych dwóch podejść musi się dokonać na płaszczyźnie teoretycznej i metodologicznej. Jest to jedyna możliwość osiągnięcia efektywnych fuzji tych dwóch nurtów badań nad przeszłością. Znalazła ona wyraz w pracach Arkadiusza Marciniaka odnoszących się do relacji między ludźmi a zwierzętami i budowaniu tożsamości społecznej poprzez kontakty ze zwierzętami i związanej z nimi sfery symboliczno-religijnej. Została ona określona społeczną zooarcheologią.

Najnowszym nurtem badawczym Poznańskiej Szkoły Archeologicznej są prace poświęcone analizie badanej przez archeologów przeszłości i dziedzictwu kulturowemu we współczesnym świecie. W szczególności dotyczą one zasad wykorzystania współczesnych schematów pojęciowych do badania przeszłości, co Michał Pawleta określa mianem „archeologicznie konstruowanej przeszłości”. Przyznaje on, że przeszłości nie jesteśmy w stanie ujmować, interpretować czy wyjaśniać w ramach właściwych dla niej systemów poznawczych, dlatego jesteśmy skazani na korzystanie wyłącznie z teraźniejszości. To w niej formułujemy pytania dotyczące przeszłości ukierunkowujące odpowiedzi na nie uzyskiwane w następstwie analizy odkrywanych materiałów. Należy jednocześnie pamiętać, że żadna z takich odpowiedzi nie jest aksjologicznie neutralna.

Znaczenie i dystynktywny charakter Poznańskiej Szkoły Archeologicznej wyznacza kilka powiązanych ze sobą elementów. Po pierwsze, wypracowała rygorystyczne i świadome

metodologiczne procedury badań archeologicznych. Przyczyniła się do podniesienia świadomości metodologicznej w badaniach archeologicznych poprzez wyznaczanie świadomie określanych zasad gromadzenia i interpretacji danych, które ustala się w perspektywie stawianych celów badawczych. Przyjęcie takiej procedury jest warunkiem koniecznym i niezbędnym uzyskania prawomocnych (w danym kontekście kulturowym) wyników badań nad przeszłością. Po drugie, wniosła istotny wkład w rozwój teorii archeologicznej w Polsce i w Europie. Podkreśla wiodącą rolę teorii w formułowaniu i realizacji procesu badawczego, która nie była oczywista (i dalej nie jest) ani nawet dostrzegana w ramach paradygmatu kulturowo-historycznego, nadal dominującego w polskiej tradycji badawczej. Badacze związani z Poznańską Szkołą Archeologiczną aktywnie uczestniczyli w debatach teoretycznych toczonych w archeologii, kwestionując utrwalone schematy i proponując oryginalne rozwiązania. Zaangażowanie intelektualne płynące z tego środowiska znacząco wzbogaciło myśl archeologiczną i pobudziło krytyczną refleksję nad naturą procesu archeologicznego. Po trzecie, Poznańska Szkoła Archeologiczna promuje współpracę interdyscyplinarną opartą na wspólnie wypracowanej koncepcji badań, uwzględniającej specyfikę poszczególnych dyscyplin, oraz na zintegrowanej procedurze metodologicznej. Pozwala ona na efektywne poznawczo współdziałanie archeologów ze specjalistami z innych dziedzin nauki, takich jak antropologia, historia, antropologia fizyczna, zoologia, geologia czy nauki o środowisku. Przyjęcie tej formuły współpracy interdyscyplinarnej umożliwia odejście od modelu współpracy polegającego na prostym zestawieniu wyników wytworzonych w ramach poszczególnych dyscyplin, ale jednocześnie pozwala na rozpoznanie szeregu zagadnień odnoszących się do przeszłości, które nie są możliwe do osiągnięcia przez samą archeologię.

Opowieść o ideach

Pod koniec 2025 roku nakładem renomowanego wydawnictwa Springer ukazała się książka *The Poznań School of Archaeology. The Origin, Growth and Significance* wydana w serii Outstanding Contributions to Archaeology. Publikacja pod redakcją Arkadiusza Marciniaka, Michała Pawłeta oraz Włodzimierza Rączkowskiego z Wydziału Archeologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu stanowi pierwsze tak szerokie i pogłębione opracowanie jednego z najbardziej oryginalnych nurtów współczesnej polskiej myśli archeologicznej.

Książka ukazuje fenomen Poznańskiej Szkoły Archeologicznej – środowiska intelektualnego, które ukształtowało się w latach 70. XX wieku i do dziś pozostaje ważnym ośrodkiem refleksji nad teorią i metodologią archeologii. Szkoła ta wyrosła w poznańskim środowisku akademickim i od tego czasu jest nieprzerwanie rozwijana przez trzy pokolenia badaczy. Jej geneza wiąże się z tradycją Poznańskiej Szkoły Metodologicznej, z której zaczerpnęła liczne inspiracje widoczne w pracach jej twórców, takich jak Jerzy Kmita, Leszek Nowak i Jerzy Topolski.

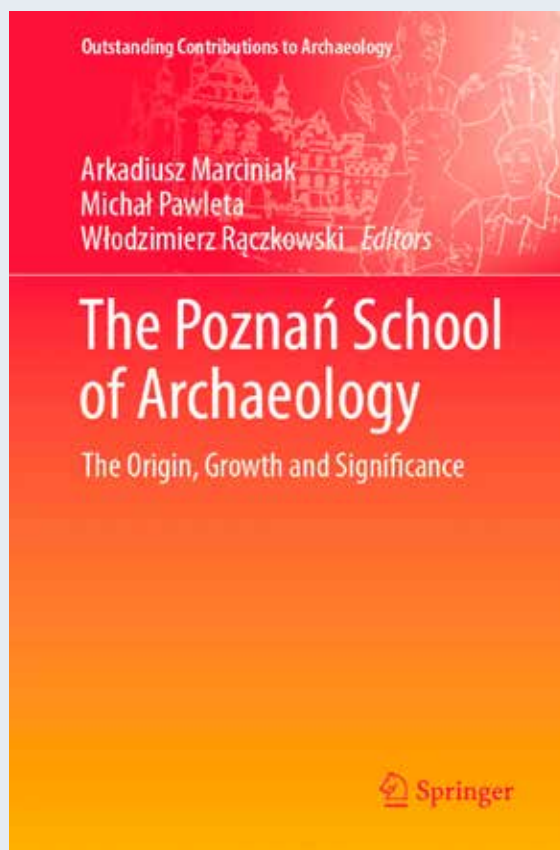
Autorzy tomu, reprezentujący różne dziedziny: od archeologii, przez filozofię i historię, po antropologię kulturową, ukazują wyjątkowy charakter tej Szkoły: jej zakorzenienie w refleksji teoretycznej i logice J. Giedymina, świadome i krytyczne podejście do metod badawczych, odwagę metodologiczną przejawiającą się w formułowaniu własnych modeli interpretacyjnych oraz zdolność do twórczego przekraczania granic między naukami humanistycznymi i przyrodniczymi, w tym do integrowania perspektyw epistemologicznych i analitycznych.

Publikacja nie stanowi jedynie historycznego podsumowania, lecz przede wszystkim opowieść o ideach, które przeformułowały sposób myślenia o przeszłości widoczny w odejściu od prostych, pozytywistycznych modeli indukcyjnej rekonstrukcji przeszłości na rzecz bardziej złożonych, krytycznych i refleksyjnych jej ujęć. Ukazuje sposób, w jaki poznańskie środowisko naukowe wypracowało własny, rozpoznawalny język opisu przeszłości, łączący inspiracje filozoficzne z praktyką badań archeologicznych oraz rozwijający oryginalne narzędzia analizy teoretycznej.

Struktura tomu została zaprojektowana tak, by prowadzić czytelnika od genezy i fundamentów teoretycznych Poznańskiej Szkoły Archeologicznej, przez jej najważniejsze osiągnięcia, aż po refleksję nad jej znaczeniem i oddziaływaniem. Tom podzielony jest na trzy powiązane części i składa się z 12 rozdziałów.

W pierwszej części autorzy dyskutują intelektualne źródła tego nurtu – od inspiracji filozoficznych po program badawczy i jego kluczowe założenia. Szczególne miejsce zajmuje tu omówienie dorobku takich myślicieli, jak: Leszek Nowak, Jerzy Kmita, Jerzy Topolski czy Jan Żak, których koncepcje ukształtowały podstawy metodologiczne Szkoły i nadały jej wyraznie antypozytywistyczny, a zarazem analityczny charakter.

Druga część książki ukazuje bogactwo podejść badawczych rozwijanych w ramach Poznańskiej Szkoły Archeologicznej, ze szczególnym uwzględnieniem dorobku Profesor Danuty Minty-Tworzowskiej. Czytelnik otrzymuje wgląd w różnorodne pola refleksji: od teorii i metodologii archeologii, przez zagadnienia dziedzictwa i jego ochrony, po interpretacje symboliki,



czasu i kultury w społeczeństwach pradziejowych. Przedstawiony zostaje zarówno wkład poszczególnych badaczy, jak i szersze nurty, które współtworzą spójną, choć wewnętrznie zróżnicowaną tradycję badawczą, rozwijaną i reinterpretowaną przez kolejne pokolenia archeologów.

Część trzecia przenosi uwagę na recepcję i znaczenie Szkoły w szerszym, międzynarodowym kontekście. Autorzy analizują jej wpływ na rozwój archeologii i nauk pokrewnych, wskazując, w jaki sposób wypracowane w Poznaniu podejścia przyczyniły się do przekształcenia sposobów interpretowania przeszłości. Podkreślona zostaje także specyfika tej tradycji, rozwijanej przez lata częściowo poza głównym nurtem zachodniej archeologii, co pozwoliło na wypracowanie oryginalnej perspektywy lokującej się pomiędzy podejściami humanistycznym a przyrodniczym.

Jest to publikacja skierowana zarówno do specjalistów, jak i czytelników zainteresowanych rozwojem myśli humanistycznej. Stanowi zaproszenie do poznania szkoły, która – choć zakorzeniona lokalnie – wywarła wpływ daleko wykraczający poza granice Polski i wpisała się w historię światowej myśli archeologicznej.

(mpr)

The Poznań School of Archaeology. The Origin, Growth and Significance, red. Arkadiusz MARCINIAK, Michał PAWŁETA, Włodzimierz RĄCZKOWSKI, Springer 2025.

Celina Olszak

Konsolidacja nie zastąpi reformy

O prawdziwych wyzwaniach nauki

Możemy skupić się na zmianie mapy organizacyjnej i przekonywać się, że większa struktura oznacza większą jakość. Możemy też uczciwie przyznać, że problem leży gdzie indziej: w poziomie nakładów na badania i rozwój, w konstrukcji algorytmu finansowania, w warunkach pracy młodych naukowców oraz w niestabilności regulacyjnej, która utrudnia długofalowe planowanie.

Debata o konsolidacji uczelni w Polsce przybiera na sile zawsze wtedy, gdy system zaczyna odczuwać napięcia demograficzne, finansowe lub regulacyjne. W przestrzeni publicznej pojawia się wówczas sugestia, że utworzenie „jednego silnego organizmu” zwiększy konkurencyjność regionu i poprawi pozycję w rankingach międzynarodowych. To atrakcyjna teza, ale niestety uproszczona.

Konsolidacja nie jest celem samym w sobie i nie może zastąpić strategii rozwoju nauki. Nie odpowiada również na chroniczne niedofinansowanie systemu, które ma swoje źródło w poziomie nakładów publicznych, konstrukcji algorytmu subwencji oraz zasadach funkcjonowania całego sektora. Dopóki te mechanizmy nie zostaną poddane reformie, każda zmiana strukturalna pozostanie działaniem wtórnym wobec zasadniczych wyzwań systemowych.

Fundament pierwszy: nakłady na naukę w relacji do PKB

Każda poważna i odpowiedzialna dyskusja o jakości badań, pozycji rankingowej uczelni oraz ich międzynarodowej konkurencyjności musi rozpocząć się od pytania o poziom finansowania systemu. Bez tej perspektywy analiza pozostaje niepełna.

Polska od wielu lat przeznaczana na badania i rozwój wyraża nie mniejszą część PKB niż państwa, z którymi chcemy konkurować w obszarze nauki i innowacji. W krajach budujących silne, rozpoznawalne globalnie systemy uniwersyteckie całkowite nakłady na B+R przekraczają 2-3% PKB, a w niektórych przypadkach zbliżają się do 4%. Istotny jest również wysoki udział stabilnego finansowania publicznego, które stanowi fundament długofalowych strategii badawczych. W Polsce poziom ten pozostaje znacząco niższy, a finansowanie ma często charakter krótkookresowy i rozproszony. Oznacza to strukturalny

deficyt inwestycyjny w kapitale intelektualnym kraju. Deficyt ten nie jest kwestią zarządzania pojedynczą uczelnią, lecz decyzji makroekonomicznych i budżetowych. W takiej sytuacji trudno oczekiwać, aby polskie uczelnie skutecznie konkurowały z instytucjami niemieckimi, skandynawskimi, szwajcarskimi czy amerykańskimi, dysponującymi wielokrotnie większymi nakładami systemowymi na badania, infrastrukturę i kadry. Różnica ta przekłada się bezpośrednio na możliwości prowadzenia kosztownych projektów badawczych, zatrudniania międzynarodowych zespołów oraz utrzymywania nowoczesnej infrastruktury laboratoryjnej i cyfrowej.

Poziom finansowania jest czynnikiem pierwotnym wobec struktury organizacyjnej. Konsolidacja nie zwiększa udziału wydatków na naukę w PKB. Nie generuje nowych środków publicznych ani prywatnych, a także nie tworzy automatycznie nowych programów grantowych oraz nie podnosi budżetów badawczych. Może natomiast sprawiać wrażenie działania reformującego, podczas gdy zasadniczy parametr systemowy, tj. skala inwestycji w naukę, pozostaje niezmieniony. Zatem jeżeli nie podniesiemy poziomu nakładów w relacji do PKB i nie zapewnimy stabilnych, wieloletnich strumieni finansowania badań, zmiana strukturalna będzie miała charakter wtórny wobec zasadniczego ograniczenia, jakim jest niedoinwestowanie całego systemu.

Fundament drugi: pieniądź nie podąża za studentem

Drugim kluczowym problemem systemowym jest konstrukcja algorytmu subwencji, który w obecnym kształcie nie odzwierciedla w pełni rzeczywistego popytu edukacyjnego ani efektywności uczelni. W racjonalnym modelu finansowania szkolnictwa wyższego środki publiczne powinny podążać za studentem, a dokładniej za realnym zainteresowaniem studiami, jakością oferty dydaktycznej oraz jej dopasowaniem

do potrzeb rynku pracy. Jeżeli uczelnia przyciąga kandydatów, utrzymuje wysoki poziom rekrutacji mimo niekorzystnych trendów demograficznych, rozwija kierunki odpowiadające transformacji gospodarki i zapewnia absolwentom wysoką zatrudnialność, powinna być wzmacniana finansowo.

Obecna konstrukcja algorytmu powoduje jednak strukturalny paradoks. Wysoka liczba studentów nie przekłada się proporcjonalnie na wzrost subwencji. Mechanizm finansowania premiuje określone parametry formalne i nie uwzględnia skali rzeczywistego obciążenia dydaktycznego i kosztów związanych z obsługą dużej liczby studentów. W praktyce oznacza to, że uczelnie oblegane funkcjonują pod większą presją budżetową niż te, które kształcą mniejszą liczbę osób.

Powstaje zatem napięcie między dostępnością studiów publicznych a finansową stabilnością uczelni. Instytucje, które odpowiadają na potrzeby młodego pokolenia i rynku pracy, zmuszone są ograniczać limity przyjęć nie z powodów jakościowych, lecz budżetowych. To zjawisko ma konsekwencje nie tylko dla uczelni, ale dla całej gospodarki, np. ogranicza podaż wykwalifikowanych kadr w obszarach kluczowych dla rozwoju kraju. Nie jest to zatem problem struktury instytucjonalnej uczelni, lecz architektury finansowania całego systemu. Jeżeli pieniądz nie podąża za studentem, konsolidacja nie rozwiąże tej sprzeczności. Połączona uczelnia nadal będzie funkcjonować w tym samym algorytmie, podlegając tym samym ograniczeniom budżetowym i tym samym wskaźnikom. Zmiana strukturalna nie skoryguje mechanizmu, który generuje napięcia finansowe niezależnie od wielkości instytucji. Reforma powinna więc dotyczyć algorytmu subwencyjnego: jego przejrzystości, elastyczności oraz zdolności do premiowania zarówno jakości badań, jak i rzeczywistej skali kształcenia. Bez tego każda dyskusja o konsolidacji pozostaje rozmową o formie, nie o zasadach finansowania, które realnie kształtują możliwości rozwoju uczelni.

Fundament trzeci: wynagrodzenia i konkurencyjność kadr

W debacie o jakości badań i pozycji rankingowej uczelni zbyt rzadko mówi się o najbardziej podstawowym czynniku rozwoju nauki, tj. o wynagrodzeniach i warunkach pracy kadry akademickiej. Tymczasem jakość badań nie jest kategorią abstrakcyjną. Jest bezpośrednią funkcją jakości i stabilności zespołów naukowych.

Wynagrodzenia nauczycieli akademickich w Polsce pozostają niekonkurencyjne zarówno wobec sektora prywatnego, jak i wielu rynków zagranicznych. Relacja płac akademickich do średniego wynagrodzenia w gospodarce oraz do PKB per capita nie tworzy realnej zachęty do wyboru kariery naukowej jako długofalowej ścieżki zawodowej. Młodzi doktorzy często zarabiają mniej niż specjaliści o porównywalnym poziomie kompetencji i odpowiedzialności w przedsiębiorstwach. W rezultacie coraz częściej traktują pracę akademicką jako działalność równoległą lub przejściową.

Jednocześnie profesoriowie o uznanym dorobku naukowym nie dysponują elastycznymi, systemowymi mechanizmami premiowania osiągnięć badawczych, które pozwalałyby konkurować o talenty w skali międzynarodowej. System wynagrodzeń jest silnie regulowany, ograniczając możliwość różnicowania płac adekwatnie do produktywności naukowej, pozyskiwanych grantów czy pozycji międzynarodowej. Konsekwencje tego są strukturalne i długofalowe. Przejawiają się one m.in.: w odpływie najbardziej mobilnych i ambitnych badaczy do sektora prywatnego lub zagranicznych ośrodków; w trudnościach w przyciąganiu naukowców z innych krajów; w rosnących obciążeniach dydaktycznych naukowców, którzy pozostają w systemie oraz w osłabieniu zdolności do budowania stabilnych zespołów badawczych.

Bez stabilnych, dobrze wynagradzanych i zmotywowanych zespołów nie ma mowy o wzroście cytowalności, skuteczności grantowej ani poprawie pozycji rankingowej. W tej sytuacji konsolidacja nie podniesie poziomu wynagrodzeń, nie zmieni relacji płac do średniej krajowej ani do PKB per capita, a także nie stworzy nowych mechanizmów premiowania doskonałości. Połączona uczelnia nadal będzie funkcjonować w tych samych ograniczeniach budżetowych i regulacyjnych. Jeżeli chcemy mówić o realnej konkurencyjności systemu, musimy uznać, że wynagrodzenia nie są kosztem administracyjnym, lecz inwestycją w kapitał intelektualny. Bez konkurencyjnych warunków pracy nie zbudujemy doskonałości, niezależnie od tego, czy uczelnie w określonym mieście będą funkcjonować oddzielnie, czy w jednej strukturze.

Ramy prawne i finansowe konsolidacji

W polskim systemie konsolidacja oznacza wygaśnięcie osobowości prawnej dotychczasowych uczelni, powołanie nowego podmiotu oraz centralizację struktur zarządczych, administracyjnych, finansowych i kadrowych. Jest to zatem proces głęboko ingerujący w tożsamość instytucjonalną, sposób zarządzania oraz relacje z otoczeniem społeczno-gospodarczym.

W obowiązującym rozporządzeniu pojawia się zapis o możliwości zwiększenia subwencji do 110% sumy dotychczasowych środków w roku po połączeniu. Należy jednak podkreślić, że mechanizm ten ma charakter krótkookresowy, nie jest automatyczny oraz nie rekompensuje wieloletnich kosztów takiej fuzji i głębokiej integracji. Doświadczenia OECD i EUA pokazują, że w krajach, które przeprowadzały twarde fuzje, koszty były niedoszacowane, a okres destabilizacji organizacyjnej i naukowej trwał od pięciu do nawet dziesięciu lat. W wielu przypadkach konieczne było uruchomienie wieloletnich, dedykowanych programów finansowych, obejmujących zarówno wsparcie inwestycyjne, jak i mechanizmy osłonowe dla pracowników. W Polsce, w przeciwieństwie do wspomnianych rozwiązań, brak jest kompleksowych i długoterminowych programów wsparcia towarzyszących procesowi konsolidacji. Nie przewidziano odrębnych, wieloletnich strumieni finansowania integracji ani systemowych gwarancji stabilności budżetowej w okresie przejściowym. W praktyce oznacza to, że odpowiedzialność za ryzyko finansowe, organizacyjne i reputacyjne spoczywa przede wszystkim na samych uczelniach, które muszą przeprowadzić proces o wysokim stopniu złożoności bez adekwatnego zabezpieczenia systemowego.

Ewaluacja i rankingi: struktura nie tworzy silnej dyscypliny ani wysokiej pozycji międzynarodowej

W polskim systemie ewaluacja jakości działalności naukowej odbywa się na poziomie dyscyplin, a nie całych uczelni. Oznacza to, że formalne połączenie instytucji nie przekłada się automatycznie na poprawę kategorii naukowej. Parametry oceniane w procesie ewaluacji, takie jak: dorobek publikacyjny, jakość czasopism, efekty finansowe badań, wpływ społeczno-gospodarczy, pozostają przypisane do konkretnych zespołów badawczych funkcjonujących w określonych dyscyplinach. Połączenie dwóch jednostek nie tworzy zatem „silniejszej dyscypliny” w sensie merytorycznym. Może natomiast rozmyć profil badawczy, obniżyć średnie parametry jakościowe, zaburzyć spójność zespołów, wydłużyć procesy decyzyjne oraz utrudnić zarządzanie strategią publikacyjną.

Jeszcze wyraźniej widać to w kontekście rankingów międzynarodowych. W najbardziej prestiżowych zestawieniach, takich jak: THE, QS czy ARWU, nie ocenia się wielkości uczelni ani liczby jej studentów. Kluczowe wskaźniki obejmują: cytowalność publikacji i wpływ badań (field-weighted citation impact);

KONSOLIDACJA



Rys Sławomir Makal

jakość czasopism, w których publikują pracownicy; skuteczność w pozyskiwaniu grantów badawczych; poziom umiędzynarodowienia kadry i współautorstw międzynarodowych; reputację naukową budowaną przez lata oraz relację liczby publikacji do liczby pracowników naukowych. Żaden z tych parametrów nie ulega automatycznej poprawie w wyniku administracyjnego połączenia struktur. Cytowalność nie rośnie dlatego, że zmieniono nazwę uczelni. Grantów nie przybywa dlatego, że zwiększyła się liczba wydziałów. Reputacja międzynarodowa nie powstaje w drodze reorganizacji, wręcz przeciwnie, okresy głębokiej restrukturyzacji często prowadzą do czasowego spadku produktywności naukowej, ponieważ zespoły koncentrują się na adaptacji do nowych procedur, struktur i regulacji wewnętrznych. Doświadczenia europejskie pokazują, że wysokie pozycje rankingowe osiągają przede wszystkim uczelnie o wyrazistej specjalizacji, klarownej strategii badawczej, stabilnych zespołach oraz długofalowym finansowaniu centrów doskonałości. Wyniki te nie są funkcją skali instytucjonalnej, lecz jakości kapitału intelektualnego i konsekwencji strategicznej. Dlatego kluczowe znaczenie ma spójna polityka publikacyjna, wsparcie dla grantów międzynarodowych, umiędzynarodowienie badań oraz stabilność i motywacja zespołów badawczych. Struktura organizacyjna jest wtórna wobec tych czynników. Jeżeli chcemy poprawić wyniki ewaluacji i pozycję rankingową, musimy inwestować w jakość badań i warunki pracy naukowców.

Europa – specjalizacja zamiast centralizacji

Wbrew powtarzanej w debacie publicznej tezie, konsolidacja nie jest dominującym trendem w europejskim szkolnictwie wyższym. W ostatnich dwóch dekadach głównym kierunkiem rozwoju nie była likwidacja autonomii instytucji, lecz budowanie sieci współpracy, specjalizacji i integracji funkcjonalnej. Federacje, konsorcja badawcze, sojusze akademickie oraz uniwersytety europejskie stały się podstawowym instrumentem wzmacniania konkurencyjności, bez konieczności wygaszania osobowości prawnej poszczególnych uczelni.

W wielu dużych i stabilnych systemach, takich jak niemiecki, holenderski czy austriacki, nie przeprowadzano w ostatnich dekadach twardych konsolidacji o charakterze strukturalnym. Zamiast tego rozwijano programy doskonałości, centra badawcze o wysokim poziomie finansowania oraz współpracę międzyuczelnianą w modelu sieciowym. Reformy koncentrowały się na wzmacnianiu jakości badań, a nie na zmianie struktury instytucjonalnej. Często przywoływany przykład Francji wymaga precyzyjnej interpretacji. Tzw. mega-universytety nie poprawiły swojej pozycji rankingowej wyłącznie dzięki fuzji. Kluczowym czynnikiem były wielomiliardowe inwestycje publiczne, programy typu Investissements d'Avenir oraz konsekwentna polityka grantowa. Czynnikiem rozstrzygającym była skala finansowania, a nie sama zmiana struktury prawnej.

Europejski mainstream nie polega zatem na centralizacji, lecz na interoperacyjności systemów, wspólnym wykorzystywaniu infrastruktury, mobilności kadry i studentów oraz koncentracji środków na wybranych obszarach doskonałości. Wzmacnia się kompetencje i specjalizacje, nie unifikuje instytucji. Warto podkreślić, że model sieciowy jest bardziej elastyczny, mniej kosztowny i lepiej dostosowany do dynamicznego otoczenia regulacyjnego i technologicznego. Pozwala zachować tożsamość uczelni, a jednocześnie budować efekt skali tam, gdzie jest on racjonalny, tj. w grantach, infrastrukturze czy projektach międzynarodowych. Zatem europejskie doświadczenie nie potwierdza tezy, że konsolidacja jest warunkiem wzrostu jakości. Wskazuje raczej, że jakość rośnie tam, gdzie rosną inwestycje, specjalizacja i stabilność systemowa.

Kontekst śląski: policentryczność jako atut

Region śląski posiada unikalną strukturę akademicką o charakterze policentrycznym. Nie jest to jeden dominujący ośrodek, lecz sieć współpracujących instytucji o zróżnicowanych profilach: technicznych, ekonomicznych, medycznych, humanistycznych i artystycznych. Taki układ nie jest przejawem rozproszenia, lecz odzwierciedleniem historycznego i gospodarczego charakteru regionu, opartego na różnorodności kompetencji i wielosektorowej strukturze przemysłowej. Ta wielość specjalizacji tworzy gęstą sieć relacji z otoczeniem społeczno-gospodarczym, zwiększając zdolność regionu do adaptacji i transformacji. Innymi słowy, policentryczność umożliwia: wyraźną specjalizację badawczą i dydaktyczną poszczególnych uczelni, elastyczność strategiczną w reagowaniu na zmiany technologiczne i rynkowe, równoległe rozwijanie wielu obszarów kompetencji bez ich wzajemnego osłabiania, partnerską współpracę z różnymi sektorami gospodarki, rozproszenie ryzyka systemowego.

W warunkach transformacji energetycznej, cyfrowej i demograficznej region potrzebuje właśnie takiej struktury: zróżnicowanej, sieciowej i odpornej na wstrząsy. Model centralizacyjny, prowadzący do homogenizacji struktur, mógłby osłabić tę elastyczność. W dużych, jednolitych organizmach trudniej jest utrzymać wyraziste profile, szybciej reagować na potrzeby specyficznych sektorów gospodarki czy budować relacje oparte na tożsamości i specjalizacji. Z perspektywy strategicznej bardziej adekwatny dla Śląska jest model federacyjny i projektowy, tj. wspólne centra kompetencji, konsorcja badawcze, współdzielona infrastruktura, wspólne szkoły doktorskie oraz platformy umiędzynarodowienia. Co istotne, ten model jest w pełni zgodny z praktyką europejską, gdzie rozwój uczelni opiera się na integracji funkcjonalnej i sieciowej współpracy, a nie na likwidacji odrębności podmiotów. Policentryczność Śląska nie jest więc słabością wymagającą „uproszczenia”, lecz atutem, który właściwie zarządzany, może stać się przewagą konkurencyjną regionu w skali krajowej i międzynarodowej.

Konkluzja

W historii europejskich uniwersytetów wielkie przełomy nie zaczynały się od reorganizacji struktur. Zaczynały się od decyzji o inwestowaniu w wiedzę, czyli w ludzi, w badania, w długofalową stabilność. Instytucje rosły w siłę nie dlatego, że zostały połączone, lecz dlatego, że państwo i społeczeństwo uznały naukę za strategiczny filar rozwoju.

Dziś stoimy przed podobnym wyborem. Możemy skupić się na zmianie mapy organizacyjnej i przekonywać się, że większa struktura oznacza większą jakość. Możemy też uczciwie przyznać, że problem leży gdzie indziej: w poziomie nakładów na badania i rozwój, w konstrukcji algorytmu finansowania, w warunkach pracy młodych naukowców oraz w niestabilności regulacyjnej, która utrudnia długofalowe planowanie.

Połączenie uczelni nie zwiększy udziału wydatków na naukę w PKB. Nie podniesie wynagrodzeń kadry, nie sprawi, że publikacje staną się bardziej cytowalne czy też, że granty europejskie zaczną napływać w większej liczbie. Te efekty wymagają inwestycji, konsekwencji i odwagi politycznej. Jeżeli naprawdę chcemy silnych uczelni, musimy przestać myśleć o konsolidacji z reformą. Reforma zaczyna się tam, gdzie państwo decyduje się realnie inwestować w naukę, czyli nie w jej strukturę, lecz w jej treść. Uniwersytet nie staje się silny dlatego, że jest większy. Staje się silny wtedy, gdy ma warunki, by być ambitnym.

*Prof. dr hab. inż. Celina Olszak, ekonomistka,
rektor Uniwersytetu Ekonomicznego w Katowicach*

Marek Wroński

Z doktoratu do monografii profesorskiej

Zgoda osoby splagiatowanej na przejęcie jej tekstu nie ma żadnej prawnej wartości przy ocenie plagiatu naukowego jako deliktu dyscyplinarnego, gdyż zgodnie z art. 16 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych nie można się zrzec autorskich praw osobistych do swojego tekstu.

Na początku grudnia 2023 roku Biuro Rady Doskonałości Naukowej otrzymało krótki list od prof. dr. hab. inż. Mariusza Magiera (ur. 1973 r.), kierownika Zakładu Mechaniki i Technik Uzbrojenia Wydziału Mechanicznego Technologicznego Politechniki Warszawskiej. Powiadamiał, iż w monografii profesorskiej dr. hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego (ur. 1943 r.) *Niepewność pomiarów w laboratorium balistyki*, wydanej przez Oficynę Wydawniczą PW, znajduje się kilkadziesiąt stron tekstu (uściślając: 25 stron obliczeń, wyników i danych), przepisanego bez odniesienia z doktoratu dr. inż. Filipa Kagankiewicza. Promotorem tej dysertacji pt. *Doświadczalna weryfikacja rozwiązania problemu głównego balistyki wewnętrznej broni lufowej sformułowanego we współrzędnych Lagrange'a*, obronionej 12 stycznia 2023 r., był dr hab. inż. Zbigniew Wrzesiński, który 29 czerwca 2023 r. wszczął swoje postępowanie profesorskie w RDN.

Jeszcze wcześniej, bo pod koniec października 2023 r., informację o możliwym naruszeniu praw autorskich w nowo wydanej monografii, prof. Magier skierował do dyrektora Wydawnictwa PW, Jarosława Nowaka oraz do dziekana Wydziału Mechanicznego Technologicznego, prof. dr. hab. inż. Tomasza Chmielewskiego. Dziekan z kolei powiadomił o tym kierownictwo uczelni. Rektor PW, prof. Krzysztof Zaremba, pismem z 23 listopada 2023 r. polecił rzecznikowi dyscyplinarnemu wszcząć postępowanie wyjaśniające.

Rzecznikiem dyscyplinarnym ds. nauczycieli akademickich w latach 2020-2024 był prof. dr hab. inż. Roman Barlik (1947-2025) z Wydziału Elektrycznego PW. Jego nazwisko było znane i jest dobrze pamiętane przez wielu starszych samodzielnych nauczycieli akademickich wyższych polskich uczelni technicznych. W latach 2005-2020 był członkiem Sekcji VI Nauk Technicznych Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów (CK), zaś w okresie lat 2013-2020 był jej przewodniczącym i członkiem Prezydium CK. To ostatnie gremium, podobnie jak dzisiaj RDN, formalnie i praktycznie decydowało w tamtych latach o wszystkich nominacjach profesorskich.

Postanowienie o wszczęciu postępowania wyjaśniającego prof. Barlik wydał 13 grudnia 2023 r. Jest ono dość obszerne i potwierdza, że po wstępnym sprawdzeniu doktoratu i mono-

grafii profesorskiej rzecznik ustalił, że zarzuty plagiatu są uprawdopodobnione. Stwierdził: „Porównanie fragmentów tekstu obu przedmiotowych publikacji stwierdziło, że ok. 25 stron monografii autorstwa Pana dr. hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego zostało zaczerpnięte wprost z rozprawy doktorskiej Pana dr. inż. Filipa Kagankiewicza. Wyszczególnienie numerów tych stron zostało podane w korespondencji elektronicznej Pana prof. dr. hab. inż. Mariusza Magiera z dnia 27 października 2023 r., skierowanej do Dyrektora Oficyny Wydawniczej PW Pana Jarosława Nowaka”. Dyrektor Wydawnictwa na to pismo praktycznie nie zareagował, poza przeprowadzeniem telefonicznej rozmowy ze Zbigniewem Wrzesińskim, w której ten podniesiony zarzut plagiatu zbagatelizował.

Umorzenie postępowania wyjaśniającego

Biorąc pod uwagę prawie dwutygodniowy okres świąteczno-noworoczny, prof. R. Barlik ekspresowo zakończył postępowanie wyjaśniające, bo umorzył je już 29 stycznia 2024 roku, czyli po 5 tygodniach. W uzasadnieniu przedstawił faktograficznie przebieg całej sprawy. Potwierdził, że niewątpliwie tekst z monografii profesorskiej na stronach 103-126 w rozdziale dwunastym, zatytułowanym *Niepewność pomiarów wybranych cech materiałów wybuchowych miotających w laboratorium balistyki* przepisano bez odniesienia ze stron 57-61 dysertacji doktorskiej oraz ze stron 149-172 pochodzących z dodatku (Appendix) nr 4. Doktorant już na końcu dysertacji zamieścił tam uzyskane wyniki strzelań w 86 tabelach oraz obliczenia i zastosowane do obliczeń algorytmy.

Przesłuchany 8 stycznia 2024 r. w charakterze świadka dr inż. Filip Kagankiewicz zeznał, iż pozytywnie ocenia współpracę ze swoim promotorem. Podkreślił, że „zaczerpnięcie fragmentów jego rozprawy doktorskiej przez Pana dr. hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego było uzgodnione”. Nawet spodziewał się, że jego promotor wykorzysta tekst dysertacji i w tym celu „wysłał [...] jemu drogą mailową edytowalną wersję rozdz. 7 i dodatku 4 swojej rozprawy doktorskiej”. Oświadczył także, że „żadnych roszczeń w stosunku do Pana dr. hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego nie ma”.

Tego samego dnia rzecznik przesłuchał jeszcze dziekana, prof. Tomasza Chmielewskiego, oraz prof. Mariusza Magiera. Dziekan jasno stwierdził, że po porównaniu obydwu tekstów, dysertacji i monografii, uważa, że doktorantowi przysługuje współautorstwo monografii profesorskiej, gdyż „jego zdaniem fragmenty monografii o treści identycznej z fragmentami rozprawy doktorskiej są oryginalnym osiągnięciem Pana dr. inż. Kagankiewicza”.

Z kolei prof. Mariusz Magier opisał rzecznikowi, jak przypadkowo natrafił na zależności tekstowe, kiedy jako zaskładowy redaktor bazy wiedzy musiał wprowadzić do tej bazy monografię autorstwa dr. hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego. Przeglądając ją, „zauważył podobieństwo tytułów niektórych rozdziałów monografii z tytułami rozdziałów rozprawy doktorskiej Pana dr. inż. Filipa Kagankiewicza, (...)”. Porównał obie publikacje i stwierdził, że rozdz. 12 monografii zawiera treść o znaczącym podobieństwie do kilku fragmentów rozprawy doktorskiej (...). Sprawę uznał za poważną i dotyczącą praw autorskich. Oceniał, że materiał zaczerpnięty z rozprawy doktorskiej stanowi oryginalny wkład naukowy Pana dr. inż. Filipa Kagankiewicza”. W związku z tym „powiadomił o tym dyrektora Oficyny Wydawniczej PW, a także Dziekana Wydziału Mechanicznego-Technologicznego PW. Domyślając się, że monografia mogła być wykazana (...) w dorobku naukowym wymienionym w dokumentacji wniosku o tytuł naukowy, złożonego do RDN, poinformował o swoim spostrzeżeniu również przewodniczącego Sekcji Nauk Inżynieryjno – Technicznych RDN, Pana prof. Janusza Kowala, oraz Radcę Prawnego RDN (...)”.

Następnego dnia (9 stycznia 2024 r.) rzecznik przesłuchał Zbigniewa Wrzesińskiego w obecności jego obrońcy, radcy prawnego Wojciecha Szostaka. Obwiniony zeznał, iż „w porozumieniu z dr. Filipem Kagankiewiczem, autorem rozprawy doktorskiej i za jego zgodą, dokonał zaczerpnięć fragmentów jego rozprawy doktorskiej i zamieścił je następnie w monografii swojego autorstwa. Oświadczył, że nie czuje się winny. Uważa, że brak powołania się w tekście swojej monografii na rozprawę doktorską (...) nie oznacza, że popełnił czyn o charakterze plagiatu. Rozprawę doktorską zamieścił w bibliografii swojej monografii pod pozycją [6]”.

Z. Wrzesiński przekazał do protokołu „załączniki w których szczegółowo przedstawił relacje między treścią swojej monografii i treścią rozprawy doktorskiej dra inż. Filipa Kagankiewicza. Odwołał się przy tym do swojego niepublikowanego materiału (załącznik 2a), który określił jako «artykuł na prawach rękopisu», o tytule «Niepewność wyników pomiarów w badaniach laboratoryjnych». Materiał ten udostępnił (...) swojemu doktorantowi, który wykorzystał ten materiał i częściowo zamieścił w swojej rozprawie. Również on (...), pisząc swoją monografię korzystał z opracowanego przez siebie materiału, określanego jako «artykuł na prawach rękopisu», który jednak nie został ujęty w bibliografii tej monografii”. Dalej w protokole napisano: „Oznacza to, że Panowie: dr hab. inż. Zbigniew Wrzesiński oraz dr inż. Filip Kagankiewicz, za obopólną zgodą korzystali z materiału źródłowego, którym było opracowanie «Niepewność wyników pomiarów w badaniach laboratoryjnych» a w przypadku Pana dr. hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego również rozprawa doktorska (...). O ile jednak Pan dr inż. Filip Kagankiewicz powoływał się w odpowiednich miejscach w tekście swojej rozprawy doktorskiej na wymienione opracowanie źródłowe (...), to Pan dr hab. inż. Zbigniew Wrzesiński w monografii swojego autorstwa (...) nie powołał się ani na rozprawę doktorską (...), ani też na opracowany przez siebie «artykuł na prawach rękopisu», co należy uznać za niedociągnięcie ze strony Pana dr. hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego, uchybiające przyjętym powszechnie zasadom redagowania publikacji naukowych”.

Na końcu uzasadnienia, rzecznik dyscyplinarny, prof. Roman Barlik, stwierdził, że „przedstawiony stan faktyczny i zgromadzone materiały dowodowe wskazują na znikomą szkodliwość społeczną popełnionego czynu, który może być zakwalifikowany jako przewinienie dyscyplinarne mniejszej wagi (...), co daje podstawę do **umorzenia postępowania wyjaśniającego dotyczącego dr. hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego**” (wytfuszczenie zawarte w oryginale).

Komentując umorzenie, trzeba zwrócić uwagę, że rzecznik dyscyplinarny nie powołał biegłego ds. rzetelności naukowej i praw autorskich, co moim zdaniem było konieczne. Odniosłem wrażenie, że w końcowej fazie postępowania wyjaśniającego prof. Barlik kierował się interpretacją faktów i narracją przedstawioną przez obrońcę obwinionego, radcę Wojciecha Szostaka w skierowanym do niego piśmie z 19 stycznia 2024 r.

Obrońca wystąpił tutaj z tezą, iż „istotą plagiatu jest stworzenie przez sprawcę w sposób bezprawny pozoru autorstwa utworu bez zgody jego autora”. W kontekście prawa autorskiego nie jest to prawdziwe. Przy naruszeniu autorskich praw osobistych zgoda splagiatowanego w żaden sposób nie uwalnia plagiatora od winy i zarzutu naruszenia praw autorskich. Należy pamiętać, że jest to przestępstwo ścigane z oskarżenia publicznego i przedaw-



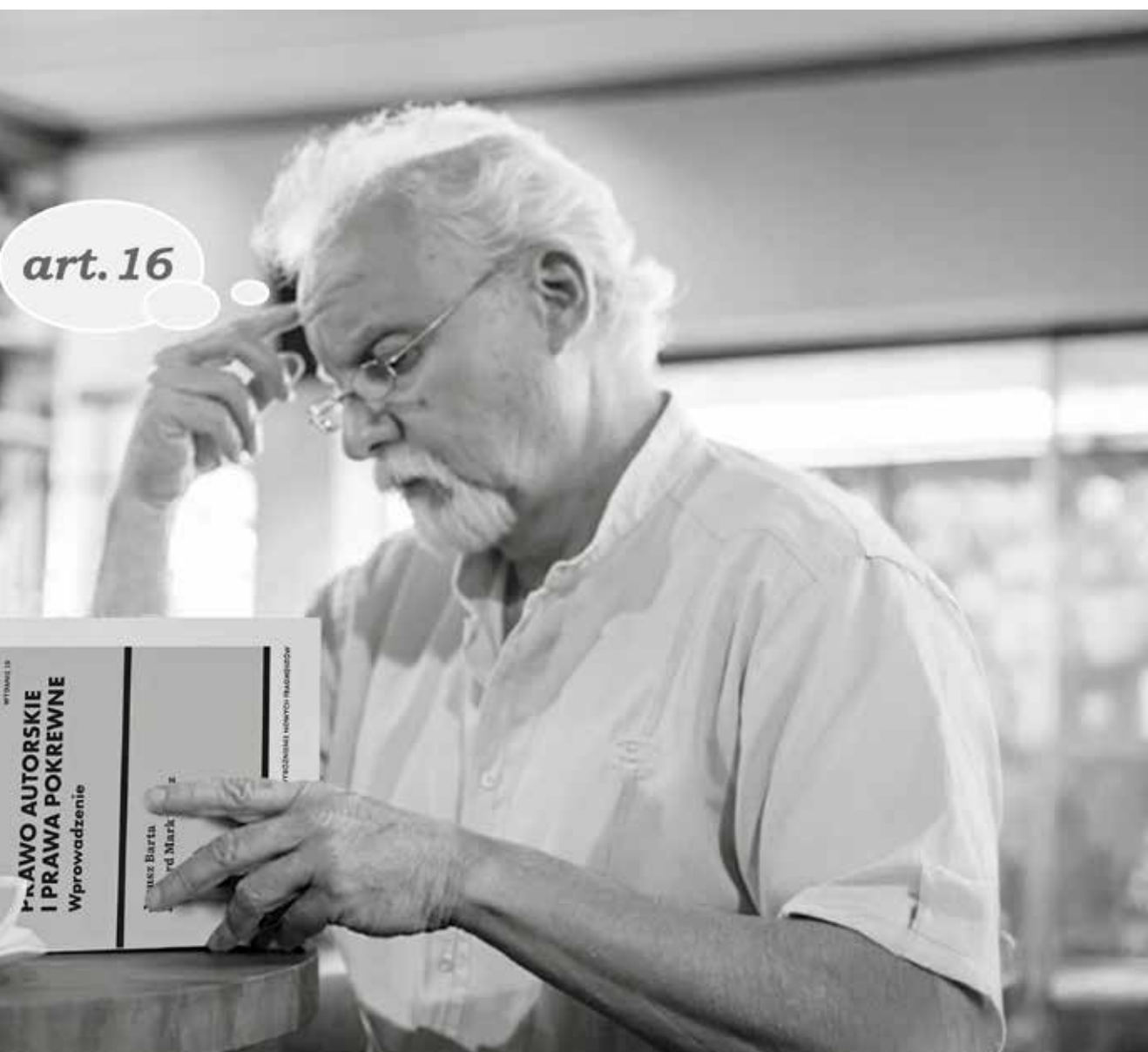
nia się karnie dopiero po 5 latach od daty rozpowszechnienia zapożyczonego tekstu. Zgoda osoby splagiatowanej na przejęcie jej tekstu nie ma żadnej prawnej wartości przy ocenie plagiatu naukowego jako deliktu dyscyplinarnego, gdyż zgodnie z art. 16 Ustawy o prawie autorskim i prawach pokrewnych „autorskie prawa osobiste chronią nieograniczoną w czasie i niepodlegającą zrzeczeniu się lub zbyciu więź twórcy z utworem”. Po prostu nie można się zrzec autorskich praw osobistych do swojego tekstu.

Dalej obrońca stwierdził, że „przytoczone w tej monografii fragmenty rozprawy doktorskiej (...) nie mogą korzystać z ochrony prawno-autorskiej. Nie mają one bowiem cech utworu chronionego przez prawo. (...) Fragmenty rozprawy doktorskiej (...) zostały umieszczone w monografii (...) za Jego zgodą, co wynika z treści pisemnego oświadczenia dr. inż. Filipa Kagankiewicza z dnia 15.11.2023r oraz treści jego zeznań złożonych w dniu 8.01.2024 r. Ponadto w bibliografii wykorzystanej w monografii (...) została jednak wymieniona rozprawa doktorska dr. inż. Filipa Kagankiewicza”.

Jednakże w tekście monografii zabrakło takiego odniesienia bibliograficznego, zaś przejęte fragmenty nie zostały wzięte w cudzysłowy. Nigdzie nie ma śladu informacji, że te fragmenty tekstu napisał doktorant i znajdują się w jego dysertacji jako obliczenia dowodzące wykonanie badań.

Dalej mgr W. Szostak stwierdził, że „fragmenty rozprawy doktorskiej (...) umieszczone w monografii Obwinionego nie miały cech nowości jako wytwór jego wysiłku intelektualnego, albowiem faktycznie przedstawione zostały w nich wyniki badań określonych próbek prochu w oparciu o algorytm opracowany i przedstawiony przez dr hab. inż. Zbigniewa Wrzesińskiego w jego artykule na prawach rękopisu z 2019r. (...), który został podany do publicznej wiadomości podczas zebrania naukowego Zakładu Mechaniki i Technik Uzbrojenia (...) w dniu 27.01 2020 r.”.

Tłumacząc to na zwykły język, obrońca argumentował, że jego klient miał prawo przejąć ten tekst, gdyż były to obliczenia z wyników badań wykonane przez doktoranta w laboratorium balistyki na podstawie algorytmu wykonanego i przedstawionego przez promotora publicznie na wcześniejszym zebraniu. Co więcej, argumentowano, że aby potwierdzić prawdziwość swojej teorii naukowej, to Z. Wrzesiński przejął wyniki tylko z jednej próbki prochu, mimo że doktorant wykonał badania aż na trzech różnych próbkach. Zdaniem obrońcy, przejęte wyniki nie mają charakteru indywidualności i nowości, gdyż wyliczono je na podstawie algorytmu podanego przez Z. Wrzesińskiego. Każdy inny badacz w innym laboratorium otrzyma takie same wyniki badań prochu, jeśli wyliczy je przy pomocy tego algo-



Rys. Sławomir Makal

rytmu. Dlatego wyniki obliczeń doktoranta „z tego względu nie podlegają ochronie prawnoautorskiej”.

Jest to o tyle prawdziwe, że rzeczywiście ochronie prawnej nie podlegają wyniki i dane liczbowe oraz wzory matematyczne. Jednak w naukach technicznych oraz innych naukach doświadczalnych przejęcie wyników badań wykonanych przez kogoś innego i przedstawienie ich jako własne w swojej publikacji naukowej – bez wyraźnego odnotowania w tekście, iż pochodzą z obcej pracy – jest uznawane za plagiat naukowy i deprecjuje zarówno dzieło, jak i autora. Artykuły naukowe są z tego powodu unieważniane (retraktowane), a książki wycofywane z rozpowszechnienia.

Uważam umorzenie postępowania za niesłuszne. Ta decyzja rzecznika dyscyplinarnego została zaakceptowana przez rektora, prof. dr. hab. inż. Krzysztofa Zarembę, który nie zaskarżył jej do Uczelnianej Komisji Dyscyplinarnej, do czego miał prawo. Zwróć uwagę, że prof. K. Zaremba jest doświadczonym naukowcem i inżynierem-elektronikiem, byłym wieloletnim dziekanem w latach 2012-2020 Wydziału Elektroniki i Technik Informacyjnych PW, jak również w latach 2020-2024 był przewodniczącym Komisji ds. Kształcenia Konferencji Akademickich Rektorów Szkół Polskich.

Postępowanie profesorskie

Zbigniew Antoni Wrzeński zapewne jest jednym z najdłużej pracujących na Politechnice Warszawskiej nauczycieli akademickich, gdyż zaczął tam pracę 1 grudnia 1971 roku, bezpośrednio po ukończeniu studiów na tejże uczelni. Legitymuje się obecnie 50-letnim stażem pracy. Doktorat uzyskał w 1978 roku, zaś habilitację obronił w 2013 r. i pomimo tego nadal zatrudniony jest na etacie adiunkta. W latach 80. aktywnie działał w NSZZ Solidarność, co skończyło się nie tylko odwołaniem go na jesieni 1985 r. ze stanowiska prodziekana ds. studenckich na Wydziale Mechaniczno-Technologicznym, ale i w następnym roku zwolnieniem z uczelni. Za swoją ówczesną działalność opozycyjną został odznaczony w 2019 r. Krzyżem Wolności i Solidarności. Przez kilka lat pracował w Wojskowej Akademii Technicznej w Instytucie Pojazdów Mechanicznych i Transportu. Powrócił na Politechnikę Warszawską po transformacji ustrojowej w 1989 r. Od tamtego czasu zaczął się też udzielać na niwie politycznej, działając w różnych partiach: od Kongresu Liberalno-Demokratycznego przez Akcję Wyborczą Solidarność po Koalicję Ludowo-Niepodległościową. W latach 1998-2001 był prezesem rządowej Agencji Techniki i Technologii, zaś w 2004 r. wybrano go prezesem Stronnictwa Pracy, którym był przez 21 lat aż do rezygnacji w 2025 r.

Jego dorobek naukowy w rozpoczętym w połowie czerwca 2023 r. przewodzie profesorskim oceniało pięciu wylosowanych recenzentów, z których dwóch nie zaaprobowało wniosku.

Prof. Wojciech Nowak (AGH w Krakowie), entuzjastycznie ocenił dokonania naukowe kandydata, stwierdzając „nie tylko publikuje prace naukowe, ale także wprowadza nowe podejścia i teorie w dziedzinach termodynamiki, balistyki oraz inżynierii. Stosowanie teorii bilansów wielkości ekstensywnych i ich gęstości zasobów stanowi nie tylko metodologiczne podejście, ale również wyraz jego zdolności do generowania oryginalnych koncepcji w swojej dziedzinie”. Podkreślił, że „Monografie oraz podręczniki autorstwa kandydata oraz publikacje o wymiarze międzynarodowym, są doceniane przez wspólnotę naukową. Ich wpływ na rozwój dziedziny jest znaczący, co potwierdza m.in. wykorzystanie jego prac w badaniach innych naukowców. To świadczy o wysokim poziomie naukowym jego osiągnięć oraz ich znaczeniu dla rozwoju dyscypliny. (...) Prace kandy-

data są cenione przez jego kolegów z branży, co potwierdza reputację naukową autora. Docenienie jego publikacji i osiągnięć przez ekspertów z dziedziny świadczy o ich wysokiej jakości i znaczeniu dla nauki”. Prof. Nowak podsumował swoją recenzję: „W sumie, wszystkie te czynniki dowodzą, że kandydat posiada wybitne osiągnięcia naukowe krajowe i zagraniczne, które spełniają wymagania stawiane przez art. 227 ust. 1 lit. a ustawy o szkolnictwie wyższym i nauce. Jego wkład w rozwój nauki oraz potencjał do dalszego przyczyniania się do postępu w dyscyplinie inżynieria mechaniczna jest niezaprzeczalny, co stanowi mocne uzasadnienie dla nadania mu tytułu profesora”.

Z kolei prof. Piotr Cyklis (Politechnika Krakowska) sformułował negatywną opinię o dorobku naukowym, podkreślając, że aczkolwiek dorobek organizacyjny i dydaktyczny jest olbrzymi, to książki te są znane tylko lokalnie, nie mają cytować ani polskich, ani zagranicznych. Kandydat nie brał też udziału w pracach co najmniej dwóch zespołów badawczych realizujących projekty grantowe, jak również nie odbył staży naukowych w zagranicznych instytucjach naukowych. Tymczasem są to formalne wymogi uzyskania profesury.

Natomiast prof. Jarosław Mikieliewicz, członek rzeczywisty PAN (Instytut Maszyn Przepływowych PAN w Gdańsku) w pozytywnej recenzji ocenił, że kandydat ma po habilitacji trzy monografie, a jego dorobek naukowy „jest niezbyt obszerny, ale wartościowy”. Ponieważ „piastował w organach państwowych odpowiedzialne funkcje związane z rozwojem nauki polskiej, stąd całokształt jego działalności kompensuje braki w stażach naukowych i pracach w zespołach badawczych”.

Prof. Andrzej Panas (Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie) zauważył brak współpracy zagranicznej kandydata, ale podkreślił, że ten fakt jest rekompensowany jego aktywnym zaangażowaniem się w sprawy społeczno-polityczne i gospodarcze. Podał, że dane bibliograficzne w bazie Scopus wykazują pięć artykułów naukowych i wskaźnik Hirscha 2, zaś liczba cytowań po eliminacji autocytowań to zaledwie 10. „Ten skromny, o ile nie szczątkowy dorobek publikacyjny”, zdaniem recenzenta, wyrównują z nawiązką monografie jednoautorskie, których po habilitacji napisał osiem, w tym jedną po angielsku. „Dopełnieniem dorobku, są liczne prace projektowe i konstrukcyjne, zakończone wdrożeniami. (...) Stąd, pomimo nierównego rozłożenia akcentów, całość może stanowić podstawę złożenia wniosku o nadanie tytułu profesora”.

Prof. Krzysztof Kosowski (Politechnika Gdańska) określił dorobek publikacyjny jako skromny, gdyż po tylu latach pracy naukowej obejmuje on 37 artykułów, głównie w języku polskim w krajowych czasopismach, 5 monografii naukowych oraz 4 podręczniki akademickie. Te ostatnie wydane „na własnym podwórku” przez Wydawnictwo Politechniki Warszawskiej. Recenzent podsumował to stwierdzeniem, iż „dorobek naukowy nie jest imponujący, nie ma wyraźnie międzynarodowego znaczenia i na tle innych wniosków wypada bardzo skromnie”. Kandydat w 2005 roku realizował tylko jeden projekt badawczy (ministerialny), a jego krótkie wizyty w CHRL, Francji i Izraelu miały charakter bardziej studyjny, a nie badawczy w postaci stażu naukowego. Był promotorem 38 prac dyplomowych i jednego doktoratu oraz szeroko angażował się w sferze gospodarczej, politycznej i popularyzującej wiedzę. Pięciokrotnie był członkiem Senatu PW. W konkluzji, prof. Kosowski napisał: „Z uwagi na stosunkowo słaby dorobek publikacyjny i naukowy oraz toczące się postępowanie o podejrzenie plagiatu, recenzent nie może poprzeć wniosku o wystąpienie przez RDN do Prezydenta RP o nadanie tytułu profesora”.

Odmowa Prezydium RDN

Do połowy czerwca 2024 r. spłynęły wszystkie recenzje, a 12 września 2024 r. sprawa nadania profesury stała na posiedzeniu Zespołu II Nauk Inżynieryjno-Technicznych RDN. Po zapoznaniu się ze wszystkimi recenzjami i następującą dyskusją, 25 członków zespołu jednogłośnie uznało, że kandydat nie spełnia wymagań ustawowych, warunkujących nadanie tytułu profesora. Prezydium RDN na posiedzeniu 30 września 2024 r. potwierdziło brak wybitności w osiągnięciach naukowych kandydata i w głosowaniu tajnym, 13 głosami przeciw nadaniu, przy jednym głosie wstrzymującym się, podjęło decyzję o niewystępowaniu do Prezydenta RP o nadanie dr. hab. Zbigniewowi Antoniemu Wrzesińskiemu tytułu profesora w dziedzinie nauk inżynieryjno-technicznych w dyscyplinie inżynieria mechaniczna.

Po otrzymaniu tej decyzji z 21 listopada 2024 r. wraz z uzasadnieniem, kandydat złożył wniosek o ponowne rozpatrzenie sprawy. Zrobił to 19 lutego 2025 r. i zgodnie ze statutem RDN powołano następnych dwóch recenzentów-rzeczoznawców. Zostali nimi: prof. Janusz Zmywaczyk z Wydziału Mechatroniki, Uzbrojenia i Lotnictwa WAT oraz prof. Witold Elsner z Katedry Maszyn Ciepłych Politechniki Częstochowskiej.

Pierwszy rzeczoznawca ocenił, że wydane w latach 2012-2023 osiem autorskich monografii naukowych i podręczników akademickich, obejmujące łącznie 2318 stron druku, są pierwszym osiągnięciem naukowym, „co można uznać za ewenement w skali krajowej”. Co więcej, prof. Zmywaczyk uznał, że wniosek patentowy zgłoszony do rozpatrzenia w Indiach w 2021 r. można zakwalifikować do osiągnięć naukowo-technologicznych. W jego opinii oba te powyższe osiągnięcia spełniają przesłanki dotyczące posiadania wybitnych osiągnięć naukowych krajowych lub zagranicznych. Uznał też, że kierowanie zadaniem badawczym w ministerialnym projekcie badawczo-rozwojowym, zrealizowanym w latach 2008-2011, jak i zakończone wdrożeniami dwie prace badawcze z lat 1989 i 2012 wystarczająco zastępują brak wymaganych staży naukowych za granicą.

Z kolei drugi rzeczoznawca, prof. Witold Elsner, analizując dokładnie przedstawiony dorobek, uznał, że osiągnięcia naukowe kandydata „nie są ani wybitne ani przełomowe”. Ostatnia monografia z 2023 r. „nie ma charakteru opracowania naukowego, lecz podręcznika poświęconego statystyce matematycznej, analizie błędów i niepewności pomiarów”. Zaznaczył, iż mimo że kandydat podał, że w latach 2008-2011 brał udział w projekcie badawczo-rozwojowym jako kierownik jednego z zadań, to w przesłanej dokumentacji nie ma potwierdzenia uczestnictwa i dowodu na uzyskany efekt naukowy. Kierownikiem tego projektu pt. „Autonomiczny system wykrywania i niszczenia min niemetalowych” był dr hab. inż. Robert Głębocki (na marginesie: recenzent wydawniczy monografii profesorskiej z 2023 r.). Prof. Elsner podkreślił, że warunkiem nadania tytułu profesora jest spełnienie jednego z trzech kryteriów: kierowanie zespołami badawczymi realizującymi projekty finansowane z konkursów krajowych lub zagranicznych albo odbyte staże naukowe w instytucjach naukowych (w tym zagranicznych), czy też prowadzone prace naukowe w instytucjach naukowych (w tym zagranicznych). W jego opinii, kandydat, dr hab. Zbigniew A. Wrzesiński, nie spełnia żadnego z tych kryteriów, co wskazuje, że trzeci warunek określony w art. 227 ustęp 1 Ustawy o szkolnictwie wyższym, nie został spełniony, stąd wniosek jest nieuzasadniony.

Prezydium RDN po zapoznaniu się z obydwojema opiniami rzeczoznawców i stanowiskiem Zespołu II Nauk Inżynieryjno-Technicznych RDN, który 19 głosami nie poparł odwołania, swoją decyzją z 29 września 2025 r. utrzymał w całości

zaskarżoną decyzję z 21 listopada 2024 r. odmawiającą nadania profesury.

Kandydat zdecydował się zaskarżyć tę decyzję, składając skargę do WSA w Warszawie, którą Biuro RDN wraz z aktami całej sprawy, przekazało pod koniec lutego 2026 r. do Sekretariatu Sądu. Warto zwrócić uwagę, że sąd administracyjny nie rozpatruje skarg merytorycznie, jedynie sprawdza, czy w toku kolejnych kroków nie naruszono prawa. Można przypuszczać, że wyrok zapadnie mniej więcej po roku.

Sprawa sądowa

Już 18 kwietnia 2024 r. dr hab. inż. Zbigniew Wrzesiński złożył do Sądu Rejonowego Warszawa-Śródmieście prywatny akt oskarżenia z art. 212 § 1 kodeksu karnego przeciwko prof. dr. hab. inż. Mariuszowi Magierze, kierownikowi Zakładu Mechaniki i Technik Uzbrojenia Instytutu Mechaniki i Poligrafii PW. Oskarżył go w nim o pomówienie dotyczące popełnienia plagiatu w monografii zatytułowanej *Niepewność pomiarów w laboratorium balistyki*, wydanej w 2023 r., poprzez zarzucenie przejścia fragmentów treści rozprawy doktorskiej Filipa Kagankiewicza. Jego zdaniem, pomówiono go wobec Jarosława Nowaka, dyrektora Oficyny Wydawniczej PW, jak również wobec członków RDN i radcy prawnego RDN Artura Woźniaka. Jak podkreślono w prywatnym akcie oskarżenia: „Mogło to poniżyć go w opinii publicznej, skutkować odmową nadania tytułu naukowego profesora oraz uchYLENIEM nadanego mu stopnia naukowego doktora habilitowanego, a także narazić na utratę zaufania niezbędnego do wykonywania zawodu nauczyciela akademickiego”.

Sprawa sądowa była rozpatrywana przez sędziego SR Marka Kryštofiuka, który po wcześniejszym przeprowadzeniu czterech rozpraw, na których przesłuchano wielu świadków, zarówno z Politechniki, jak i RDN, 4 marca 2025 r. wydał wyrok uniewinniający, a niewielkimi kosztami obciążył oskarżyciela prywatnego. W ocenie Sądu, przytoczone w zeznaniach świadków okoliczności nie wskazują, aby prof. M. Magier działał z zamiarem pomówienia Z. Wrzesińskiego. Od niekorzystnego dla siebie wyroku Zbigniew Wrzesiński odwołał się do Sądu Okręgowego w Warszawie. Sędzia SO Danuta Grunwald w dniu 7 lipca 2025 r. oddaliła apelację i zaskarżony wyrok utrzymała w mocy. W uzasadnieniu wyroku podkreślono, że w procedurze rozpoznania wniosku profesorskiego Z. Wrzesińskiego przyczyną odmowy nie było podnoszone podejrzenie plagiatu, ale sprawy merytoryczne, co wynika wprost z uzasadnienia tej decyzji. Sąd Okręgowy potwierdził ustalenia Sądu Rejonowego, który nie dostrzegł podstaw do przypisania działaniom oskarżonego przymiotu umyślności. Brak miejsca nie pozwala mi już opisać ciekawych detali tej sprawy.

W korespondencji ze mną Z. Wrzesiński tłumaczył, że te 25 stron w obydwu pracach były prawie identyczne z tego powodu, że wyniki wyliczono na podstawie tego algorytmu.

Komentarz

W tej sprawie zderzyły się bezwzględne racje naukowe z dumą osiągnięć społeczno-politycznych oraz wieloletnich zasług dla uczelni. Krytycznie oceniam zaskarżanie do sądów osób, które sygnalizują ewentualne nierzetelności naukowe. W międzyczasie prof. Mariusz Magier zrezygnował ze swoich funkcji. Stwierdził jednak, że gdyby sytuacja się powtórzyła, to mimo tylu problemów zachowałby się identycznie.

Marekwro@gmail.com

Dr hab. n. med. Marek Wroński jest emerytowanym profesorem uczelnianym. Zajmuje się patologią nauki od 28 lat.

Od zera do PRom

Dziś trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie szkoły wyższej bez profesjonalnej komunikacji. To ona buduje zaufanie, wspiera rekrutację, odpowiada na kryzysy, tłumaczy złożoność badań naukowych i łączy uczelnię ze społeczeństwem. W coraz większym stopniu decyduje także o pozycji uczelni zarówno w kraju, jak i na arenie międzynarodowej.

Dwadzieścia lat temu komunikacja akademicka w Polsce funkcjonowała w rozproszeniu, była obszarem często niedocenianym i traktowanym jako pomocniczy. Biura prasowe i zespoły promocji działały w izolacji, bez wspólnych standardów, bez przestrzeni do wymiany doświadczeń i bez realnego wpływu na kształtowanie strategii uczelni. Każda uczelnia uczyła się komunikacji na własną rękę metodą prób i błędów. Brakowało języka wspólnego dla całego środowiska, brakowało narzędzi, ale przede wszystkim brakowało świadomości, że komunikacja nie jest dodatkiem do działalności uczelni, lecz jej integralną częścią.

Dziś trudno wyobrazić sobie funkcjonowanie szkoły wyższej bez profesjonalnej komunikacji. To ona buduje zaufanie, wspiera rekrutację, odpowiada na kryzysy, tłumaczy złożoność badań naukowych i łączy uczelnię ze społeczeństwem. W coraz większym stopniu decyduje także o pozycji uczelni zarówno w kraju, jak i na arenie międzynarodowej.

Właśnie w odpowiedzi na tę potrzebę w 2006 roku powstało Stowarzyszenie PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom”.

– Kiedy zaczynaliśmy, chcieliśmy po prostu stworzyć przestrzeń dla ludzi, którzy zajmują się komunikacją na uczelniach, żeby mogli się spotkać, porozmawiać, wymienić doświadczeniami. Dziś widzimy, że z tej potrzeby powstało środowisko, które realnie wpływa na jakość komunikacji nauki w Polsce. To coś, z czego jesteśmy naprawdę dumni – mówiła na otwarciu XXXVIII Konferencji „PRom” Ewa Sapeńko, członkini honorowa, wiceprezes Stowarzyszenia w latach 2006-2009.

– PR akademicki przeszedł ogromną drogę. Z obszaru często niedostrzeganego stał się jednym z kluczowych elementów funkcjonowania uczelni. Szczególnie cieszy fakt, że dziś komunikacja nie tylko wspiera działania uczelni, ale współtworzy też ich strategię i kierunki rozwoju – podkreśla Andrzej Ostrowski.

Celem Stowarzyszenia „PRom” od początku była integracja środowiska, wzmocnienie współpracy oraz wymiany doświadczeń między jego członkami, z czasem jednak stało się czymś znacznie więcej. Dziś to platforma współpracy, wymiany wiedzy i doświadczeń, ale także przestrzeń, w której powstają standardy komunikacji akademickiej i gdzie kształtuje się wspólny głos środowiska. To także miejsce, które pozwala zobaczyć, jak bardzo zmieniło się podejście do komunikacji w szkolnictwie wyższym: od działań reaktywnych do strategicznych, od promocji do budowania relacji, od informowania do tworzenia doświadczenia odbiorcy.

– Dziś komunikacja akademicka to nie tylko przekazywanie informacji. To budowanie relacji, zaufania i wiarygodności. To także odpowiedzialność za to, jak mówimy o nauce i jak ją osadzamy w rzeczywistości społecznej – podkreśla Anna Kiryjow-Radzka, prezeska Stowarzyszenia „PRom”.

To, co zaczęło się jako potrzeba środowiskowa, stało się jednym z fundamentów nowoczesnego funkcjonowania uczelni. A historia „PRom” jest jednocześnie historią dojrzewania całego obszaru komunikacji akademickiej w Polsce.

Od środowiska do wpływu

Jednym z największych osiągnięć Stowarzyszenia jest przejście od funkcji integracyjnej do roli eksperckiej i opiniotwórczej. To naturalna ewolucja środowiska, które najpierw musiało się poznać, zbudować relacje i wypracować wspólny język, aby móc realnie współkształtować kierunki rozwoju komunikacji akademickiej w Polsce.

Dzięki współpracy z kluczowymi partnerami, takimi jak Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, KRASP, FRSE, NAWA, Polskie Towarzystwo Retoryczne, Polskie Stowarzyszenie Public Relations członkini i członkowie „PRom” uczestniczą w pracach zespołów doradczych, konsultacjach publicznych oraz inicjatywach, które wykraczają poza poziom operacyjny i wchodzą w obszar decyzji strategicznych.

To już nie tylko wymiana doświadczeń między uczelniami, ale aktywny udział w procesach, które wpływają na sposób, w jaki polska nauka jest komunikowana w kraju i za granicą. Udział przedstawicieli „PRom” w zespołach doradczych ds. promocji polskiej nauki za granicą oraz popularyzacji nauki pokazuje, że głos środowiska komunikatorów akademickich jest dziś słyszany i uwzględniany.

To oznacza realny wpływ nie tylko na sposób komunikowania nauki, ale także na kierunki rozwoju szkolnictwa wyższego, jego widoczność międzynarodową oraz relacje ze społeczeństwem.

– To moment, w którym środowisko komunikacji akademickiej przestaje być tylko wykonawcą, a staje się partnerem w rozmowie o przyszłości nauki. I to jest zmiana fundamentalna – podkreśla Anna Kiryjow-Radzka.

Intensywna praca i rozwój

Ostatnie lata to dla Stowarzyszenia okres konsekwentnego rozwoju zarówno na poziomie organizacyjnym, jak i meryto-

rycznym. To czas, w którym codzienna, systematyczna praca przekładała się na coraz większą widoczność i znaczenie „PRom” w środowisku akademickim.

Osoby stowarzyszone konsekwentnie budują obecność „PRom” w przestrzeni komunikacyjnej. Strona internetowa, media społecznościowe oraz mailing nie są już wyłącznie kanałami informacyjnymi, stają się narzędziem budowania relacji ze środowiskiem, wzmacniania tożsamości Stowarzyszenia i zwiększania jego rozpoznawalności. Sprzyja temu spójna identyfikacja wizualna, profesjonalne materiały graficzne oraz konsekwentny sposób komunikacji. Wszystko to sprawia, że „PRom” jest coraz wyraźniej obecny w świadomości odbiorców jako marka, która reprezentuje standardy, jakość i środowisko ekspertów.

Konkurs PRom – standardy i transparentność

Szczególnym obszarem działalności Stowarzyszenia jest konkurs na najlepsze projekty promocyjne uczelni, który w ostatnich latach stał się jednym z najważniejszych punktów odniesienia dla środowiska komunikacji akademickiej w Polsce.

Po kompleksowym rebrandingu przeprowadzonym w 2024 roku konkurs jest konsekwentnie rozwijany, nie tylko pod względem wizualnym i organizacyjnym, ale przede wszystkim metodologicznym. Każda kolejna edycja jest efektem uważnego wsłuchiwania się w głos uczestników oraz członkiń i członków kapituły, co pozwala na systematyczne podnoszenie jakości i przejrzystości procesu.

W ostatniej edycji zgłoszono 93 projekty. Prace oceniała 16-osobowa kapituła ekspertów reprezentujących różne obszary komunikacji, marketingu i szkolnictwa wyższego. Proces oceny oparty był na spersonalizowanych arkuszach oraz precyzyjnej metodologii, która pozwala na zliczanie wyników z dokładnością do dwóch miejsc po przecinku.

Transparentność nie jest tu deklaracją – jest praktyką. Każdy etap konkursu, od zgłoszenia po ogłoszenie wyników, oparty jest na jasno określonych zasadach, a uczestnicy mają pewność, że ich projekty oceniane są w sposób rzetelny i porównywalny.

– Konkurs PRom to dziś nie tylko nagrody, ale przede wszystkim standardy. To miejsce, w którym pokazujemy, jak powinna wyglądać profesjonalna komunikacja uczelni oparta na jakości, strategii i odpowiedzialności – podkreśla Magdalena Szawajda z UMK, sekretarz konkursu.

Rosnąca liczba zgłoszeń i coraz wyższy poziom projektów potwierdzają, że konkurs pełni ważną funkcję: nie tylko wyróżnia najlepszych, ale także wyznacza kierunki rozwoju całego środowiska.

Konferencja – centrum wymiany wiedzy i relacji

Coroczna konferencja „PRom” na stałe wpisała się w kalendarz środowiska akademickiego, stając się jednym z najważniejszych wydarzeń dla osób zajmujących się komunikacją, promocją i budowaniem wizerunku uczelni.

To przestrzeń, w której spotykają się praktycy i eksperci: przedstawiciele uczelni, instytucji publicznych oraz partnerów międzynarodowych. To tutaj teoria obcuje z praktyką, a inspiracje szybko przekładają się na konkretne rozwiązania wdrażane w codziennej pracy.

Konferencja to jednak nie tylko wydarzenie branżowe, ale także miej-

sce, w którym możliwy jest realny dialog między środowiskiem akademickim a administracją publiczną. Spotkania zespołów doradczych, otwarte konsultacje i wspólne dyskusje pozwalają budować relacje oparte na partnerstwie, zrozumieniu i zaufaniu.

– Największą wartością tej konferencji są ludzie i rozmowy. To właśnie w nich rodzą się zmiany, które później widać w całym systemie szkolnictwa wyższego – zauważa Anna Kiriów-Radzka.

Komunikacja jako kompetencja przyszłości

Jednym z kluczowych kierunków rozwoju Stowarzyszenia jest dalsza profesjonalizacja komunikacji akademickiej rozumianej nie jako funkcja wspierająca, lecz jako kompetencja strategiczna. W praktyce oznacza to rozwój kompetencji z zakresu komunikacji naukowej i popularnonaukowej, wzmacnianie roli PR jako partnera w zarządzaniu uczelnią, budowanie doświadczeń komunikacyjnych, a nie tylko przekazu informacyjnego, wykorzystanie nowych technologii, w tym sztucznej inteligencji, w działaniach komunikacyjnych. Zmienia się także rola odbiorcy. Współczesna komunikacja nie polega już na jednostronnym przekazie, ale na budowaniu relacji opartych na wiarygodności, dostępności i zrozumieniu.

XXXVIII Konferencja „PRom”, wydarzenie, które było możliwe dzięki zaangażowaniu społeczności Uniwersytetu Jagiellońskiego, na czele z Jego Magnificencją Rektorem prof. Piotrem Jedynakiem, całego zespołu Centrum Promocji i Współpracy oraz Wydziału Zarządzania i Komunikacji Społecznej, to przykład współpracy, która przekłada się na realną jakość i rangę wydarzeń budujących środowisko komunikacji akademickiej w Polsce.

Co dalej?

„PRom” wchodzi w kolejny etap swojego rozwoju jako środowisko dojrzałe, świadome swojej roli i coraz silniej obecne w procesach kształtujących przyszłość nauki i szkolnictwa wyższego. To etap, w którym nie chodzi już tylko o reagowanie na zmiany, ale o ich współtworzenie. O budowanie standardów, które będą wyznaczać kierunek dla kolejnych pokoleń komunikatorów akademickich. Dziś komunikacja nauki nie jest dodatkiem do działalności uczelni. Jest jednym z jej fundamentów, warunkiem zrozumienia, zaufania i społecznego znaczenia nauki. A to, co zaczęło się jako potrzeba integracji środowiska, stało się przestrzenią realnego wpływu.



PRom – założyciele

Na przełomie wieków rozpoczęła się walka o kandydatów na studia. Niezbędna okazała się skuteczna komunikacja i promocja oferty dydaktycznej. Na uczelniach zaczęto powoływać biura promocji, biura prasowe i stanowiska rzeczników prasowych. Uczyliśmy się, jak mówić o bardzo hermetycznych dotychczas sprawach akademickich, żeby dotrzeć z przekazem do młodych ludzi. Pierwsze spotkanie rzeczników prasowych i biur promocji odbyło się w 2003 r. na Uniwersytecie Warszawskim. To wtedy ówczesny szef Biura Promocji UW Artur Lompart rzucił pomysł powołania branżowego stowarzyszenia. Jego celem miała być integracja środowiska, organizacja szkoleń czy wymiana doświadczeń. Propozycja spotkała się z zainteresowaniem, więc od razu umówiliśmy się na kolejne spotkanie na Uniwersytecie Jagiellońskim. Do Krakowa mieliśmy przyjechać już z własnymi przemyśleniami i propozycjami dotyczącymi kształtu stowarzyszenia. Niestety nie udało nam się porozumieć ani w Krakowie (zima 2004 r.), ani później we Wrocławiu (lato 2004 r.) i w Białymstoku (zima 2005 r.). Jednym z podstawowych problemów było pytanie: kim będą członkowie stowarzyszenia, czy mają to być uczelnie, czy osoby fizyczne? Mimo rozbieżności w tej kwestii nie można powiedzieć, że nic nie udało nam się uzyskać. Podczas tych spotkań ukształtowała się kilkunastoosobowa grupa zdeterminowanych osób pod przewodnictwem Artura Lomparta (UW) i Marcina Żukowskiego (UwB). Latem 2005 r. spotkaliśmy się w Szczecinie, w mazurskim ośrodku UwB, i przez kilka dni ciężko pracując, ustaliliśmy, że członkami będą osoby fizyczne,



Fot. Kazimierz Adamczewski

a konkretnie pracownicy uczelni mający w swoich zakresach obowiązków promocję uczelni oraz napisaliśmy statut stowarzyszenia. To wtedy Marcin Żukowski zaproponował nazwę Stowarzyszenie PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom”. I tak już zostało. Rozjechaliśmy się z silnym postanowieniem, że następna konferencja będzie już tą założycielską.

Odbyła się ona na Uniwersytecie Zielonogórskim w lutym 2006 r. Przyjechała rekordowa liczba 129 rzeczników prasowych i uczelnianych PR-owców. Zaczęto dyskutować i zgłaszać nowe propozycje. I znowu wydawało się, że już nic z tego nie wyjdzie. Jednak determinacja kilkunastu osób, a konkretnie 15 członków założycieli spowodowała, że podczas konferencji na UZ przyjęto nazwę stowarzyszenia i statut. Wybraliśmy Komitet Założycielski: Artur Lompart (UW), Tomasz Moskal (UW), Iwona Radzimirska (SGH), którego zadaniem było zarejestrowanie Stowarzyszenia w Krajowym Rejestrze Sądowym w Warszawie. W kwietniu tego samego roku Stowarzyszenie zostało zarejestrowane w KRS, a w czerwcu na konferencji zorganizowanej przez Politechnikę Koszalińską odbyły się pierwsze wybory władz stowarzyszenia. Nomen omen prezesa i wiceprezesów wybieraliśmy podczas rejsu promem na Bornholm. Dzisiaj jestem dumna, że 20 lat temu wspólnie z ojcem założycielem Arturem Lompartem, zostałam matką założycielką PRomu.

Ewa Saperko – ówczesny rzecznik prasowy i kierownik Biura Promocji UZ, wiceprezes w pierwszym Zarządzie Stowarzyszenia.

PRom – to już dwie dekady...

Dr Marek Zimnak, polonista, doktor marketingu i zarządzania, jeden z twórców i przez pierwsze trzy kadencje prezes Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich PRom.

Zadziwiająco długą, bogatą, a przede wszystkim ważną i potrzebną drogę przeszło od pierwszych lat nowego stulecia do dzisiaj środowisko ludzi zajmujących się zawodowo promocją uczelni, wyższej edukacji, nauki oraz dbaniem o wizerunek i reputację polskiej uniwersyteckości.

Ponieważ byłem obecny przy narodzinach tego środowiska, więc kilka słów ode mnie niech będzie wyrazem szacunku dla wszystkich, którzy brali udział w tej drodze, a także dla tych, którzy nas wówczas wspomagali, rozumieli potrzeby i przyczynili się do sukcesu, jakim jest nieprzerwana obecność PRom-u w akademickim świecie naszego kraju.

Może najlepiej skalę tego, co się stało przez te ponad dwadzieścia lat w naszym obszarze, zilustruje następujące porównanie: Na początku transformacji ustrojowej bardzo niewiele uczelni powołało rzeczników pra-



sowych, a o specjalistach do spraw promocji czy też biurach promocji po prostu nikt nie słyszał. Dzisiaj z trudem zliczyłbym wszystkich zatrudnionych w jednej uczelni, którzy są aktywni w dziale promocji, rekrutacji, marketingu, biurze rzecznika, tworzą uczelniane media społecznościowe, redagują uczelniane periodyki, biuletyny i newslettery. Jest to najczęściej znacząco ponad 50 osób.

Przez PRom przewinęło się wiele setek specjalistów public relations i marketingu. Dla samej grupy była to wspaniała odskocznia do dalszej kariery. Nie zapomnijmy także o tych, którzy byli wiele lat z nami na tej drodze, ale już odeszli: Agnieszka Schmid z frankfurckiej Viadriny, mój przyjaciel Wojtek Sokolnicki z wrocławskiego Uniwersytetu Ekonomicznego, Andrzej Sołtysiak z wrocławskiej PWSZ. Wszyscy oni także budowali dzisiejszy kształt Stowarzyszenia PRom.

Gdzie rodzi się doskonałość?

O research managerach, których polska nauka pilnie potrzebuje

W najnowszym raporcie Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych, zatytułowanym *Widening excellence - Bridging the ERC gap* (<https://erc.europa.eu/news-events/news/erc-highlights-actions-close-european-research-performance-gap>), znajdziemy stwierdzenie, które powinno wybrzmieć w polskim środowisku akademickim wyjątkowo mocno: różnice w sukcesie naukowym między Europą Zachodnią a krajami *Widening* wynikają nie tylko z finansowania i dorobku, ale także z poziomu profesjonalizacji wsparcia dla naukowców. To zdanie może brzmieć niewinnie, ale w rzeczywistości jest rewolucyjne. Oznacza bowiem, że naukowiec bez profesjonalnego zaplecza strukturalnie przegrywa, nawet jeśli jego pomysł jest lepszy niż badacza dysponującego lepszym wsparciem. Natomiast system, który tego zaplecza nie zapewnia, reprodukuje nierówności.

Gdzie zaczyna się przewaga?

W konkursach ERC ponad połowa wniosków z krajów takich jak Polska odpada już na pierwszym etapie. Część z nich jest po prostu słabsza, to prawda, ale bardzo wiele przegrywa nie jakością nauki tylko brakiem strategicznego feedbacku, mentoringu doświadczonych naukowców, którzy takie granty otrzymali, wsparcia narracyjnego i edytorskiego, przygotowania do interwju czy analizy paneli i benchmarkingu.

Wystarczy spojrzeć na to, jak działa system w Holandii czy Danii. Tam wniosek ERC nie jest indywidualnym wysiłkiem naukowca, lecz efektem pracy zespołu. Grant officer, research manager, specjalista ds. prezentacji, osoba analizująca CV, ekspert od polityk europejskich - to grupa wsparcia, która uchodzi za standard. I jest to standard budowany latami, z pełnym przekonaniem, że doskonałość naukowa to nie tylko talent i ciężka praca, ale także ekosystem wsparcia. W Polsce często oczekujemy, że badacz sam będzie ekspertem od wszystkiego: nauki, administracji, finansów, narracji i prezentacji. To tak, jakby od artysty wymagać, by sam zbudował swoje muzeum.

Co ciekawe, ta obserwacja nie jest nowa. Już ponad dekadę temu prof. Andrzej Kozłowski pisał w swoich tekstach (*Rewolucja Zwinnych, Zapiski z przyszłości, zbiór tekstów*, Wydawnictwo ALK, Warszawa 2024), że współczesne uczelnie będą potrzebować nowych klas specjalistów, osób zdolnych zarządzać złożonością, tworzyć środowisko pracy i wspierać naukowców w sposób profesjonalny i systemowy. Podkreślał, że uczelnie stają się organizacją wiedzy, a nie fabryką dydaktyczną. Raport ERC potwierdza jego diagnozę. Dziś tymi specjalistami są research managerowie. W Polsce to wciąż nieliczna grupa osób, funkcjonująca w kategorii pracowników niebędących nauczycielami akademickimi, który to termin nie oddaje znaczenia ich pracy i bywa odbierany jako marginalizujący. A jednocześnie to właśnie ich kompetencje decydują o tym, czy uczelnia potrafi tworzyć „wyspy doskona-

łości”, przyciągać granty, wspierać kariery i budować międzynarodową tożsamość. Ci, którzy wygrali, zaczęli od wsparcia. Warto spojrzeć na przykłady państw, które dziś stoją się liderami regionu.

Czechy zreformowały struktury wsparcia grantowego, inwestując nie tylko w laboratoria, ale przede wszystkim w ludzi, którzy potrafią pomagać naukowcom w projektowaniu przełomowych badań. Efekt?

W 2024 roku czescy badacze osiągnęli najlepszy w Europie wynik w konkursie ERC Consolidator.

Cypr zbudował zespoły, które pracują z kandydatami do ERC dzień po dniu. Nie ma tam samotnie aplikujących, jest profesjonalna współpraca. W efekcie od zera grantów doszli do kilkunastu ERC rocznie. Słowenia zaprojektowała wsparcie wzorowane na modelu skandynawskim: mentoring, mock panels, analiza CV, wsparcie pisanie. Dzięki temu osiągnęła stopniowy i stabilny wzrost sukcesów, którego nie dało się osiągnąć samym finansowaniem.

Wymienione kraje nie miały „magicznego skoku jakości nauki”. One profesjonalizowały proces wsparcia. Reszta przyszła później.

A Polska? Wciąż opieramy się na heroizmie jednostek. W polskich uczelniach wciąż dominują

dwa modele: 1. wszystko robi naukowiec albo 2. wszystko robi administracja, która nie ma kompetencji researchowych. Oba modele są nieskuteczne. Pierwszy z tego względu, że naukowiec musi wybierać między badaniami a procedurami. Drugi, bo administracja nie może zastąpić kompetencji strategicznych research managerów.

Czego zatem potrzebujemy? Jeśli chcemy realnie wejść do pierwszej ligi europejskiej, musimy:

1. Uznać research managerów za strategiczną grupę zawodową - obok naukowców i dydaktyków.
2. Zbudować zespoły wsparcia na poziomie uczelni, a nie pojedyncze stanowiska.
3. Wprowadzić ścieżki kariery i konkretne kompetencje zawodowe w research management.
4. Zainwestować w profesjonalizację - szkolenia, rozwój, standardy pracy.
5. Zacząć traktować wsparcie badań jako inwestycję, a nie koszt.

Jeśli tego nie zrobimy, nadal będziemy składać liczne wnioski, które odpadają w pierwszym etapie. Nieważne, jak dobre są pomysły, ostatecznie i tak zabraknie im struktury, zaplecza, wsparcia.

Polska ma świetnych naukowców. Ma ludzi z pasją, z pomysłami, z odwagą. Nie ma natomiast systemu, który potrafi tę odwagę przekształcić w przewagę. Doskonałość naukowa nie rodzi się w pojedynkę. Rodzi się tam, gdzie za badaczem stoi zespół - profesjonalny, kompetentny, dobrze przygotowany.

Research managerowie są tym brakującym ogniwem, bez którego nie zbudujemy europejskiej ligi badań w Polsce.

Dr Katarzyna Świerk

Sprostowanie

W wywiadzie pt. *Cyberataki na infrastrukturę akademicką nie są przypadkowe*, opublikowanym 12 marca 2026 roku na portalu forumakademickie.pl, ukazały się nieprawdziwe informacje na temat Wojskowej Akademii Technicznej. Dr hab. Dariusz Szostek mówi: „Zacznijmy może od Wojskowej Akademii Technicznej, gdzie był

bardzo poważny incydent, pomimo że są bardzo dobrze zabezpieczeni, i wykradziono bardzo poważne dane”.

Nieprawdą jest, że w Wojskowej Akademii Technicznej miał miejsce poważny incydent cybernetyczny i wykradziono bardzo poważne dane.

Z poważaniem
Ewa Gmach, rzecznik prasowy Wojskowej Akademii Technicznej

Akademickie przyzwyczajenia

Przyzwyczajenia mogą być uwarunkowane wrodzonymi predyspozycjami, jednak są rozwijane i ugruntowywane w określonym środowisku społecznym. Im dłużej się w nim funkcjonuje, tym są one trwalsze, aż w końcu stają się rutynowymi zachowaniami. Problem w tym, że jedne z nich ułatwiają życie, inne go utrudniają. Tak jest również z akademickimi przyzwyczajeniami.

Przyzwyczajenia ułatwiające życie

Podam przykłady kilku takich przyzwyczajeń, które niektórym akademikom ułatwiały życie. Niektóre z nich zresztą przeszły do legendy. Należy do nich przyzwyczajenie filozofa niemieckiego, profesora uniwersytetu królewskiego (dzisiejszego Kaliningradu) Immanuela Kanta do punktualności. Według jego tradycyjnych spacerów mieszkańcy Królewca regulowali podobno zegary. Tadeusz Kroński, za którym cytuję tę opinię, podaje również, że „z dnia dzielonego między pracę i odpoczynek umiał wydzielić sobie parę godzin, które spędzał beztrako w gronie przyjaciół”.

W Poznaniu taką legendą był mediewista prof. Kazimierz Tymieniecki, organizator (w 1919 r.) Katedry Historii Średniowiecznej na nowo założonym Uniwersytecie Poznańskim. W historii zapisał się nie tylko swoimi fundamentalnymi publikacjami (jak *Początki państwa polskiego*), ale także tym, że regularnie przychodził do uniwersyteckiej biblioteki i spędzał w niej wiele godzin; również wówczas, gdy już przeszedł na emeryturę. W profesorskiej czytelnicy miał swoje stałe miejsce, którego nikt nie ośmielał się zajmować. Nie miałem niestety okazji ani słuchać jego wykładów, ani też spotkać go w bibliotece, bowiem w zamyśleniu wszedł pod tramwaj i zginął tragicznie. W okresie mojej akademickiej młodości było jednak więcej osób, które śmiało można nazwać *homo bibliotecus*, bowiem bez pobytów w bibliotece nie bardzo mogły sobie wyobrazić swoje zawodowe życie. W koleżeńskich relacjach byłem ze zmarłym już profesorem fizyki, który regularnie około południa przyjeżdżał do swojego instytutu, gdzie pracował do późnej nocy na komputerze. Nie była tym zachwycona jego najbliższa rodzina, bowiem brakowało mu czasu na sprawy rodzinne. W końcu jednak musiała się do tego przyzwyczaić, podobnie jak jego akademickie otoczenie. Innego profesora fizyki spotykałem na trasie moich porannych spacerów. Był już emerytem. Jednak „wędrował” nadal codziennie (z wyjątkiem dni wolnych od pracy) z domu do instytutu, w którym pozostawiono mu do dyspozycji biurko i komputer. Takich „wędrujących” emeryto-

wanych profesorów spotykałem również na kampusie mojego wydziału. Być może nawet byli szczęśliwi, spotykając kogoś, kto znalazł trochę czasu, aby z nimi porozmawiać i podzielić się informacjami o uczelnianych wydarzeniach. Jest to jakiś sposób na wypełnienie nadmiaru wolnego czasu, który się ma na emeryturze.

Do przyzwyczajeń ułatwiających akademickie życie skłonny jestem zaliczyć również regularne śledzenie nowości, jakie pojawiają się w obszarze naukowych badań. Obecnie jest to o tyle łatwiejsze, że wyniki często można znaleźć w otwartym dostępie w internecie. Dla młodszego pokolenia akademików korzystanie z internetu stanowi już pewne przyzwyczajenie. Wiele z nich bazuje głównie na tym źródle informacji, a przesiadywanie w bibliotece traktuje jak stratę czasu. Dzisiaj problemem jest uzależnienie od internetu, które stało się swoistą cywilizacyjną plagą, i to w skali światowej. Przebywając w Pekinie, mogłem się przekonać, że dotknęła ona nawet ten przez długie lata zamknięty dla cudzoziemców kraj. Natomiast biorąc udział w różnego rodzaju uczelnianych spotkaniach, przekonałem się, że są uczeni, którym trudno się żyje bez „nosa w komórce”. W jeszcze większym stopniu dotyczy to studentów. Przyjęło się ich nazywać Pokoleniem Z. Jest to pokolenie, które korzysta z internetu nawet na zajęciach dydaktycznych. Miałem wykłady, podczas których co najmniej kilku studentów słuchając tego, co miałem do powiedzenia, szukało czegoś bardziej interesującego w smartfonach. Nawet nie wypadało prosić ich, aby to robili po wykładzie.

Poważniejszym problemem jest dzisiaj stosowanie zasady „zaznacz i wklej”, podczas przygotowywania przez studentów prac zaliczeniowych, a najpoważniejszym – korzystanie ze sztucznej inteligencji przy ich pisaniu od początku do końca. Jeszcze niedawno jedną z bardziej rozpowszechnionych metod nauczania poprawności myślenia i wypowiadania się na piśmie było zadawanie studentom napisania esaju na konkretny temat. Dzisiaj to już nie ma większego sensu, bowiem AI może im go napisać znacznie szybciej i lepiej. Nie widzę możliwości odzwy-

czajenia ich od tego procederu. Problem ten ma zresztą szerszy charakter niż kształcenie studentów. Prof. Zdzisław W. Puślecki w artykule pt. *Sztuczna inteligencja (AI) w branży modyfikacji i przejście od informacji do nadzoru niezauważalnego dla oto-*

czenia wskazuje m.in. na jego aspekty biznesowe, a w nauce i edukacji na związane z nią narzędzie, jakim jest ChatGPT: „Jego zaletę stanowi to, że jest w stanie przetwarzać ogromne ilości danych w bardzo krótkim czasie i na ich podstawie udzie-



Rys Sławomir Makal

łać odpowiedzi na pytania oraz rozwiązywać problemy, z którymi zwracają się do niego użytkownicy”. Komisja Europejska UE rekomenduje jego stosowanie do kształcenia ustawicznego oraz do „kształcenia i szkolenia za pośrednictwem programu Erasmus+, Europejskiego Korpusu Solidarności i eTwinningu”.

Przyzwyczajania utrudniające życie

Ich lista jest być może nawet dłuższa, a na pewno bardziej zróżnicowana. Na czołowym miejscu umieściłbym przyzwyczajenie do długiego spania. Są osoby, które potrzebują więcej snu niż inni. Problem w tym, że umykają im godziny, które można byłoby wykorzystać na efektywną pracę. Kolejnym problemem jest to, że zmuszeni do skrócenia snu akademickimi obowiązkami pracują mniej efektywnie. Przy tym ich konkurenci do akademickich sukcesów śpią krócej i nawet nie do końca rozbudzeni myślą o rozwiązaniach swoich zagadnień badawczych. Najpoważniejszym utrudnieniem jest jednak to, że godziny snu jednych i drugich się rozmiągają, co drastycznie zmniejsza szansę na naukową współpracę. Nie jest to jednak regułą. Znam bowiem uczonych, którzy mieli naturalną potrzebę długiego snu, a mimo tego osiągnęli znaczące wyniki w pracy. Podobnie zresztą nie ma reguły w przypadku przyzwyczajonych do tak wczesnego wstawania, kiedy nawet koguty jeszcze nie pieją. Dodam, że pracownicy nauki jedynie na niektórych uczelniach, a nawet tylko na niektórych wydziałach, mają określone godziny pracy. A im wyżej stoją w akademickiej hierarchii, w tym większym stopniu sami o nich decydują. Jednak powiedzenie: „śpij spokojnie, a sukcesy same przyjdą”, trudno uznać za przepis na sukces w nauce.

Na wysokim miejscu listy umieściłbym również przyzwyczajenie do zabierania głosu przy każdej okazji. Bywają wprawdzie małe dzieci „urodzone” gaduły, które swą wymową wzbudzają zachwyt w opiekunach. Kiedy jednak dołączą do grona uczonych, to mamy gotowe akademickie gaduły, które mogą być kłopotliwe dla otoczenia. Jeśli są uczonymi na dorobku, to ich otoczenie ma prawo oczekiwać, aby najpierw się czegoś nauczyli, a dopiero później zabierali głos i ewentualnie pouczali innych. Jeśli natomiast są uczonymi z dorobkiem, to nie mogą zmuszać innych do wysłuchiwanie ich samozachwytów. W starszym wieku skłonność do gadulstwa może stać się swoistym nałogiem. Często miewałem do czynienia na różnych spotkaniach naukowych z wystąpieniami profesorów starszej daty, którzy z niecierpliwością oczekiwali dopuszczenia do głosu, a gdy już im go udzielono, nie wiedzieli, kiedy skończyć. Nie pomagały żadne sygnały ze strony moderatorów, jednak nie wypadało zwracać im uwagi, że wyczerpali cierpliwość słuchaczy lub mówią nie na temat. Rzecz jasna, uczony może się wypowiadać również w formie pisemnej. Jako redaktor naczelny dwóch naukowych czasopism mogę powiedzieć, że spory kłopot bywa nie tylko z jakością zgłaszanych artykułów, ale także z przyjętymi limitami objętości. „Dziwnym” trafem stosunkowo często te limity przekraczają profesorowie starszego pokolenia. Nie każdemu z nich można zalecić skrócenie tekstu, a już nietaktem jest jego skracanie przez redakcję czasopisma (w czasopismach, w których jestem redaktorem naczelnym, taka praktyka nie jest stosowana).

Przyzwyczajaniem utrudniającym życie nie tylko pracownikom naukowym, ale także studentom, jest również traktowanie obowiązku prowadzenia zajęć dydaktycznych tak, jakby to był przysłowiowy „dopusz boży”. Miałem w przeszłości asystenta, który przez cały semestr tylko raz odbył ze studentami zajęcia dydaktyczne w uniwersyteckiej sali. Natomiast dla ich „uatrakcyjnienia” spotykał się z nimi w lokalu gastronomicznym. W końcu studenci poszli ze skargą do rektora, a ten – po rozmowie ze mną – podjął decyzję o rozwiązaniu z asystentem

stosunku pracy. Dzisiejsi studenci są bardziej skłonni do zgłaszania skarg na swoich akademickich nauczycieli. Być może poprawia to nieco regularne odbywanie zajęć, nie sądzę jednak, aby radykalnie zmieniło negatywny stosunek do ich przygotowania oraz trzymania się tzw. minimów programowych. Wymagałoby to sporo czasu i wysiłku, a kto godziwie za to zapłaci lub przynajmniej uwzględni przy ewentualnych awansach? Są nauczyciele akademicki, których głównym lub nawet jedynym obowiązkiem jest prowadzenie zajęć ze studentami. Zatrudniani są jednak na gorzej płatnych i mniej cenionych stanowiskach dydaktycznych. Regulacja prawna z 2019 roku, nazywana Ustawą 2.0, wprowadziła wprawdzie pewną ochronę dla osób z doktoratem zatrudnianych na stanowiskach wykładowców i starszych wykładowców, ale przecież nie o to chodzi tym, którzy liczą na awans w uczelnianej hierarchii i podwyżkę wynagrodzenia.

Dziwne przyzwyczajania

W życiu nawet wybitnych uczonych są przyzwyczajania, które ani nie ułatwiają akademickiego życia, ani też go nie utrudniają. Są one natomiast dziwne, a niektóre nawet dziwaczne. Przywoływany już tutaj Kant uchodzi nie bez racji za filozoficzną wizytówkę epoki Oświecenia. Jednak jego filozofia na prywatny użytek wyrażała się w tym, że nie należy wietrzyć domowych pomieszczeń, bowiem świeże powietrze szkodzi jego słabemu zdrowiu. Był amatorem herbaty, ale tylko zrobionej z jednego listka, większa ich liczba mogłoby również zaszkodzić jego zdrowiu. Karol Darwin swoją teorią ewolucji zadziwił świat naukowy. Byli jednak uczeni, którzy ją kwestionowali. Unikał jednak jak mógł bezpośrednich kontaktów z oponentami. Michael White i John Gribbin, opisując w biografii tego uczonego głośną debatę w sprawie jego teorii, która odbyła się 30 czerwca 1860 roku w Brytyjskim Stowarzyszeniu Popierania Nauki, przypominają, że do tego boju desygnował Thomasa Huxleya, „podczas gdy sam krążył po Down House”. Albert Einstein zadziwił świat naukowy swoją szczególną i uogólnioną teorią względności. Natomiast ciekawskich może dziwić to, że z uporem występował z fryzurą, jakby dopiero wyszedł spod prysznicy i zapomniał się uczesać. Dzisiaj można zobaczyć nie tylko „nieuczestnych” polityków (gustował w tym były premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson), ale również uczonych, którzy wyglądają jak kolejne wcielenia Einsteina; do pełni szczęścia brakuje im jedynie jego naukowych osiągnięć.

Dziwić może również zachowanie uczonych, którzy podczas naukowych wystąpień trzymają rękę w kieszeni (stosunkowo częste jest to u amerykańskich profesorów). Można oczywiście się zastanawiać, czego w niej szukają, a nawet postawić pytanie: czy nie jest to przejaw ich arogancji? W okresie mojej akademickiej młodości usłyszałem od z jednego z profesorów, że napisał na siebie (cytuje): „Anonim listów kilka” i śmiał się z wywołanego nimi zamieszania. Rzecz jasna dla jego najbliższego otoczenia nie było to aż tak zabawne. W porównaniu z tym błahostką jest przemawianie „ex cathedra” podniosłym i „pogrubionym” głosem, jakby od tego, co ma się do powiedzenia, zależały losy świata. Jeden z moich kolegów profesorów takim głosem przemawia w oficjalnych wystąpieniach. Jednak w prywatnych rozmowach ta dziwna przypadłość mu przechodzi. Nie odważyłem się jednak nawet żartem zwrócić mu na to uwagę. Nie sądzę zresztą, aby to coś zmieniło w jego przyzwyczajeniach, a mogłoby przyczynić się do koleżeńskich relacji z nim.

Pierwotna wersja tego artykułu ukazała się w książce
pt. *Academic Life. My Point of View*. Peter Lang Verlag 2026.

Rozmowa z dr. hab. Igorem Omuleckim, kierownikiem Katedry Fotografii Akademii Sztuki w Szczecinie

W stronę metafotografii

Uważam, na przekór panującemu od dekad w sztuce funkcjonalizmowi, że jest w niej też obszar niefunkcyjny i nie do końca czuję, że sztuka musi spełniać określone funkcje społeczne i być narzędziem socjotechniki.

Do szczecińskiej Akademii Sztuki dojeżdża pan z Warszawy, ale miejscem szczególnie istotnym była dla pana Łódź, miasto rodzinne.

Wychowałem się przy środowisku łódzkiej neoawangardy. W związku z tym, że Andrzej Różycki był moim wujkiem, bywałem na najważniejszych wydarzeniach, które działy się w Łodzi, np. na Konstrukcji w Procesie na początku lat 80., gdy wystawiono czołowych światowych artystów konceptualnych, co powtórzyło się w latach 90. Galeria Wschodnia była centrum życia kulturalnego; funkcjonowało Muzeum Artystów; pamiętam niesamowite działania, które organizował Józef Robakowski, jak np. „Lochy Manhattanu”; różne akcje grupy Łódź Kaliska, której powstanie było zainspirowane – jak wspominał Andrzej Rzepecki – przez Różyckiego. Łódzkie środowisko jako całość wywarło na mnie ogromny wpływ i stało się archetypem postawy artystycznej. Łódź zawsze miała w sobie szczególną osobność. W latach 70. środowisko łódzkiej sztuki zostało odsunięte od głównego nurtu, co uruchomiło oddolną samoorganizację artystów i w konsekwencji pozwoliło im działać niezależnie. To oni – poza instytucjonalnymi hierarchiami – sami wytwarzali własny świat sztuki, czego wyrazem były m.in. działania Kultury Zrzuty. Łódź stała się miejscem otwartym i przyciągającym artystów niezależnych z Polski i ze świata. Na wydarzeniach spotykali się ludzie o bardzo różnych doświadczeniach i pozycjach; nie czuło się kastowości ani podziału na warstwy społeczne czy status. Dopiero później, gdy pod koniec lat 90. wyjechałem z Łodzi, zrozumiałem, że moje globalne postrzeganie pola sztuki było naiwne, że w innych kontekstach światem tym rządzą odmienne mechanizmy. Myślę, że dziś Łódź jest już innym miejscem, ale niezależnie od tego pozostaje we mnie poczucie wdzięczności: dziękuję ludziom Łodzi.

Jakie jest obecnie miejsce fotografii w obszarze sztuki?

Teraz rzuca mnie pani na głębokie wody... Nie czuję się kompetentny do takiego podsumowania, mogę mówić jedynie o mojej intuicji, o moim doświadczeniu jako artysty, który posługuje się fotografią. Od zarania fotografia ma w sztuce status ambiwalentny, nie jest traktowana tak, jak chociażby malarstwo; a wspomnę, że w koncepcjach postsztuki, nawet malarstwo często nie mieści się w kategoriach czy kryteriach sztuki. Fotografia obecnie jeśli jest wprowadzana w pole sztuki, traktuje się ją po prostu jako medium.

Ta nomenklatura jest dosyć płynna.

Tak, wiele zależy od kontekstu, od narracji. Nie ma jednej odpowiedzi.

Podobnie trudno jest mówić o granicach pomiędzy fotografią tzw. artystyczną i użytkową.

Po pierwsze, termin „fotografia artystyczna” nie jest szczególnie ugruntowany w kręgach sztuki współczesnej. Zamiast niego częściej mówi się, jak wspominałem, o fotografii jako medium używanym w sztuce. Jeśli natomiast chodzi o rozróżnienie między sztuką a formami użytkowymi, w moim środowisku zwykle nie stanowi ono większego problemu: dość wyraźnie widać, co funkcjonuje w polu sztuki, a co ma przede wszystkim charakter komercyjny. Nie oznacza to jednak, że działania komercyjne są pozbawione wartości formalnych czy estetycznych, po prostu nie muszą wchodzić w obszar sztuki.

W Katedrze Fotografii prowadzi pan Pracownię Fotografii Kreatywnej i Fotomediów, która – jak dowiadujemy się z opisu – przechodzi transformację w kierunku Metafotografii. Na czym ten proces polega?

Zmiana nazwy na Pracownię Metafotografii nie jest jeszcze zaakceptowana, ale jest już uwzględniona w moim programie. Prowadzę tę pracownię z dr. Pawłem Kulą, który specjalizuje się głównie w fotomediach. Myślenie o fotografii w kategoriach metafotografii, jest próbą nadążania za dynamicznym rozwojem tego medium. Fotografia ma różne oblicza. Nawet osoby, które przychodzą na studia, nie zdają sobie sprawy z tego, jak to jest szerokie pole: mówimy tu o użyciu różnych narzędzi i metod rejestracji obrazu oraz strategii ich kontekstualizacji. Obecnie pojawia się też sztuczna inteligencja. Do tego mamy całą historię fotografii, także to, co ją wyprzedzało, jak kamera obscura i różne metody przedfotograficzne, które były zacznem fotografii. Nas to wszystko interesuje.

Metafotografia to pojęcie bardzo otwarte.

Tak, to jest pojęcie, które w moim odczuciu ma być pomocne w nadążaniu za stałą przemianą, w której bierzemy udział. Nie jesteśmy zafiksowani ani na jednym sposobie tworzenia, ani na jednym sposobie myślenia o tworzeniu. Praktyka rejestrowania obrazu jest przede wszystkim podstawą do eksperymentu, badań, refleksji.

Czy pracownię i jej program tworzył pan od podstaw?

Tak, do pracy zaprosił mnie prof. Łukasz Skąpski, który w szczecińskiej uczelni założył Katedrę Fotografii. Jako obecny jej kierownik staram się kontynuować ideę prof. Skąpskiego, aby katedra była zbiorem autonomicznych autorskich pracowni. Wierzę we wspólnotę, która opiera się na zbiorze indywidualności, a nie w koncept pozbywania się własnego ja i tworzenia jednej masy. Na poziomie katedry mamy różnorodne jednostki – mocne pracownie z własnym programem i to jest naszym atutem.

Medium fotografii, jak pan wspominał, przechodzi nieustanną ewolucję. Jakie szanse i zagrożenia wiążą się z takimi współczesnymi zjawiskami jak np. wykorzystywanie AI w procesie twórczym?

Sztuczna inteligencja to jest bardzo trudny i rozległy temat. Na pewno rodzą się tu różne pytania, chociażby o autorstwo, o to, gdzie naprawdę zaczyna się czyjeś dzieło, a co za tym idzie – jak kształtować prawa autorskie. Pojawia się też dużo wątpliwości. Dla mnie ciekawe i symptomatyczne jest to, co sam odczułem i co wiele osób pracujących z AI zgłasza: że taka twórczość daje autorom mniejszą satysfakcję. Wpływa na to łatwość tworzenia i przesunięcie tego procesu poza ciało, co – jak mi się wydaje – wiąże się z mniejszą głębią odczuwania. Nie wiem jednak, czy nadal tak będzie, bo nasza percepcja się zmienia i my także zmieniamy się jako istoty. Wiele zależy też od sposobu użycia tego środowiska technologicznego. Nie określam nawet AI jako narzędzia, bo to jest więcej niż narzędzie, gdyż w pewnym momencie może stać się agentem, który zacznie autonomicznie tworzyć. I tu można szukać analogii z artystą i stawiać filozoficzne pytania jak to wpłynie na rolę człowieka w sztuce?

Pomiędzy wcześniejszymi fazami rozwoju fotografii a AI jest ogromna przepaść.

Na pewnym poziomie użycie sztucznej inteligencji to już nie jest fotografia, tylko tworzenie za pomocą technologii obrazu, który w doskonały sposób imituje fotografię. Jeśli mówimy o zagrożeniach, to jestem przekonany, że paradoksalne takie zjawisko jak AI może wzmocnić źródłową fotografię, czyli może nastąpić powrót do analogowej fotografii i manualnych działań, a przede wszystkim do dokumentu jako świadectwa. Stosując sztuczną inteligencję w kreowaniu, możemy mierzyć się z pytaniem: po co mam fotografować, skoro mogę to wygenerować? Ale w wypadku dokumentu nie będziemy już mieli takich wątpliwości i wydaje się prawdopodobne, że w pewnym momencie zaczniemy szczególnie dowartościowywać dzieła wykonane przez człowieka.

Może być podobnie jak z malarstwem, które wbrew przewidywaniom nie uległo marginalizacji. Wracając jednak do dydaktyki: jakie są zainteresowania studentów? Czy nowe technologie są czymś, co ich szczególnie fascynuje?

Wydaje mi się, że – paradoksalnie – oni potrafią być bardzo krytyczni. Co ciekawe, niektórzy studenci mówią, że programowo nie będą korzystać ze sztucznej inteligencji.

A czy jest pan w stanie to zweryfikować? Deklaracje mogą być szczerze, ale w pewnym momencie może pojawić się chęć pójścia na skróty.

Nie jestem w stanie zweryfikować, to jest możliwe dopiero przy głębszej analizie plików, ale na poziomie definicji obrazu jest to coraz trudniejsze do wychwycenia. Może to ryzykowne stwierdzenie, jednak na pewnym poziomie dla mnie nie ma znaczenia, w jaki sposób obraz powstaje, tylko dlaczego on powstaje i co student ma do powiedzenia w związku z procesem tworze-

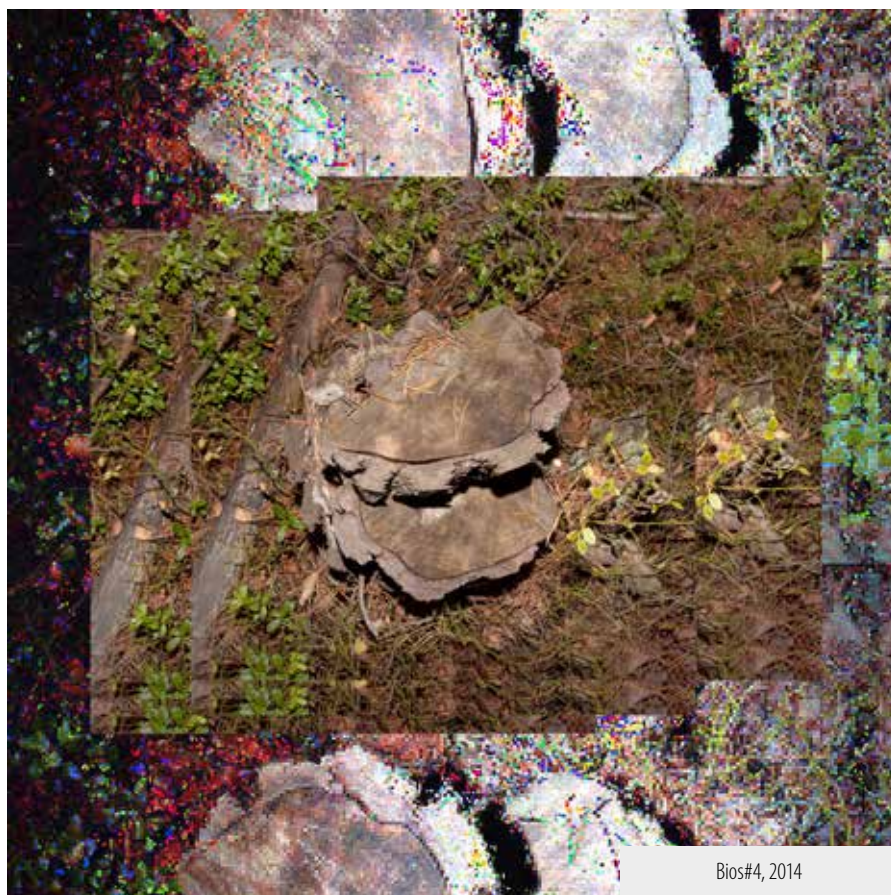


Igor Omulecki (ur. 1973, Łódź) – polski artysta wizualny, fotograf i pedagog mieszkający w Warszawie, związany z Akademią Sztuki w Szczecinie. Bada współczesne obszary funkcjonowania fotografii, łącząc materialność technik analogowych z ulotnością obrazów cyfrowych. Tworzy metafotograficzne hybrydy: rzeźbiarskie interwencje w realną przestrzeń zestawia z postfotograficzną manipulacją obrazem. Podejmuje również eksperymentalne działania w archiwach, własnych i instytucjonalnych, wydobywając z nich nowe sensy poprzez poszukiwania formalne i konceptualne; współpracuje m.in. z Archiwum Fotozoficznym Andrzeja Różyckiego. Jest stypendystą ministra kultury oraz m.st. Warszawy, a także laureatem nagród IPA Award, PMH, ExhibitA, Photolucida Critical Mass, Cannes Lions i Europe's Premier Creative Award. Jego prace prezentowano m.in. w Barbican (Londyn), Centrum Sztuki Współczesnej w Tel Awiwie, Matadero (Madryt), Zachęcie – Narodowej Galerii Sztuki oraz Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie.

nia obrazu. Taka jest istota procesu dydaktycznego w większości naszych pracowni, o ile nie we wszystkich, że przede wszystkim uczymy myślenia w tworzeniu i jestem tu zwolennikiem otwartości. Jeśli ktoś znajdzie dobrą metodę na pracę ze sztuczną inteligencją, to dlaczego ma jej nie używać? Problem powstaje, gdy ktoś ma wykonać fotografię, a z lenistwa użyje sztucznej inteligencji, gdyż jest to oszustwo, natomiast jeśli mamy do czynienia z programowym i przemyślanym działaniem, połączonym z badaniem tego medium, to wszystko jest w porządku.

Bardzo ważny jest więc kontakt pracowniany: korekty, ale zapewne i pogłębione dyskusje ze studentami o ich projektach.

Tak to właśnie u nas jest – mówię w imieniu swoim i wszystkich dydaktyków. Wspomniała pani o metodzie pogłębionych projektów, aczkolwiek w moim wypadku one są pogłębione i niepogłębione, bo również cenię sobie eksperyment i działanie polegające na wprowadzaniu albo utrzymywaniu studentów w stanie pewnej niewiedzy czy niezrozumienia, gdyż jest to dobre podłoże do eksperymentowania, bo z czym tu eksperymentować, jak mamy z góry założoną tezę i chcemy tylko ją udowodnić? Interesują nas różne zagadnienia: co nam dają narzędzia i technologie? co z tego wypływa? A w kontekście obrazu: co my widzimy?, jak widzimy?, co ten obraz nam pokazuje?,



strategię i posiadając pewne umiejętności socjalne, można nawet odnieść sukces.

Zakładam, że nie koncentruje się pan na uczeniu studentów takich strategii?

Mnie one funkcjonalnie średnio interesują, ale uczę krytycznej analizy różnych współczesnych postaw artystycznych. Natomiast nauczanie strategii sukcesu należy do osób, które uczą promocji i funkcjonowania rynku, a takie przedmioty obecnie są wpisane w program naszych studiów. Jednym z wielkich nieporozumień naszych czasów jest jednak dla mnie to, że myli się sztukę z rynkiem sztuki. Choć, jak wiemy, z punktu widzenia socjologii rynek jest jednym z komponentów pola sztuki.

W naszej pracowni, razem z dr. Pawłem Kulą, uczymy w sposób bardzo „wyjściowy”: nie zakładamy z góry określonych rezultatów, nie narzucamy kierunku badań artystycznych. W przeszłości

jak my go rozumiemy? A metody są trochę wtórne – interesuje nas przede wszystkim dialog metafotograficzny, czyli mieszanie różnych technologii wewnątrz medium, np. sztucznej inteligencji z analogową fotografią, i podróżowanie po całej skali.

A skala możliwości jest niesamowita.

Nie było dotychczas takiej.

W kontekście rozporządzeń dotyczących szkolnictwa wyższego padają hasła inkluzywności i dostępności edukacji. Jak pan postrzega tę ideę w kontekście fotografii? Zapytam przewartnie: czy każdy może studiować fotografię?

Studiować mogą wszyscy, mają takie prawo, trzeba tylko zdać egzaminy wstępne. Zainteresowanie kierunkiem fotografia jest falowe, nie wygląda na to, żeby ona była w tej chwili preferowana, ale też żeby była totalnie passé. Natomiast gdy pojawia się takie pojęcie jak inkluzywność, to myślę od razu o innym pojęciu – o elitarności i włącza mi się system ostrzegawczy przed myśleniem totalnym. Inkluzywność wyklucza przecież elitaryzm, a sztuka współczesna potrafi być hermetyczna i nie da się pewnych rzeczy komunikować czy robić dla wszystkich, nie wszyscy też mogą pewne rzeczy robić. Inkluzywność powinna zaczynać się na poziomie edukacji w polu szeroko pojętej kultury od najmłodszych lat. Bardzo lubię takie zdanie, które cytuje mój kolega, prof. Łukasz Skąpski: „Ludzie się dzielą na dwa typy: nieuków i samouków”. Coś w tym jest, bo sztuki nie da się w pełni nauczyć. Można wspomagać studentów, pomagać im w rozwoju, ale są jednostki wybitne z pewnym potencjałem i są jednostki, które nie mają tego potencjału, ale jeżeli będą bardzo pracowite, to możemy ich wprowadzić na bardzo dobry poziom. Wie pani, teraz świat sztuki jest tak ułożony, że są pewne wytyczone drogi, które można namierzyć i wytręć chodzenie po nich. Przyjmując koniunkturalnie określoną

byłem zafascynowany twórczością dzieci oraz pierwotną energią twórczą, która wypływa z naturalnej potrzeby człowieka. Nie chodzi mi o naiwną szczerość, z którą kontakt na poziomie akademickim bywa bolesny, ale o utrzymanie w procesie tworzenia czegoś znacznie cenniejszego: ciekawości i gotowości do poznawania świata „od zera”. Dziecko bada rzeczywistość poprzez zabawę i grę, testuje reguły, przedstawia elementy, szuka nowego porządku. Ten stan niewiedzy nie jest brakiem, lecz zasobem: pozwala na ponowne konstruowanie świata, na odkrywanie struktur i zależności, na eksperymentowanie oraz możliwość odkrywania nowych rzeczy.

Szczęśliwie funkcjonuję w katedrze, która mieści bardzo różne strategie nauczania, a wykładowcy reprezentują odmienne strategie artystyczne. Pracownicy mają charakter wolnego wyboru: na pierwszym roku studenci uczestniczą we wszystkich, a potem wybierają te, które najbardziej odpowiadają ich wrażliwości i sposobowi pracy. Dzięki temu mogą nie tylko znaleźć dla siebie właściwe środowisko, ale też świadomie zbudować własny język – nie poprzez realizację narzuconego programu, lecz poprzez aktywne, badawcze „układanie świata na nowo”.

Określił pan fotografię jako „profesję we mgłę”. Jakie są perspektywy zawodowe absolwentów tego kierunku? Swego czasu odnosił pan sukcesy także w fotografii reklamowej, jak obecnie wygląda sytuacja w tym obszarze?

Poruszanie się w sztuce przypomina funkcjonowanie „we mgłę”, w obszarze nie do końca rozpoznanym, gdzie najważniejsze jest to, co nieznanne, nowe i odkrywcze. Podobnie jak w nauce, interesuje nas to, co dopiero domaga się poznania. Dlatego uczymy użycia fotografii w sztuce, ale nie oznacza to, że kształcenie artystyczne wyklucza praktyki użytkowe czy komercyjne. Studiowanie interdyscyplinarne – tak odbywa

się to w Akademii Sztuki w Szczecinie – obejmujące malarstwo, fotografię, rysunek, rzeźbę czy film eksperymentalny, daje solidną bazę do wypracowania własnej specjalizacji i elastycznego poruszania się między różnymi formatami pracy: od działań artystycznych, przez projekty hybrydowe, po realizacje użytkowe. Równolegle istnieje też realna ścieżka funkcjonowania jako profesjonalny artysta na polu sztuki – poprzez wystawy, rezydencje, granty, współpracę instytucjonalną i rynek.

Czy dostrzega pan problem ogólnego obniżenia poziomu edukacji artystycznej poprzez rezygnację z nauczania przedmiotów artystycznych i historii sztuki na poziomie szkół podstawowych i średnich?

Na wcześniejszych etapach edukacji nie uczy się prawie w ogóle sztuki. Bardzo często młodzi ludzie wychowani są dziś na grach komputerowych, social mediach i „streszczeniach” z portali internetowych. Dochodzi do zerwania ciągłości przekazu kulturowego, a ten proces będzie się pogłębiał. W przypadku poszukiwania pewnych odniesień czy mitów okazuje się, że studenci zaczynają mieć więcej odniesień do infosfery niż do literatury i filmu. Jest to wyzwanie.

Jak pan sobie radzi w tej sytuacji jako dydaktyk? Czy znalazł pan sposób na dotarcie do studentów wychowanych w kulturze Instagrama?

Musimy sobie radzić. Przedstawiam im np. różne materiały do ćwiczeń, które są jednocześnie przekazem informacji poprzez obraz i słowo. Zadaję studentom też takie aktywności, żeby mogli zaprezentować to, w czym funkcjonują, co oglądają, co czytają, czyli swoją rzeczywistość. Stymuluję ich do tego, żeby zajmowali się najpierw mapowaniem swojego świata, a potem pracą w tym kontekście. W ten sposób mogę się czegoś o nich dowiedzieć.

Trzeba włożyć dużo wysiłku, żeby wejść w ich świat.

Tak, ale z drugiej strony nie zawsze też jest łatwo wejść w świat studenta, który jest konserwatywny w swoich strategiach. Jest to wszystko złożone i nie ma innej metody jak weryfikowanie i żywe reagowanie na daną sytuację. To bywa trudne na różnych poziomach: na poziomie intelektualnym, aczkolwiek niekoniecznie w związku ze skomplikowaniem treści, tylko z koniecznością niesienia pomocy w rozkodowaniu prostych treści i znaczeń; i na poziomie psychologicznym, bo musimy radzić sobie z młodymi, często nadwrażliwymi osobami, których pytania o przyszłość są ekstremalnie trudne. Niczego im nie obiecuję, mogę jedynie powołać się na wyniki badań, wykonanych w okresie wielkiej krytyki studiów humanistycznych, gdy okazało się, że osoby z wykształceniem humanistycznym są najbardziej elastyczną grupą na rynku pracy i najlepiej sobie radzą.

To jest też ciekawe w kontekście sztucznej inteligencji – czytałem, że to właśnie humaniści za chwilę będą najbardziej potrzebni, jako ludzie, których sztuczna inteligencja tak łatwo nie zastąpi i którzy będą nadzorować procesy wymagające szerszego spojrzenia i pewnego etosu związanego z wartościami ludzkimi. Uważam za istotne, że w naszej uczelni sztukę można studiować naprawdę interdyscyplinarnie. Studenci mają zajęcia także na innych kierunkach, do dyplomu robią aneks z malarstwa i mają okazję szeroko zapoznawać się z różnymi mediami.

Przechodząc do pańskiej twórczości, prace z lat 90. były wpisane w ówczesny kontekst, a potem ewoluowały zgodnie ze stwierdzeniem „To, co jest w nas najgłębiej, jest poza czasem”. Prof. Krzysztof Pijarski w recenzji wspominał o trzech wątkach pana współczesnych zainteresowań: o postfotografii, pracy z archiwami (w tym rodzinnymi) oraz postaci Andrzeja Różyckiego. Na czym obecnie pan szczególnie się koncentruje?

Jestem na drodze – czasami ją tracę, potem na tę drogę wracam – trudno mi więc jednoznacznie odpowiedzieć. Nie jestem twórcą jednolitym. W tym braku jednolitości jest jakaś konsekwencja, metoda stałego poszukiwania. Zauważyłem, ku mojemu zaskoczeniu, że od jakiegoś czasu w większym stopniu narzucają mi się tematy przychodzące z zewnątrz, niż projekty wynikające z autorefleksji. Tak było w przypadku Archiwum Fotozoficznego Andrzeja Różyckiego – nie mogłem nie zaangażować się w pracę nad tym nim, gdyż jestem blisko spo-



Czaszka, 2025



mama-02, 2012



Mikado#5, 2018

krewniony z Andrzejem, a w planach jest jego wystawa monograficzna w Muzeum Sztuki w Łodzi.

Andrzej Różycki był pana bliskim krewnym. Czy jego twórczość również jest panu bliska?

Jestem połączony z Andrzejem poprzez nieświadome zaprzeczenie (via negativa). Nie zgadzaliśmy się, jeżeli chodzi o sztukę, a raczej głównie Andrzej się ze mną nie zgadzał.

Co było punktem zapalnym?

Zasadnicza różnica w rozumieniu tego, czym sztuka ma być i jaką ma pełnić funkcję. W ostatnich dekadach Andrzej coraz mocniej koncentrował się na sacrum i pamięci, a jego prace były osadzone w wyraźnie podkreślanym kontekście katolicyzmu i tradycji katolickiej. Ta orientacja była dla niego osią porządkującą całą praktykę artystyczną. Ja natomiast działałem w logice przeciwnej: poruszałem się po całej skali odniesień: od popkultury, po sacrum i profanum. Interesowały mnie kwestie percepcji i mechanizmów widzenia, a także gesty bardziej prowokacyjne, czasem obrazoburcze. Andrzej miał postawę bardziej ortodoksyjną i spójną światopoglądowo, dlatego moja strategia wielości, zmienności i mieszania porządków była dla niego nie do zaakceptowania. Przede wszystkim jednak był bardzo określony i nie podobał się jemu mój relatywizm.

To była kwestia postawy artystycznej, czy także osobowości?

Głównie postawy, bo myślę, że paradoksalnie jesteśmy bardzo podobni, łącznie z trudnymi aspektami osobowości. Andrzej był dla mnie nieświadomym mentorem, co odkryłem dopiero ostatnio. Zawsze sobie powtarzałem, że nie mam mistrza, nauczyciela, ciągle buntowałem się, byłem wyrzucany z uczelni i paradoksem jest, że teraz sam uczę. Ale wracając do tego, czym się zajmuję: ostatnio pracowałem na archiwach. Pracuję też instytucjonalnie, co było dla mnie bardzo ciekawym doświadczeniem, bo odbyłem rezydencję w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem, gdzie zostałem zaproszony do przygotowania wystawy moich prac inspirowanych twórczością Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Duże wyzwanie.

Tak, na różnych poziomach. Robiłem projekt w pewnym stopniu o muzeum, o doświadczaniu zbiorów, trochę jak w przypadku mojej wcześniejszej pracy z archiwami Różyckiego. A w tej chwili przygotowuję wystawę prac, w których m.in. używam sztucznej inteligencji.

Po raz pierwszy zastosował ją pan w swojej twórczości?

Nie, ale pierwszy raz to pokażę, bo wcześniej korzystałem z niej, jednak nie zdecydowałem się na prezentację tych prac. Wiosną zeszłego roku robiłem w Galerii EL w Elblągu wystawę o drzewie w kontekście dialogu z Andrzejem Różyckim, ale wówczas nie zdecydowałem się na użycie sztucznej inteligencji, bo ona nie do końca mi w tym kontekście odpowiadała. Teraz robię wystawę o sensie i bezsensie, nie tak osobistą jak poprzednie. To będzie dadaistyczna czy może postdadaistyczna gra z obrazem i widzem, trochę w kontrze do ogólnego zaangażowania w mówienie tego, co trzeba, jak trzeba i podejmowania „właściwych” tematów.

Niekoniecznie chce się pan wpisywać we „właściwe” strategie i eksplorować modne obecnie tematy i ideologie?

Jako artysta zależny, staram się być niezależny, co jest oczywiście utopią, bo zawsze jest się jakoś zależnym. Ostatnio miałem rozmowę na temat przekory w tworzeniu i pozostawiania na peryferiach – myślę, że taka postawa charakteryzowała Andrzeja Różyckiego. To wydaje mi się ciekawe, choć z drugiej strony zawsze imponowali mi tacy artyści jak Miles Davis, którzy albo wyznaczali nowe kierunki, albo byli w ich centrum. Interesuje mnie więc, żeby być na bieżąco z tym, co się dzieje, ale niekoniecznie potwierdzać pewne nurty. Uważam, na przekór panującemu od dekad w sztuce funkcjonalizmowi, że jest w niej też obszar, który nie jest funkcjonalny i nie do końca czuję, że sztuka musi spełniać określone funkcje społeczne i być narzędziem socjotechniki. Jako artysta nie chcę w tym brać udziału, bo wówczas stracę niezależność.

Kiedyś, w czasie egzaminów dyplomowych, prof. Skąpski skrytykował pracę studencką, mówiąc, że to nie jest sztuka. Zapytałem go wtedy prowokacyjnie: „A co to jest sztuka?” Odpowiedział: „Nie wiem, co to jest sztuka, ale wiem, co sztuką nie jest”.

Rozmawiała: Krystyna Matuszewska



Solaris-15, 2017



Stereo Ha#13, 2021

Radosław Skrycki

Cesarski Geograf

O dawnych mapach, niezwykle popularnym acz zapomnianym kartografie oraz barokowym języku symboli

Piszący te słowa od dłuższego czasu analizując dawne mapy, interesuje się przede wszystkim potencjałem informacyjnym, jaki niosą ze sobą parergi map. Są to przede wszystkim kartusze tytułowe, rzadziej skalowe, ale również rozmaite wtręty ikonograficzne uzupełniające treść geograficzną dzieła.

Gdy zastanawiamy się nad pojęciem „baroku” w sztuce europejskiej końca XVII i początków XVIII wieku, na myśl przychodzi nam przede wszystkim dzieła malarskie, czasem architektura czy literatura. Periodyzujemy wydarzenia, określamy cechy charakterystyczne stylu w tym czy innym kraju, tworzymy schematy, w które wpisujemy dokonania mniej i bardziej znanych artystów. Dla historyka, szczególnie akademika, jest to o tyle pomocne, że pozwala ułożyć materiał we w miarę uporządkowany system i w ten sposób przekazać go studentom. Czas na niuansowanie i odstępstwa od przyjętych ram przychodzi później, na wykładach lub ćwiczeniach, gdzie podczas gruntownej analizy udowadniamy, jak bardzo te narzucone przez nas samych ramy nie przystają do rzeczywistości; zawsze znajdują się ludzie, wydarzenia lub procesy do nich niepasujące.

W programie studiów uniwersyteckich, siłą rzeczy skrojonych do percepcji i oczekiwań młodych ludzi, brakuje miejsca na wiele zjawisk z historii kultury i nauki. Już wiele lat temu nieodżałowanej pamięci prof. Stanisław Alexandrowicz zwracał uwagę, że wyrugowanie z programu studiów historycznych geografii historycznej powoduje, że młodzi ludzie nie potrafią czytać map. Ba! Wielu profesjonalnych historyków z tego między innymi powodu jest kartograficznymi analfabetami, myśląc często dawną mapę z mapą historyczną i traktując tę pierwszą jako atrakcyjny – i niewiele więcej – dodatek ilustracyjny do swoich monografii. Dawna mapa stała się zatem, volens nolens, tylko obiektem ikonograficznym, dużo rzadziej wykorzystywanym jako źródło historyczne. Grono specjalistów potrafiących ją poddać krytyce, odczytać i zinterpretować jest stosunkowo niewielkie. Z drugiej strony atrakcyjność wizualna map z XVII czy XVIII wieku powoduje, że na rynku książki (także polskim) mamy mnóstwo mało wartościowych publikacji typu „skarby kartografii”. Sama reprodukcja, pozbawiona „archeologicznego” kontekstu, nie jest niczym więcej jak ładnym obrazkiem. Książki takie pozwalają rozbudzić zainteresowanie, niewiele jednak dają rzetelnej wiedzy. Za przykład niech posłuży niedawno wydany przez Bellonę „atlas historyczny” Janusza Bieszka i Wojciecha Zielińskiego *Lechia, Sarmacja, Scytia* bezrozumnie zbierający

dawną kartografię w zespół przypadkowych zabytków kartograficznych, pozbawiony jakiegokolwiek krytycznego namysłu i obarczony wieloma błędami interpretacyjnymi.

Przyczyn takiego stanu rzeczy jest wiele. Polskie piśmiennictwo dotyczące dawnej kartografii jest mocno konserwatywne. Wciąż dominuje szkoła prof. Karola Buczka, który ujmował historię rozwoju map przez pryzmat kolejnych „kamieni milowych”, wyznaczających nowe kierunki w kartowaniu danego regionu. W takim ujęciu przed laty opracowywano wszystkie współczesne i historyczne ziemie polskie. Ważna była zatem analiza kartometryczna kolejnych zabytków, poprawność ich wykonania, wzajemne filiacje i osadzenie w ówczesnym sposobie geograficznej deskrypcji świata. Brakło miejsca na analizę ikonografii dawnej mapy i potencjału, jaki niesie ze sobą przemysłany, rozbudowany i wykonany z dużym pietyzmem program ikonograficzny. Do dzisiaj na ogólnopolskich konferencjach historyków kartografii (organizowanych co dwa lata przez Zespół Historii Kartografii PAN; najbliższa we wrześniu 2026) dominują opisy bibliograficzne pojedynczych map lub ich zespołów oraz analiza ich poprawności matematycznej.

Piszący te słowa od dłuższego czasu analizując dawne mapy, interesuje się przede wszystkim potencjałem informacyjnym, jaki niosą ze sobą parergi map (z grek. parergon, a więc dzieło będące obok głównego nurtu). Są to przede wszystkim kartusze tytułowe, rzadziej skalowe, ale również rozmaite wtręty ikonograficzne uzupełniające treść geograficzną dzieła. Owe „obrazki” traktowane zazwyczaj jako ciekawostki i uatrakcyjnienia monotonej matematyki mapy, w kartografii przedpomiarowej były nośnikami wiedzy, wyobrażeń i kreacji kartowanego regionu. Daje nam to wgląd nie tylko w wiedzę geograficzną środowiska, w jakim mapa powstała, ale również w sposoby komunikacji z czytelnikiem, zasobem znaków ikonograficznych łatwych do rozpoznania przez odbiorcę oraz – poprzez uaktualnienia opowieści – w recepcję zmian zachodzących na danym obszarze pod wpływem czynników zewnętrznych, np. wojen.

Autor mapy, dzisiaj umownie nazywany kartografem (pojęcie dopiero XIX-wieczne), musiał być zatem człowiekiem wszech-

stronnie wykształconym, czytającym, uzdolnionym artystycznie (a przynajmniej na tyle świadomym i komunikatywnym, aby potrafić przekazać zatrudnionemu artyście swoje intencje), a jeśli sam prowadził dodatkowo wydawnictwo, musiał mieć koncepcję wyróżnienia się na rynku zdominowanym przez oficyny niderlandzkie i francuskie. Im dalej od centrów wiedzy geograficznej w Amsterdamie czy Paryżu, tym trudniejsze było pozyskiwanie nowych materiałów i zdobywanie odbiorców.

Przedmiotem analizy stały się kartusze

Wobec powyższych uwag oficyna założona w Norymberdze w 1702 roku przez Johanna Baptistę Homanna stanowi fenomen, a z czego taka ocena wynika, za chwilę. Choć miasto nad Pegnitz było w przeszłości (na przełomie XV i XVI stulecia) znaczącym ośrodkiem teorii i praktyki kartograficznej, to u schyłku XVII wieku, gdy swoją pracę zawodową zaczynał Homann, stało ledwie u progu renesansu tej pozycji. A dokonało się to właśnie za sprawą pochodzącego z niedalekiego Oberkamm-lach uzdolnionego rytownika, na co wpływ miał także swoisty genius loci Norymbergi.

Homann urodził się w 1664 roku, w rodzinie katolickiej, co dla dalszych jego losów będzie miało pewne znaczenie. Pierwszą szkołą było lokalne kolegium jezuickie, następnie trafił do nowicjatu dominikańskiego w Würzburgu. Porzucił go, przyjmując luteranizm w niedalekiej Norymberdze, do której dotarł w końcu lat 80. XVII wieku. Dość szybko dał się poznać jako uzdolniony rytownik. Pracował w oficynach Davida Funcka i Jacoba von Sandrarta, twórców potęgi wydawniczo-miedziorytniczej Norymbergi, wykonywał zlecenia z Lipska (gdzie spędził niecałe dwa lata) i Frankfurtu. Pracując dla innych, doskonalił warsztat, zdobywał bezcenne kontakty i „wyrabiał” swoje nazwisko (nie mał wszystkie realizacje sygnował, co zwiększało jego rozpoznawalność na rynku). Gdy wreszcie zdobył się na założenie własnej firmy, miał już ugruntowaną pozycję i stosunkowo łatwo przyszło mu zdobyć niemal niezagospodarowany rynek wydawnictw kartograficznych w krajach niemieckich. Wyobraził sobie, że drogie mapy holenderskie lub francuskie zostaną zastąpione przez rodzime – tańsze, lepsze merytorycznie i... ładniejsze. Jak się miało okazać, takie podejście gwarantowało sukces, przynajmniej w pierwszych dziesięcioleciach działalności wydawnictwa.

Założona w 1702 roku oficyna przetrwała niemal półtora stulecia. Od śmierci założyciela w 1724 roku do końca XVIII wieku działała jako Oficyna Spadkobierców Homanna, następnie, wraz z przejściem w kolejne ręce – Oficyna Fembo (od nazwiska Georga Christopha Franza Fembo). Dzisiejsze Muzeum Miejskie w Norymberdze mieści się w jednej z jej siedzib, tzw. Fembohaus.



Portret J.B. Homanna J. Kenckela, rytowany przez J.W. Winthera, po 1716 roku

„W piśmiennictwie polskim Homann bardzo rzadko byłwał przedmiotem odrębnych studiów. Dużo częściej pochyłano się nad dorobkiem oficyny Spadkobierców Homanna, która od połowy XVIII stulecia zatrudniała wielu uznanych matematyków, astronomów i kartografów. Analizując dzieje kartografii poszczególnych regionów historycznych Polski nad mapami norymberczyka przechodzono do porządku dziennego, jedynie o nich wspominając”. Postanowiłem zatem przyjrzeć się dokonaniom kartografa nie przez pryzmat kartometryczności jego dzieł, ale tego, co ją uzupełniało. Przedmiotem analizy stały się zatem kartusze i ich bogate i przemyślnie zaprojektowane programy ikonograficzne. Poszukując dokumentów uzupełniających dzieła kartograficzne, przede wszystkim w bibliotekach, archiwach i muzeach w Niemczech i Polsce, natknąłem się na niezwykle bogatą spuściznę graficzną, która obejmowała portrety rytowane i projektowane przez Homanna, krótkie formy liryczne, których był autorem, ekslibrisy, tablice pełnotekstowe, przekroje statków, fortyfikacji czy projekt zegara astronomicznego (istniejącego do dzisiaj!). Cały ten korpus źródeł pozwolił spojrzeć na norymberskiego kartografa z zupełnie nowej perspektywy.

Z zebranych materiałów wyłoniła się nie tylko postać kartografa i wydawcy czy nawet nieprzeciętnego rytownika, to wszak była wiedza powszechnie znana. Dedykacje, inspiracje, zlecenia i realizacje budują uniwersum kontaktów i współ-

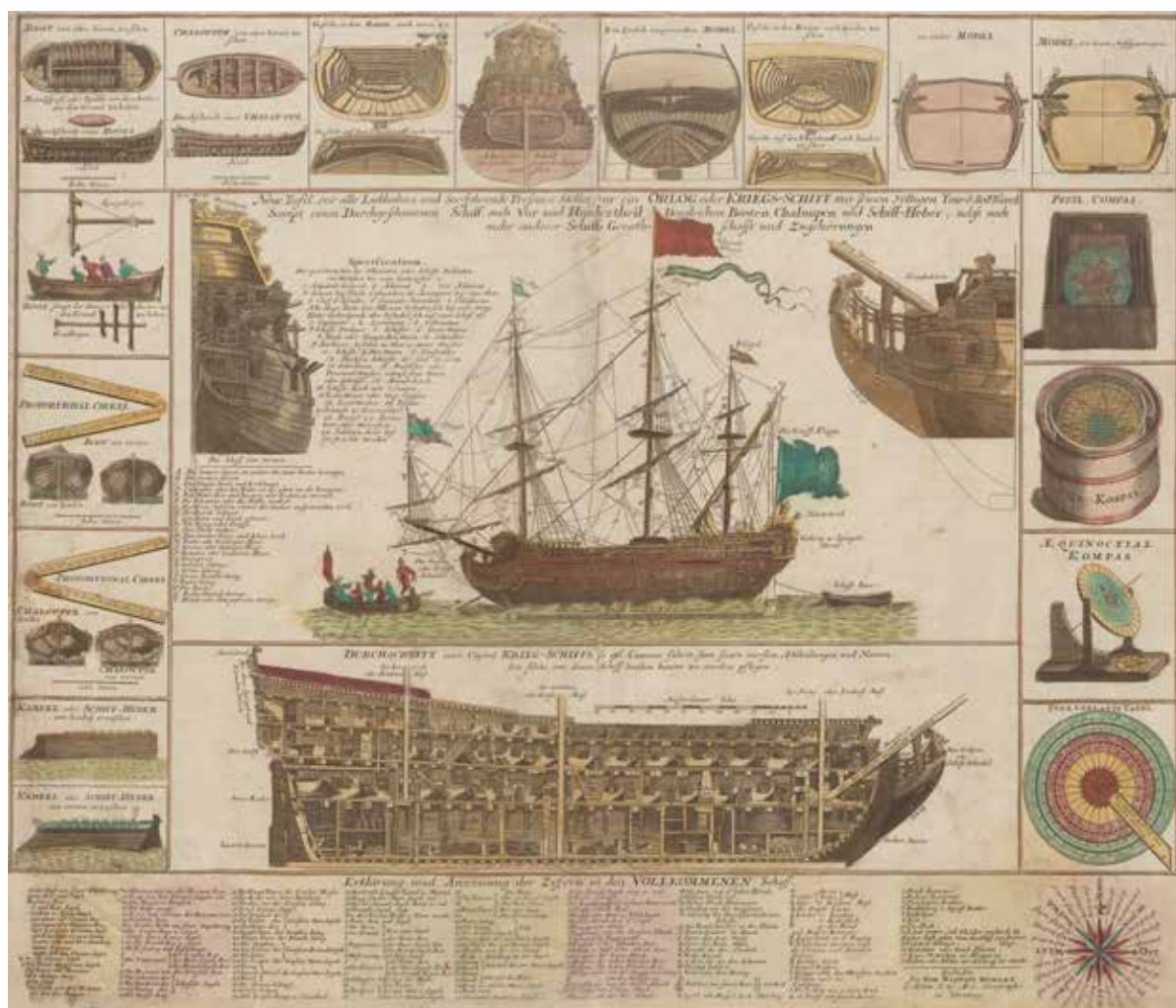
działania elit naukowo-artystyczno-politycznych Rzeszy. Wśród najbliższych Homannowi współpracowników znajdziemy wybitnego matematyka i astronoma Johanna Gabriela Doppelmayra, rektora hamburskiego gimnazjum Johanna Hübnera, historyka Christopha Cellariusza z Lipska czy bibliofila i uczonego Gottfrieda Thomasiusa. Ten mocno niepełny katalog uzupełniają norymberscy patrycjusze, kupcy, żołnierze, wydawcy i drukarze. Zarysował się nam coraz pełniejszy i wyjątkowo bogaty zakres wzajemnych powiązań, często rodzinnych, pomiędzy najważniejszymi twórcami kultury, sztuki i nauki początków XVIII wieku. Obrazu dopełniła sieć kontaktów handlowych, obejmujących także ziemie polskie (bądź Polsce bliskie), z Wrocławiem, Krakowem i Gdańskiem na czele. Natomiast „gdy spróbujemy spojrzeć na ikonograficzne projekty kartuszy poszczególnych map, rysuje nam się opowieść o XVIII-wiecznej Europie: kulturze, polityce, wojnach i jej wyznaniowym obliczu. Można je pogrupować w odrębne bloki tematyczne (...), które nie tylko dadzą nam wgląd w neuralgiczne problemy zajmujące uczonemu późnego baroku, ale także w jakiś sposób nakreślą uniwersalny język symboli, powszechnie stosowany w ikonografii barokowej”.

Patriotyzm kartografa

Aby scharakteryzować precyzyjność i zaangażowanie Homanna w aktualizację własnych map, trzeba wspomnieć o metodzie publikacji atlasów, którą Homann przyjął. Reper-

tuar wydawniczy oficyny był bardzo szeroki: oprócz najbardziej charakterystycznych form atlasowych, opatrzonych obszernym wstępem Hübnera, liczących od kilkudziesięciu do dwustu map (w tym atlasy szkolne), publikował mapy luźne (w tym wieloarkusowe), globusy (w tym kieszonkowe), portrety (np. wielkoformatowy, całopostaciowy konterfekt cesarza Karola VI), współpracował z Zachariasem Landeckiem przy konstrukcji zegara astronomicznego pokazującego porę dnia i godzinę w wybranym miejscu kuli ziemskiej, a także opracowywał mapy dla innych wydawców (np. dla Christopha Weigla, także z Norymbergi). Mapy do atlasów były rytowane i drukowane w trybie ciągłym, na bieżąco uzupełniane, przerytowane i zastępowane nowymi. Powoduje to, że w atlasach tego samego typu mogą się znajdować mapy z różnego okresu; po sprzedaży jednego nakładu danej mapy, braki były uzupełniane przez nową, czasami różną od pierwotnej. Dodatkowy problem w identyfikacji wydań powoduje aktywność wspomnianego wyżej Hübnera. Tenże uczony w Hamburgu zorganizował swoje Museum Geographicum, w którym składał własne atlasy w oparciu o materiał kupowany od różnych wydawców. Jest to bardzo ciekawe zagadnienie badawcze, które nie doczekało się jeszcze opracowania, tym bardziej istotne, że Hübner stworzył własną metodę kolorowania map.

Dynamikę uaktualniania dzieł Homanna pokazują mapy związane z toczonymi w jego czasach wojnami. Były to wojna o hiszpańską sukcesję oraz III wojna północna. „Ponieważ



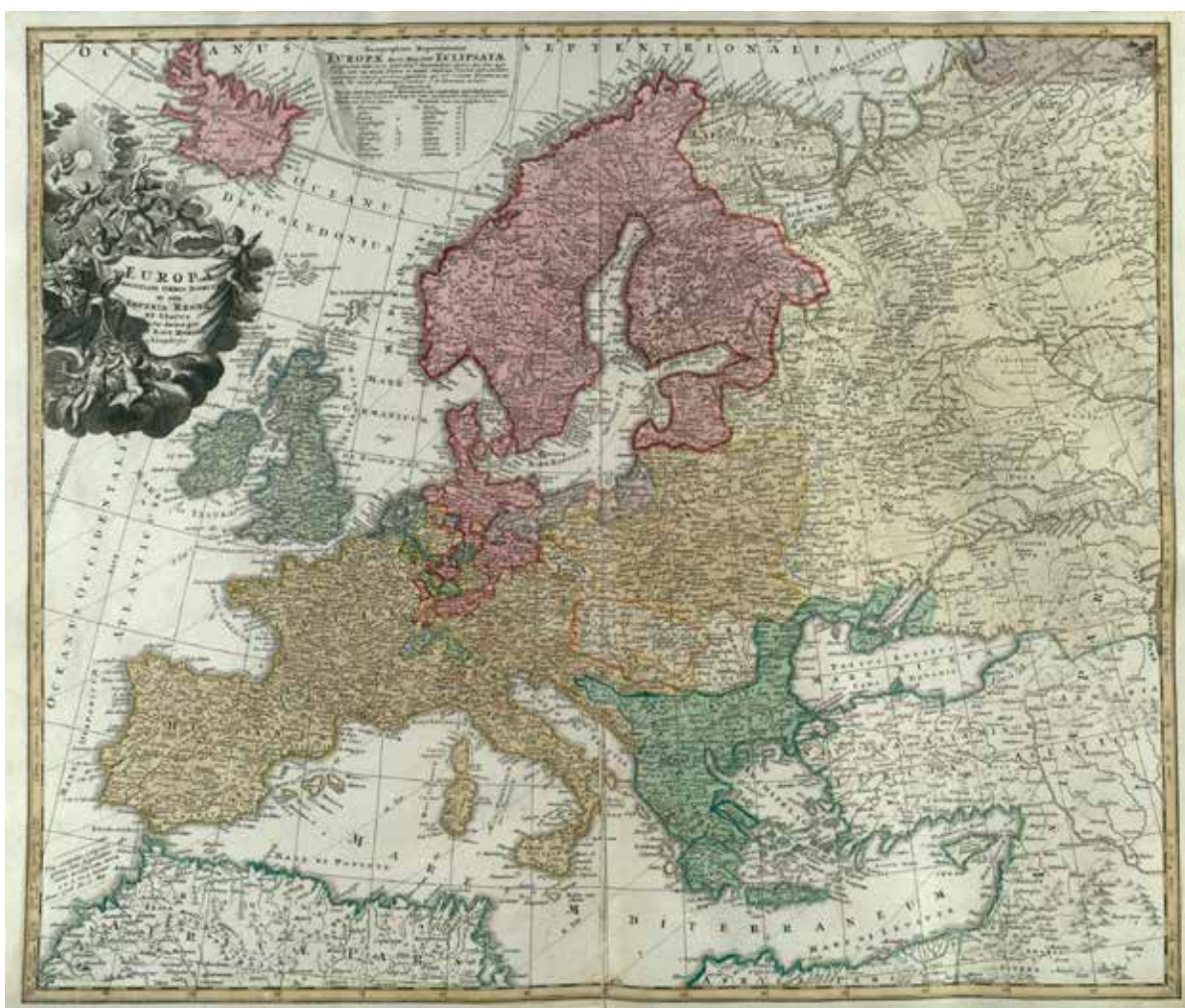
Orlog – statek wojenny, jako przykład „niekartograficznej” realizacji Homanna

mapy musiały nadążać za najnowszymi ustaleniami i trendami, nic tak nie potwierdzało ich aktualności, jak zamieszczony na nich komentarz bieżących wydarzeń polityczno-militarnych. Dostrzeżemy tu także (...) homannowski patriotyzm i przywiązanie do cesarza i Rzeszy. Z tego założenia wynikało także różne przedstawienie obu wojen (cesarz Karol VI uczestniczył tylko w jednej – hiszpańskiej), w których skupiano się bądź na działaniach militarnych i udziale w nich monarchy, bądź na konkretnych bitwach. Repertuar środków ikonograficznych do ich deskrypcji jest bogaty, daje zatem wiele miejsca do interpretacji”. Ów wspomniany wyżej patriotyzm wiązał się z otrzymaniem w 1716 roku przywileju i tytułu Cesarskiego Geografa. Informacja o tym fakcie została natychmiast odnotowana przez samego zainteresowanego – płyty miedziorytnicze już istniejących map zostały zaktualizowane o tekst przywileju. Nie jest to jedyny zaszczyt, który Homann otrzymał. Rok wcześniej został przyjęty do Berlińskiej Akademii Nauk (o czym też nie omieszczał informować w kartuszach swoich map), a dwa lata przed swoją śmiercią, która nastąpiła w 1724 roku, otrzymał tytuł „agenta moskiewskiego”. Trudno teraz doprecyzować, co to miało znaczyć, jest jednak bardzo prawdopodobne, że było to zaproszenie do tworzonej wówczas analogicznej do berlińskiej akademii w Petersburgu. Niestety, powołano ją oficjalnie w 1724 roku, zatem Homann nie mógł już zostać jej rzeczywistym członkiem. Hipoteza jest tym bardziej prawdopodobna, że norymberczyk wykonał i zadedykował carowi Piotrowi I znakomity plan Sankt Petersburga.

Kraina Próżniaków

Wśród prawie dwustu map, których autorem był Homann (nie licząc kolejnych stanów, wynikających z nanoszonych na bieżąco poprawek), wybija się jedna, której należy poświęcić osobne miejsce, i która także stanowi wyzwanie i postulat badawczy na przyszłość. Jest to mapa Krainy Próżniaków (niem. Schlaraffenland), która w repertuarze wydawniczym oficyny stanowi ewenement, a jednocześnie jest dowodem na środowiskową, humanistyczną dyskusję nad stanem ówczesnego społeczeństwa. Nawiązuje do map Utopii zamieszczanych w pierwszych wydaniach dzieła Thomasa Morusa oraz późniejszej „dyskusji” kartograficznej wokół problemu budowania koncepcji eudemonii. Jednak pomysł na takie pokazanie świata na opak nie jest autorską koncepcją Homanna, skopiował ją z dzieła amsterdamskiego, Pietera Schenka. Miała być graficznym i „naukowym” komentarzem do książki Andreasa Schnebelina o „nowoodkrytej Krainie Próżniaków”. Temat podjęty w tej utopijno-dystopijnej publikacji (piętnowanie i wyszydzanie ludzkich przywar), „daje nam wgląd w poglądy ludzi budzącego się w Niemczech oświecenia, a jednocześnie w wady późnobarokowego społeczeństwa; być może jest to postawa charakterystyczna dla większej grupy ludzi niemieckiej kultury. Okres przejściowy między dwiema epokami został opisany z dużą dozą dosadnego humoru, tak typowego dla charakteru żołnierza, którym przecież był Schnebelin”.

Rozmach wydawniczy Homanna, a potem jego Spadkobierców, to ewenement na skalę nie tylko Niemiec, ale i Europy.



Mapa Europy z naniesioną eklipsą (całkowite zaćmienie słońca), 1706

Johannes Dörflinger z Uniwersytetu w Wiedniu podjął próbę oszacowania skali produkcji i wyodrębnienia wszystkich map, które wyszły spod pras samego Homanna i jego sukcesorów. Uwzględnił w tej liczbie kolejne warianty (najpopularniejszą spośród wszystkich mapę Rzeszy odbijano łącznie z 21 różnych płyt, a jej nakład mógł sięgnąć nawet 170 000 egzemplarzy!) oraz stany map (zmieniane intencjonalnie oryginalne matryce, np. uzupełniane o tekst przywileju). Z ponad 17 000 przeanalizowanych przez jego zespół map (luźnych i atlasowych) udało się wyodrębnić około 4500 wariantów i stanów, co stanowi całość niemal 150-letniej produkcji oficyny. Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że jedna z owych 4500 map mogła być drukowana w nakładzie między 3000 a 8000 egzemplarzy (tyle szacunkowo wytrzymała płyta miedziorytnicza), daje to nam niewyobrażalną wręcz liczbę.

Na koniec należy postawić pytanie, które z pozoru może wydawać się retorycznym: Czy taka postać, wyjątkowo zasłużona dla budowania sławy Norymbergi w XVIII wieku, zasługuje na upamiętnienie? Dodajmy: jego spuścizna jest licznie reprezentowana w bibliotekach, niezwykle popularna wśród kolekcjonerów i na rynku antykwarycznym. Odpowiedź wydaje się oczywista, jednak praktyka pokazuje, że niekoniecznie. Pierwszym – i ostatnim – upamiętnieniem Homanna w przestrzeni publicznej jest tablica wmurowana na miejscu jego urodzenia w Oberkammlach z okazji 100-lecia śmierci. Ale po kolejnych stu latach „Nürnberger Zeitung” z 28 lutego 1924, zapowiadając wykład dr. Wilhelma Eberlega poświęcony 200-leciu śmierci kartografa, pisał już o „zapomnia-

nym Norymberczyk”. Dzisiaj na domu przy Josephplatz 2 w Norymberdze, w którym Homann mieszkał i prowadził swoją działalność, nie ma najmniejszej wzmianki o tym; w muzeum zlokalizowanym w Fembohaus (a więc siedzibie oficyny Spadkobierców Homanna) znajdziemy bardziej niż skromną wystawę mu poświęconą, zaś na cmentarzu św. Rocha, na którym jest pochowany, grób nie jest opatrzony żadną inskrypcją i jest to jeden z nielicznych, anonimowych pochówków na tej nekropolii.

„Język symboli był językiem uniwersalnym; dzisiaj zdolność odczytywania kodów kulturowych, zapisanych obrazem i tak ważnych dla europejskiej cywilizacji zanika. System znaków wizualnych, scen rodzajowych, postaci w określonych okolicznościach i z określonymi atrybutami, pozwalały czytelnikowi dość dobrze zorientować się w intencjach autora. Mogły być zatem alternatywą dla zwyczajowych nośników informacji, takich jak prasa czy druki ulotne. I choć zasięg odbioru mógł być ograniczony ceną mapy i potrzebą wyższych kompetencji odbiorcy, to ilość sprzedanych map z oficyny Homanna, popyt na nie i ciągły proces produkcyjny wskazują, że niekoniecznie była to przeszkoda”.

Wszystkie ilustracje pochodzą ze zbiorów autora. Cytaty pochodzą z: R. Skrycki, *Światy Homanna. Kartograf epoki baroku*, Wydawnictwo Naukowe Uniwersytetu Szczecińskiego, Szczecin 2025.

Dr hab. Radosław Skrycki, prof. UŚz, historyk, ekspert od kartografii Pomorza, dyrektor Biblioteki Głównej Uniwersytetu Szczecińskiego



Kraina Próźniaków – przykład mapy świata „na opak”

Medal dla poety

Rozmyślania w czasie olimpiady

Skoro zatem sport i sztuka łączyły się na igrzyskach starożytnych, również w ich nowożytnej odsłonie nie mogło zabraknąć tego mariażu, o co zadbał sam pomysłodawca odrodzenia igrzysk olimpijskich, baron Pierre de Coubertin (1863–1937). To z jego inicjatywy w latach 1912–1948 kolejnym igrzyskom letnim towarzyszył Olimpijski Konkurs Sztuki i Literatury.

Jeszcze nie opadły emocje wywołane zmaganiem sportowców na zimowych igrzyskach we Włoszech, nie zdążyliśmy się nadziwić, że ponownie udało się pokonać rekordy, że można było zrobić wszystko szybciej, wyżej, mocniej (*Citius, altius, fortius*), a już myśli kibiców kierują się ku kolejnym igrzyskom olimpijskim, które w lipcu 2028 r. odbędą się w Los Angeles. Serca kibiców biją bowiem w rytmie wydarzeń sportowych i dzieje się tak od tysiącleci, odkąd zaczęto w sposób zorganizowany rywalizować w rozmaitych dyscyplinach sportowych, a rytm ten już w starożytności był bardzo mocny i regularny.

Nowożytne igrzyska olimpijskie wyrastają, oczywiście, z tradycji antycznej, z czasów, gdy następstwem zmagania sportowych w świątym gaju Zeusa w Olimpii odmierzano upływ kolejnych czteroleci (olimpiad). Panhelleński charakter miały również igrzyska pytyjskie (organizowane w Delfach), igrzyska nemejskie (w Nemei) i igrzyska istmijskie (w Istmii na Przesmyku Koryńckim), które odbywały się regularnie w wyznaczonych latach pomiędzy igrzyskami olimpijskimi. Do tego dochodziły różnego rodzaju pomniejsze zawody o charakterze lokalnym, związane z regionalnymi świętami ku czci bóstw, miejscowymi festiwalami i uroczystościami religijnymi. W trakcie takich uroczystości, zazwyczaj parodniowych, oprócz rywalizacji sportowej miały miejsce także rozmaite konkursy muzyczne, w których o nagrody ubiegali się wirtuozi gry na rozmaitych instrumentach, śpiewacy, a także aktorzy. Specyficznie artystyczny charakter miały zwłaszcza igrzyska pytyjskie, poświęcone Apollonowi, bogu muzyki i poezji, w trakcie których zmagania muzyczne i literackie (recytacja hymnu poświęconego Apollonowi z towarzyszeniem kitary, gra na aulosie i kitarze, konkurs poetycki i dramatyczny) poprzedzały stricte atletyczną część zawodów, co świadczy o szczególnej randze agonów artystycznych.

Spłeczenie sportu ze sztuką na igrzyskach odbywało się również na innych poziomach. Olimpionicy (zwycięzcy igrzysk olimpijskich) zyskiwali chociażby prawo do wzniesienia swojego posągu, a ich osiągnięcia wychwalano w specjalnych utworach, zwanych epinikiami. Te ody, przeznaczone do wykonania chóralnego, opiewały osobiste dokonania zwycięzców, jak również ich rody i miasta pochodzenia, ozdabiając blaskiem sławy wszystkich, którzy przyczynili się do sukcesu, w tym zwłaszcza

przychylnych bogów i hojnych mecenasów. Szczególnie zasłużonym twórcą tego „sportowego” gatunku lirycznego był Pindar, poeta grecki żyjący na przełomie VI i V w. p.n.e., z którego bogatego dorobku zachowały się do naszych czasów głównie epinikia, pogrupowane w cztery księgi ód olimpijskich, pytyjskich, nemejskich i istmijskich. Utwory te – wzniosłe, dostojne, pełne mitologicznych nawiązań i poetyckiej maestrii – zapewniły Pindarowi wśród współczesnych uznanie nie mniejsze niż dokonania opiewanych przez niego sportowców, natomiast wśród potomnych – sławę nieporównanie większą, trwającą do dziś.

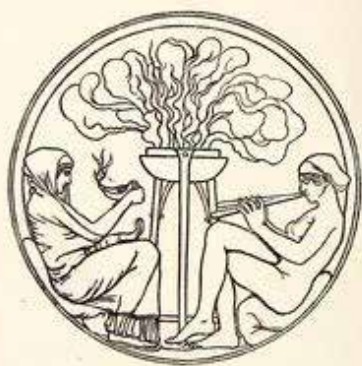
Sport zmitologizowany

Skoro zatem sport i sztuka łączyły się na igrzyskach starożytnych, również w ich nowożytnej odsłonie nie mogło zabraknąć tego mariażu, o co zadbał sam pomysłodawca odrodzenia igrzysk olimpijskich, baron Pierre de Coubertin (1863–1937). To z jego inicjatywy w latach 1912–1948 kolejnym igrzyskom letnim towarzyszył Olimpijski Konkurs Sztuki i Literatury, przyznający złote, srebrne i brązowe medale w takich dziedzinach sztuki jak literatura, rzeźba, malarstwo, architektura oraz muzyka. Medale dla artystów przyznano siedem razy: po raz pierwszy na igrzyskach w Sztokholmie (1912), a następnie w Antwerpii (1920), Paryżu (1924), Amsterdamie (1928), Los Angeles (1932), Berlinie (1936) i Londynie (1948), polscy twórcy stanęli zaś na podium ośmiokrotnie, zdobywając trzy złote, dwa srebrne i trzy brązowe krążki.

Sam konkurs przeżywał swoją ewolucję, związaną z doprecyzowaniem i poszerzeniem zakresu poszczególnych konkurencji, a także z rosnącym zainteresowaniem artystów-amatorów (podkreślić należy, że „amatorstwo twórców” było traktowane jako warunek konieczny dopuszczenia do rywalizacji, podobnie jak w przypadku sportowców, a trudność w rozstrzygnięciu, co decyduje o byciu artystą-amatorem, stała się koronnym argumentem do podjęcia w 1949 r. decyzji o zaprzestaniu konkursu). W swej pierwszej odsłonie z 1912 roku konkurs obejmował pięć konkurencji (architektura, literatura, muzyka, malarstwo, rzeźbiarstwo). Do rywalizacji przystąpiło wówczas trzynaście twórców reprezentujących dwanaście państw, a medali wręczono sześć: pięć złotych i jeden srebrny. Lekko ironiczny uśmiech może dziś budzić fakt, że sam pomysłodawca

POD ZNAKIEM POETÓW

SERJA NOWA



WYDAWNICTWA JAKÓBA MORTKOWICZA

KAZIMIERZ WIERZYŃSKI

LAUR OLIMPIJSKI



WARSZAWA MCMXXVII J. MORTKOWICZ

konkursu, baron Pierre de Coubertin, otrzymał złoty medal w konkurencji „Literatura” za utwór *Oda do Sportu*, ale pamiętajmy, że zgłosił go do zawodów pod pseudonimem, a nawet pod dwoma, gdyż pod francuską wersją ody podpisany był jako Georges Hohrod, a pod niemiecką jako Martin Eschbach. W swoim wierszu autor z emfazą zwraca się do personifikowanego Sportu, który postrzega jako synonim najważniejszych wartości formujących kulturę: piękna, sprawiedliwości, śmiałości, honoru, radości, płodności, postępu i pokoju. Oddany całym sercem idei olimpizmu, Pierre de Coubertin widzi w aktywności fizycznej echo pradawnych czasów, gdy świąty ludzi i bogów przenikały się wzajemnie, a ludzkość zaczynała się dopiero kształtować:

„O Sporcie, rozrywko bogów, esencjo życia objawiona nagle pośród karczowiska daremnych trudów dnia dzisiejszego, promienny wysłanniku odległych czasów ludzkiego uśmiechu.

Pojawiłeś się i na wierzchołkach gór rozbłysła jutrzienka, a promienie światła przenikać poczęły mroki puszczy.[...] O Sporcie! Ty jesteś Pokój!

Ty ustanawiasz przyjacielskie związki między ludami, zbliżając je sobie we wspólnym kulcie siły ujarzmionej, rzeczniczek ładu, zwycięzczy siebie.

Tobie zawdzięcza wszystka młodzież świata poznanie siebie i poszanowanie wzajemne bogactw kultury swych krajów. I tak najwyższe wartości narodów stają się źródłem szlachetnej walki i pokojowego współzawodnictwa”.

(przeł. Jadwiga Sadowska)

Kończąca utwór strofa będąca apoteozą pokoju, nawiązująca do idei świętego pokoju (ekecheiria), który w starożytno-

ści panował każdorazowo przez dwa miesiące okalające igrzyska w Olimpii, by zapewnić sportowcom i widzom spokojną podróż do i z miejsca zmagania, w bardzo dobitny sposób podkreśla holistyczne traktowanie tradycji antycznego olimpizmu przez de Coubertina. W jakimś stopniu wyznaczył on również tym utworem trend wyraźnie widoczny w wielu z docenionych w kolejnych konkursach dzieł – antykizowanie i mitologizowanie sportu, będącego doświadczeniem jeśli nie boskim, to przynajmniej heroicznym, opartym na ciągłym pokonywaniu ograniczeń ludzkiego ciała.

Drugi Olimpijski Konkurs Sztuki i Literatury na igrzyskach w Antwerpii (1920), przesuniętych w czasie ze względu na I wojnę światową, nie cieszył się wielkim zainteresowaniem, wzięło w nim udział tylko jedenaścioro twórców z pięciu państw. Należy jednak podkreślić w tym wypadku udział w zmaganiach artystycznych pierwszej kobiety. Malarka Henriette Brossin de Méré-de Polanska, reprezentująca Francję, a mająca polskie korzenie, zdobyła wówczas medal srebrny za obraz pt. *Skok* (złotego medalu w tej konkurencji nie przyznano). Kolejna odsłona konkursu, cztery lata później w Paryżu, spotkała się ze znacznie większym zainteresowaniem, gdyż tym razem swoje prace zgłosiło 189 artystów reprezentujących dwadzieścia cztery państwa. Przyznano wówczas łącznie czternaście medali (żadnego w konkurencji „Muzyka”). O renomie wydarzenia świadczył fakt, że prace konkursowe zostały zaprezentowane szerokiej publiczności w paryskim Grand Palais.

Sukces Wierzyńskiego

Dla polskich sportowców i artystów-olimpijczyków prawdziwym przełomem okazały się jednak dopiero igrzyska w Amsterdamie w 1928 r. Nie tylko po raz pierwszy cieszyli się wówczas Polacy złotym medalem olimpijskim zawieszonym na

szy wybitnej dysko-
bolki Haliny Konopac-
kiej, ale również mogli
fetować dwa medale
polskich artystów: poeta
Kazimierz Wierzyński
zdobył bowiem złoto
w konkurencji „Litera-
tura: Prace liryczne” za
tomik poetycki pt. *Laur olimpijski*, a Władysław
Skoczylas (malarz, rzeź-
biarz i grafik) otrzymał
trzecie miejsce i medal
brązowy w konkuren-
cji „Malarstwo: Rysow-
nictwo” za cykl akwa-
rel (*Łucznik II (stojący)*,
Łucznik II (kłęzący),
Jeleń świętego Huberta
i *Diana*). Polska po raz
pierwszy przystąpiła
wówczas do konkursu.
Odkryło się to na pod-
stawie starannie prze-
prowadzonej preselekcji,
za którą odpowiadała Komisja Sztuki przy Polskim Komitecie
Olimpijskim. Polscy twórcy rywalizowali tym razem z ponad
czterystoma artystami w tych samych pięciu, ustalonych już
czterokrotną praktyką konkurencjach, które jednak uszcze-
gółowiono, wyodrębniając podkategorie nagradzane osob-
nymi medalami (Architektura: Projekty architektoniczne; Plan
miasta; Literatura: Prace liryczne; Prace dramatyczne; Prace
epiczne; Muzyka: Pieśń; Jeden instrument; Orkiestra; Malar-
stwo: Malarstwo; Rysownictwo; Prace graficzne; Rzeźbiarstwo:
Statuetki; Płaskorzeźby i medaliony). Ciekawostką może być



Włodzimierz Skoczylas, *Łucznik II*, drzeworyt

fakt, że w rozbudowanej konkurencji „Muzyka” przyznany
został zaledwie jeden medal i to brązowy, a otrzymał go Duń-
czyk Rudolph Simonsen za *Symfonię No. 2 Hellas*.

W Polsce najszerzym echem odbił się sukces Kazimierza
Wierzyńskiego, który na wieść o zwycięstwie miał pospieszyć
do Amsterdamu, żeby wziąć udział w uroczystości wręczenia
medali i napawać się euforią ostatnich dni igrzysk. Po trud-
nych emocjach towarzyszących samemu udziałowi w konkursie
(atmosfera niepewności odnośnie do ilości uczestników i osób
oceniających zgłoszone dzieła, niemożność oszacowania jakości

przekładu – *Laur poetycki*
został przedstawiony jury
konkursowemu w tłuma-
czeniu na język niemiecki)
nadszedł czas tryumfal-
nej radości, samego poety
i całej Polski. Krzysztof
Zuchora, w posłowie do
wydania *Lauru olimpij-
skiego* w 90-lecie zdobycia
złotego medalu na Olim-
piadzie w Amsterdamie
(Warszawa 2018) przyta-
cza cytat z „Tygodnika Ilu-
strowanego”, wyrażający
ogólnonarodowy entu-
zjazm wywołany meda-
lami zdobytymi przez
poetę i malarza: „Brawo
Wierzyński! Brawo Sko-
czylas! Dzięki wam
sztuka polska zamigotała
nowym blaskiem w obli-
czu wszystkich narodów!
Dzięki wam, dzięki waszej
sztuce, znowu uczczono
biało-czerwoną flagę na
międzynarodowej arenie!”

Janina Konarska, *Stadion*, drzeworyt



Ten entuzjazm, choć krótkotrwały, wybrzmiał echem międzynarodowym, gdyż po olimpijskim sukcesie tomik poezji Wierzyńskiego został w krótkim czasie przełożony na francuski, włoski, rosyjski i hebrajski, a w wielojęzycznych recenzjach pobrzmiewały zachwyty nad klasycznym, podniosłym tonem wierszy, ich śmiałą metaforą, metafizycznym doświadczeniem ukrytym za fizycznym aktem biegu, skoku czy rzutu. Opisując w piętnastu utworach herosów stadionu opowiedział bowiem Wierzyński historie ponadczasowe, zakorzenione w starogreckich dziejach i sztuce, lecz jednocześnie przekraczające granice epok. Jego sportowcy zastygli w ruchu niczym *Dyskobol* Myrona, zostali uchwyceni w biegu czy skoku – oderwani od ziemi, wymykający się prawom grawitacji jak postaci z attyckich waz czarnofigurowych. Choć pretekstem do powstania tych utworów byli inni lekkoatleci i lekkoatletki, bohaterowie epoki Wierzyńskiego (niektórzy z nich zostali nawet nazwani w wierszach z imienia i nazwiska), współczesny czytelnik bez trudu dopasuje do poszczególnych liryków twarze znane z dzisiejszych aren sportowych. Czy na przykład komukolwiek czytającemu wiersz pt. *Skok o tyczce* nie stanie natychmiast przed oczami współczesny wielokrotny rekordzista świata w tej dyscyplinie, zadziwiający Armand Duplantis, który:

„Już odbił się, już płynię! Boską równowagę
Rozpina się na drzewcu i wije, jak flagę,
Dolata do poprzeczki i z nagłym trzepotem
Przerzuca się jak gdyby był ptakiem i kotem.

Zatrzymajcie go w locie, niech w górze zastygnie,
Niech w tył odrzuci tyczkę, niepotrzebną dźwignię,
Niech tak trwa, niech tak wisi, owinięty chmurą,
Rozpylony w powietrzu, leciutki jak pióro.

Nie opadnie na siłach, nie osłabnie w pędzie,
Jeszcze wyżej się wzniesie, nad wszystkie krawędzie,
Odpowie nam z wysoka, odkrzyknie się echem,
Że leci prosto w niebo, jest naszym oddechem”.

Uwieńczenia

Złoty sukces olimpijski Wierzyńskiego powtórzyli później jeszcze dwaj artyści. W 1932 r. na igrzyskach w Los Angeles złoty medal w konkurencji „Rzeźbiarstwo: Medale i płasko-rzeźby” za rzeźbę *Wieżeniec zawodnika* otrzymał Józef Klukowski, artysta rzeźbiarz, malarz i grafik. Cztery lata później w Berlinie zdobył on jeszcze srebrny medal za płaskorzeźbę *Piłkarze*. Złotym medalistą Olimpijskiego Konkursu Sztuki i Literatury w jego ostatniej odsłonie, w Londynie w 1948 r., został natomiast kompozytor i dyrygent Zbigniew Turski za *Symfonię Olimpijską* (konkurencja „Muzyka: Chór i orkiestra”). Ponadto srebrnym medalem w Los Angeles (1932) nagrodzono malarzkę i graficzkę Janinę Konarską za drzeworyt *Stadion*, a podczas igrzysk w Berlinie (1936) brązowe medale przyznano pisarzowi Janowi Paradowskiemu za osadzoną w realiach siedemdziesiątych szóstych igrzysk antycznych (476 r. p.n.e.) powieść *Dysk Olimpijski* (konkurencja „Literatura: Prace epiczne”) oraz malarzowi i grafikowi Stanisławowi Ostoi-Chrostowskiemu, późniejszemu rektorowi warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, za *Dyplom Yacht Klubu RP* (konkurencja „Malarstwo: Reklamowa sztuka graficzna”). Wraz z garścią wyróżnień otrzymanych w rozmaitych konkurencjach (np. dla Jarosława Iwaszkiewicza za *Odę Olimpijską*, Londyn 1948) stanowią one cały polski artystyczny olimpijski dorobek medalowy, co w klasyfikacji drużynowej lokuje Polskę na dziewiątej pozycji.



Znicz olimpijski zapłonnie ponownie już za dwa lata. Rozpalony w starożytnej Olimpii ogień, przeniesiony w sztafecie przez Atlantyka, rozświetli na kilkanaście dni niebo nad stadionem w Los Angeles, dając milionom kibiców z całego świata chwilową otuchę i nadzieję na święty pokój, a pięć różnobarwnych kół na fladze olimpijskiej będzie przypominało o równości i zjednoczeniu mieszkańców wszystkich kontynentów wokół idei szlachetnej, pokojowej rywalizacji. Może któreś z biegaczek, któremuś z biegaczy, skupionym bezgranicznie wśród wrzawy stadionu na majaczącej w oddali linii mety, zabrzmią wówczas w głowie słowa z wiersza *Nurmi* autorstwa Kazimierza Wierzyńskiego, nagrodzonego sto lat wcześniej złotym medalem olimpijskim:

„Niesie mnie wiatr moich skrzydeł,
wiatr wielki i niezmożony.
Skanduję tempo i wzmagam,
przechodzę już do finisu,
Powiedźcie tym tłumom ludzi –
niech zmiłkną, niech się uciszą.
Nie chcę żadnego zwycięstwa,
nie chcę ich braw, ani krzyku,
Chcę przerwać taśmę i spocząć
na starym, greckim pomniku”.

Może znajdzie się również poeta, zwieńczony laurem, który następnie opisze ich zwycięstwo – tak jak Pindar, tak jak Kazimierz Wierzyński.

Dr hab. Monika Miazek-Męczyńska, prof. UAM, neolatynistka, literaturoznawczyni, tłumaczka łacińskiej poezji i prozy, Instytut Filologii Klasycznej na Wydziale Filologii Polskiej i Klasycznej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu

Generał-major profesor Bolesław Szarecki (1874–1960)

Charkowski okres założyciela medycyny wojennej w Polsce

Wybitny lekarz-chirurg wojenny, generał-major i Naczelny Chirurg Wojska Polskiego, uczestnik bitwy pod Monte Cassino w armii generała Władysława Andersa, założyciel medycyny wojennej w Polsce, profesor, pedagog, naukowiec. Jego droga do osiągnięć rozpoczęła się w Charkowie i z przerwami na dwie wojny trwała w tym mieście ok. 27 lat.

Bolesław Szarecki urodził się 17 marca 1874 r. w Mińsku w rodzinie Jerzego i Karoliny Szareckich. Ojciec pracował jako starszy konduktor pociągów towarowych. Jego zarobków ledwo wystarczało na utrzymanie dużej rodziny, w której oprócz Bolesława, drugiego dziecka, dorastało jeszcze dwóch synów i trzy córki. „W domu ze wszystkich szczerlin patrzyły licho z nędzą” – pisał Bolesław Szarecki w swoim krótkim, nieukończonym życiorysie. Warto wspomnieć, że został on opublikowany na kartach książki *Generał Bolesław Szarecki: 1874–1960* (Warszawa 1988) Grzegorza Zychowicza, który otrzymał ten unikatowy życiorys od Zofii Kiemczyńskiej, córki prof. Juliana Pęskiego (Zob.: Lubow Żwanko, *Pionier chirurgii, dydaktyk i patriota. Julian Kamil Pęski*, „Forum Akademickie” nr 12/2024, nr 12), nauczyciela i przyjaciela Szareckiego z okresu charkowskiego.

Żyjąc w trudnych warunkach, Szareccy nie mieli możliwości zapewnić dzieciom wykształcenie. Jednak za niewielką opłatą wynajęli nauczycielkę, która prowadziła zajęcia dla nich w domu. Ojciec zwrócił się do swego kierownictwa z prośbą o wsparcie finansowe na kontynuację nauczania syna Bolesława. Od 1886 r. chłopiec rozpoczął naukę szkolną w gimnazjum klasycznym. Niestety w 1888 r. Bolesław Szarecki został wydalony ze szkoły z „wilczym biletem”, bez prawa uzyskania wykształcenia w żadnej placówce oświatowej Imperium Rosyjskiego. Powodem było zdarzenie na lekcji historii, gdy 12-letni Bolesław, któremu ojciec wiele razy pokazywał na mapie nieistniejącą ojczyznę, powiedział, że istnieje Polska, a nie Kraj Przywiślański. Właśnie od rodziców chłopiec dowiedział się, że jest Polakiem. Na prośbę nauczyciela o podanie poprawnej

odpowiedzi, uparty uczeń kilka razy wykrzyknął: „Polska!”. Został ukarany przez nauczyciela i przez ojca.

W Kijowie i w Charkowie

„Wilczy bilet” nie zabraniał tylko nauki w szkołach wojskowych, które umożliwiały zdobycie zawodu, nie dając uprawnień do kontynuowania nauki w szkołach wyższych. Natomiast absolwenci byli zobowiązani do odbycia 18-miesięcznej służby wojskowej. Bolesław Szarecki, stając przed taką alternatywą, nie zrezygnował z ostatniej szansy. Dlatego wybrał Wojskową Szkołę Felczerską w dalekim Kijowie. W ciągu lat 1888–1892 zdobywał zawód felczera wojskowego z obowiązkiem po ukończeniu szkoły odbyciem 6-letniej służby przy szpitalach wojskowych. O tym wątku życia w 1952 r. napisał: „W roku 1888 wstępuje do wojennej Szkoły Felczerskiej w Kijowie, kończy ją z wynikiem celującym i natychmiast dostaje przydział na oddział chirurgiczny Klinicznego Szpitala Wojskowego w Charkowie”.

W 1892 r. Bolesław Szarecki przeniósł się do Charkowa. Pierwsze lata pobytu były dla niego bardzo trudne. Rozpocząwszy pracę w szpitalu, pragnął kontynuować studia medyczne. Pomagał także rodzicom, którzy znaleźli się w biedzie przez chorobę ojca i tragedię rodzinną – śmierć córki i syna. Codziennie do późnej nocy uczył się w swoim pokoiku służbowym przy szpitalu. Trudności mnożył lekarz naczelny szpitala Michaił Reich, który nie cierpiał „tego Polaka samouka”. Pomógł mu zaś kierownik Oddziału Chirurgicznego, profesor Apolinarij Podrież, pod którego kierunkiem młody lekarz zaczął praktykę chirurgiczną. W 1896 r. w 1. Gimna-

zjum Miejskim zdał maturę i otrzymał świadectwo dojrzałości z wysokimi wynikami.

W tym czasie Szarecki sprowadził do Charkowa młodszego brata Jana. Razem zamieszkali w małym służbowym pokoju. Bolesław osobiście czuwał nad wychowaniem i nauką brata. Pomimo bardzo absorbującej nauki poszukiwał ciągle możliwości zdobycia pieniędzy, aby utrzymać siebie, młodszego, uczącego się w gimnazjum brata, a także dla wsparcia rodziców. Podejmował się wtedy przeróżnych zajęć. Udzielał korepetycji w bogatszych domach, wykonywał zabiegi masażu, ale przede wszystkim pełnił dyżury nocne w szpitalu przy ciężko chorych. Z pomocą brata Jan Szarecki ukończył I. Gimnazjum Miejskie, a w 1907 r. został studentem Wydziału Medycznego Uniwersytetu Charkowskiego. Nieco później Bolesław Szarecki przeniósł do Charkowa rodzinę, dla której utrzymania był zmuszony łączyć studia na uniwersytecie z pracą jako nauczyciel prowadzący lekcje prywatne. Po śmierci matki w 1901 r. ojciec wkrótce wrócił do Mińska. Do końca jego życia (do 1914 r.) Bolesław Szarecki wysyłał mu pomoc pieniężną. Siostrze pomógł ukończyć kurs siostr miłosierdzia.

W 1898 r., po sześciu latach obowiązkowej służby w szpitalu, Bolesław Szarecki rozpoczął studia na Wydziale Medycznym Uniwersytetu Charkowskiego. Pokonując liczne przeszkody, w 1904 r. ukończył uniwersytet i dostał dyplom z wyróżnieniem. Ostatnie egzaminy, oprócz dyplomowych, składał latem 1904 r. Miał wtedy 30 lat. W jego sytuacji był to wielki sukces, zawdzięczał go jedynie dużym zdolnościom i konsekwencji w dążeniu do celu.

Po latach generał Szarecki tak o tym okresie pisał: „Na podstawie specjalnego zarządzenia władz wojskowych zostaje czasowo zwolniony z wojska i rozpoczyna studia na wydziale lekarskim uniwersytetu w Charkowie. Podczas studiów bierze czynny udział w życiu studenckim, należy do organizacji demokratycznych i występuje na wiecach, za co jest kilkakrotnie wydalany z uniwersytetu, a nawet przetrzymywany w więzieniach charkowskich, jako «przestępca polityczny»”. Analizując te dane, można przypuszczać, że Szarecki podał taką infor-



Bolesław Szarecki. Źródło: Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

mację ze względu na sytuację panującą w Polsce po II wojnie światowej. Z pewną dozą wątpliwości można zgodzić się z tym, że Bolesław Szarecki, mając na utrzymaniu całą rodzinę, czyniąc gigantyczne wysiłki, aby ukończyć szkołę średnią i wstąpić na uniwersytet, mógł w taki sposób ryzykować i angażować się w działalność polityczną pod groźbą wydalenia z uczelni.

W wojnie rosyjsko-japońskiej Bolesław Szarecki uczestniczył jako lekarz pociągu sanitarnego. Będąc zawsze na pierwszej linii frontu, przeszedł trudną szkołę w czołówkach chirurgicznych,



Szpital Aleksandrowski w Charkowie, w którym pracował Bolesław Szarecki, ul. Błagowiszczyńska 25. Źródło: uk wikipedia org

a następnie w pociągu sanitarnym Czerwonego Krzyża. Tu właśnie zabłysnął talent młodego chirurga, tu też dały znać o sobie najwartościowsze cechy jego charakteru: ofiarność, humanitaryzm i oddanie cierpiącemu żołnierzowi. Postawa taka przyniosła Szareckiemu powszechny szacunek. Wielokrotnie wyróżniany w rozkazach wojennych odznaczony został również wysokim odznaczeniem bojowym – Krzyżem św. Jerzego.

Rodzina i przyjaciele

W lipcu 1905 r., po zakończeniu działań wojennych, Szarecki został zdemobilizowany i powrócił do Charkowa. W tym mieście ożenił się ze swoją rówieśniczką Marią Mewius (1874–1965), pochodzącą z rodziny kozaków dońskich. Razem przeżyli 55 lat, wychowawszy synów Marii z pierwszego małżeństwa (Aleksandra i Apollona) oraz wspólnego syna Jerzego, który się urodził w 1910 r. Rodzina zamieszkała najpierw w budynku przy ulicy Puszkinskiej (obecnie Hryhorija Skoworody), po jakimś czasie przy ulicy Myronosickiej 14, a od 1912 r. w budynku przy zaułku Sediukowskim 4 (obecnie ulica Mykoły Skrypnyka 16).

Na początku listopada 1906 r. Szarecki został przydzielony na stanowisko nadetatowego ordynatora przy Chirurgicznej Klinice Szpitalnej Uniwersytetu Charkowskiego. Od tego czasu rozpoczęła się jego wspinaczka po szczeblach kariery zawodowej i osiągnięć naukowych, w czym dużą rolę odegrał kierownik kliniki prof. Julian Pęski. Pracował Szarecki głównie w gmachu kliniki, która znajdowała się przy szpitalu Aleksandrowskim na ul. Błagowiszczenskiej 25. Trwało to do 1919 r., gdy wraz z rodziną wyjechał do Polski. Od 1911 r. tam też zaczął pracować brat Jan. Praca w klinice i badania naukowe wciągnęły Bolesława Szareckiego całkowicie. Nie zawiódł się na nim prof. Pęski. Wyróżniał się pracowitością i troską o chorych. Szybko opanowywał tajniki coraz trudniejszych zabiegów operacyjnych. Zaczął na dobre „czuć” chirurgię i czuć się chirurgiem.

Po jakimś czasie kontakty zawodowe z prof. Pęskim przerodziły się w przyjaźń i często w domu tego ostatniego prowadzili w języku polskim dyskusje naukowe. Julian Pęski często mówił do swego ucznia, że kraj odradzający się po tylu latach niewoli potrzebuje młodych i zdolnych ludzi, którzy mogliby służyć mu swoją wiedzą. Profesora Pęskiego można uznać za nauczyciela Bolesława Szareckiego, który wspierał utalentowanego rodaka.

Z czasem profesor Pęski zlecił Bolesławowi Szareckiemu prowadzenie zajęć praktycznych ze studentami. W latach 1909–1912 prowadził zajęcia z urologii dla studentów IV roku, natomiast od 1913 r. prowadził ćwiczenia z postępowania chirurgicznego w nagłych przypadkach, a także wykłady z zabiegów operacyjnych dla studentów V roku. W wykładach korzystał z własnego doświadczenia z wojny rosyjsko-japońskiej. Już wtedy wpajał studentom zasadę, że o sukcesie pierwszej pomocy decyduje głównie czas, w jakim będzie ona udzielona, jak również szybkość, z jaką ranny dostanie się w ręce chirurga. Na tamte czasy były to uwagi nowatorskie.



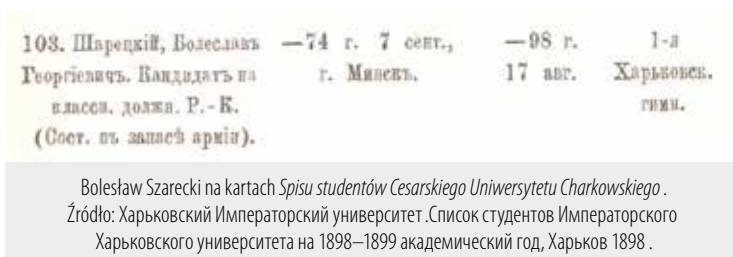
Budynek przy zaułku Sediukowskim 4 (obecnie ulica Mykoły Skrypnyka 16), w którym mieszkała rodzina Szareckich. Fot. Lubow Żwanko

Badania naukowe

Ważnym osiągnięciem Bolesława Szareckiego była obrona doktoratu pt. *Szkic topograficzno-anatomiczny regio subumbilicalis w związku z kwestią pochodzenia pourazowych przepuklin pachwinowych*, która się odbyła 17 maja 1912 r. Jego recenzenci, profesorowie Julian Pęski, Leonid Orłow i Bronisław Przewalski, doszli do wniosku, że rozprawa Szareckiego jest cennym badaniem w interesującej naukowo dziedzinie. Po obronie został uhonorowany stopniem naukowym doktora medycyny i za jakiś czas otrzymał stanowisko prywatnego docenta Uniwersytetu Charkowskiego. Pracował też nadal w klinice prof. Pęskiego. Wszystko to umożliwiło mu stabilizację materialną.



Bolesław Szarecki z żoną Marią. Źródło: Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Łodzi



W okresie charkowskim Bolesław Szarecki prezentował wyniki swoich badań na forach naukowych, m.in. na Zjazdach Rosyjskich Chirurgów w Petersburgu (1911, 1912). 6–11 kwietnia 1911 r. był wśród delegatów Zjazdu Niemieckich Chirurgów w Berlinie.

Wśród głównych dziedzin medycyny, które interesowały Szareckiego, były chirurgia urazowa, a także urologia. Zająmował się zapaleniem nerek (nephritis hemorrhagica i nephritis dolorosa). Wyniki badań publikował w rosyjskich i niemieckich czasopismach chirurgicznych. Intensywnie uczył się języków niemieckiego i francuskiego, aby móc czytać literaturę fachową w oryginale. Opublikował w tym okresie ponad 20 prac naukowych.

Bolesław Szarecki uczestniczył w działalności instytucji naukowych miasta. Od 1906 r. został członkiem Charkowskiego Towarzystwa Medycznego, na którym wygłaszał referaty pt. *W kwestii zakrycia wad skórnych* (4 kwietnia 1909), *Wobec pytania o znieczulenie wewnętrzne* (6 stycznia 1910), *Sprawozdanie o Zjeździe Chirurgów Rosyjskich w Petersburgu* (23 stycznia 1911). W 1911 r. został członkiem założonego przy uniwersytecie Towarzystwa Chirurgicznego, którego prezesem był prof. Julian Pęski. Od 1914 r. Szarecki pełnił obowiązki jego sekretarza.

I wojna światowa

Na początku I wojny światowej Szarecki wraz z bratem został zmobilizowany. Służył jako lekarz-konsultant korpusów wojskowych Armii Rosyjskiej. W 1915 r. wykładał w Charkowie dla słuchaczy kursów sanitarnych zorganizowanych na uczelni na temat zapewnienia pogotowia ratunkowego w nagłych przypadkach.

Podczas wojny, oprócz prac nad wojennymi ranami brzucha, Bolesław Szarecki pilnie analizował specyfikę wszystkich obrażeń wojennych związanych z postrzałami, w tym zwłaszcza klatki piersiowej i kończyn ze złamaniem kości. Dzięki tym badaniom stał się jednym z pierwszych inicjatorów i gorących propagatorów przybliżenia lekarzy do pola walki i przyspieszenia pomocy chirurgicznej dla rannych. Chirurgia wojenna stała się treścią jego życia. W 1916 r. na Zjeździe Chirurgów Rosyjskich w Moskwie wygłosił referat pt. *O leczeniu operatywnych uszkodzeń postrzałowych*. W nim jako pierwszy wystąpił z propozycją nowatorską – o przybliżeniu szpitali wojskowych do linii frontu. Przekonywał swoich kolegów, że obowiązujący dotąd system ewakuacji przypadków

zranień brzucha do oddległych szpitali frontowych, aby je operować „w spokojnych warunkach”, jest wysoce szkodliwy i powoduje tylko bardzo wysoką śmiertelność. Jego koncepcja została zaakceptowana i nowe szpitale na froncie rosyjsko-niemieckim były zakładane bliżej miejsc walki.

W grudniu 1917 r. Bolesław Szarecki został zdemobilizowany i powrócił do Charkowa, gdzie przystąpił do pracy w Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu. W tym czasie – w okresie Ukraińskiej Republiki Ludowej – oraz, od wiosny 1918 r., Ukraińskiego Państwa Hetmana Pawła Skoropadskiego Bolesław Szarecki, jako ceniony i doświadczony lekarz praktyk oraz dydaktyk dostał dwie propozycje objęcia stanowisk profesorskich na nowo otwartych uczelniach ukraińskich. Najpierw został zaproszony na profesora oraz kierownika Kliniki Chirurgicznej Uniwersytetu Krymskiego w Symferopolu. A w 1918 r., po założeniu w Jekaterynosławiu uniwersytetu, był jednym z kandydatów na stanowisko profesora chirurgii. Nie skorzystał z nich, bo zastanawiał się nad powrotem do ojczyzny.

W połowie 1919 r., gdy Charków był okupowany przez wojska Rosji bolszewickiej, wraz z żoną i synem Jerzym opuścił miasto i przez Kijów udał się do Polski. Pod koniec tego roku wraz z rodziną przybył do Warszawy. Od tego czasu rozpoczął się w jego życiu okres warszawski, wypełniony służbą w charakterze chirurga wojskowego, pracą na rzecz rozwoju służby wojskowo-chirurgicznej w Polsce, udziałem w II wojnie światowej oraz staraniami na polu medycznej edukacji wyższej. Miał wtedy 45 lat i w sferach lekarskich był już znanym i cenionym chirurgiem.

27 lat życia Bolesław Szarecki związał z Charkowem, w którym z przerwami na dwie wojny rozpoczął karierę naukową i zawodową, spotkał miłość całego życia – żonę Marię, ułożył swoje życie rodzinne. W niedokończonym życiorysie Szarecki nazwał charkowski okres życia „okresem najbardziej intensywniej pracy naukowej”. Stwierdził też, że w ogóle były to „moje dobre czasy, które przeciągnęły się aż do I wojny światowej”. I kontynuował: „Zdecydowałem się użyć ten okres na pogłębienie swojej wiedzy lekarskiej i zdobycie stopni naukowych. To wymagało dużej pracy teoretycznej i praktyczno-klinicznej. Do chirurgii zawsze miałem zamiłowanie i dlatego, chociaż pracowałem od rana do późnej nocy, to jednak byłem pełen energii, zapału i radosnego zadowolenia”.

Prof. dr hab. Lubow Żwanko – kierowniczka Centrum Muzealnego w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach uchodźstwa I wojny światowej, historii Polonii Charkowa i Polaków na Ukrainie Wschodniej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Prof. dr hab. Dmytro Kibkało – profesor Katedry Chorób Wewnętrznych i Diagnostyki Klinicznej Zwierząt w Państwowym Uniwersytecie Biotechnologicznym w Charkowie; specjalizuje się m.in. w badaniach chorób wewnętrznych zwierząt, biochemii klinicznej weterynaryjnej, historii medycyny i medycyny weterynaryjnej.

Konsultacja językowa: dr Marcin Lutomierski
 Autorzy składają podziękowanie Pani Annie Kozie, kierowniczce Archiwum Uniwersytetu Medycznego w Łodzi, za udostępnienie zdjęć Bolesława Szareckiego.

Profesor od wszy

Żeby karmić wszy, niepotrzebne były specjalne kompetencje, oprócz tego, że trzeba było być w miarę silnym i zdrowym. Dlatego tak cenne było to zajęcie w okresie okupacji. Chroniło przed wywózką na przymusowe roboty lub do lagru, ale pozostawiało czas na tajne komplety i konspirację.

Bohater niniejszego artykułu dokonał ważnego cywilizacyjnie odkrycia, a do tego był tytanem pracy. Portret człowieka byłby jednak niepełny, gdyby pominąć jego charakter i pasje życiowe oraz ogólne podejście do życia i nauki. Poniżej znajduje się historia mikrobiologa, który odkrył szczepionkę przeciw groźnej chorobie, a potem zajął się jej produkcją, ratując przy tym wiele ludzkich istnień.

Z urodzenia Niemiec, z wyboru Polak

Rudolf Stefan Jan Weigl urodził się 2 września 1883 roku w miejscowości Przerowo na Morawach. Ojcem był Fryderyk Weigl, a matką Elżbieta z Kröselów. Rodzice z pochodzenia byli Niemcami, obywatelami monarchii austro-węgierskiej. Rudolf miał dwoje starszego rodzeństwa: siostrę Lilly i brata Fryderyka. Rodzina posiadała fabrykę powozów, a potem aut. Ojciec zginął w wypadku. Testował nowy model bicykla i niefortunnie z niego spadł. Rudolf miał wtedy 4 lata. Wdowa wyjechała do Wiednia, gdzie prowadziła pensjonat. Tam poznała Polaka Józefa Trojnara, za którego wyszła za mąż. Zamieszkali W Jasle, a potem w Stryju. Ojczym był nauczycielem i dyrektorem szkoły. Dzieci całkowicie „spolszczyły”. Wcześniej mówiły po niemiecku i po czesku, później ich głównym językiem codziennej komunikacji stał się polski.

W 1896 roku Rudi poszedł do gimnazjum. Oficjalnie szkoła była austro-węgierska, ale w rzeczywistości wychowywała młodzież w duchu polskiego patriotyzmu. Do wszechnicy tej chodzili także Stefan Jaracz, Hugo Steinhaus i Stanisław Pigoń. Edukację gimnazjalną młody Weigl kontynuował w Stryju. Zdał tam maturę w 1903 roku i zapisał się na Wydział Medyczny Uniwersytetu Lwowskiego.

Przez pierwsze trzy lata studiów Weigl zajmował się głównie zoologią. Rozpoczął także studia medyczne, ale ich nigdy nie ukończył. Znaczący wpływ na zdolnego studenta miał Józef Nusbaum-Hilarowicz. Pierwszą tekstem naukowym Weigla było *Über die gegenseitige Verbindung der Epithelzellen im Darne der Wirbeltiere (W sprawie wzajemnego połączenia komórek nabłonka w jelitach kręgowców)*. Artykuł ukazał się w 1906 roku w biuletynie Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok później Rudolf Weigl ukończył studia z tytułem doktorskim. Z prof. Hilarowiczem współpraca układała się znakomicie, gdyż obaj naukowcy byli pracoholikami. W laboratorium spędzali po 7 dni w tygodniu. W 1913 roku młody Weigl przystąpił do kolokwium habilitacyjnego i uzyskał z powodze-

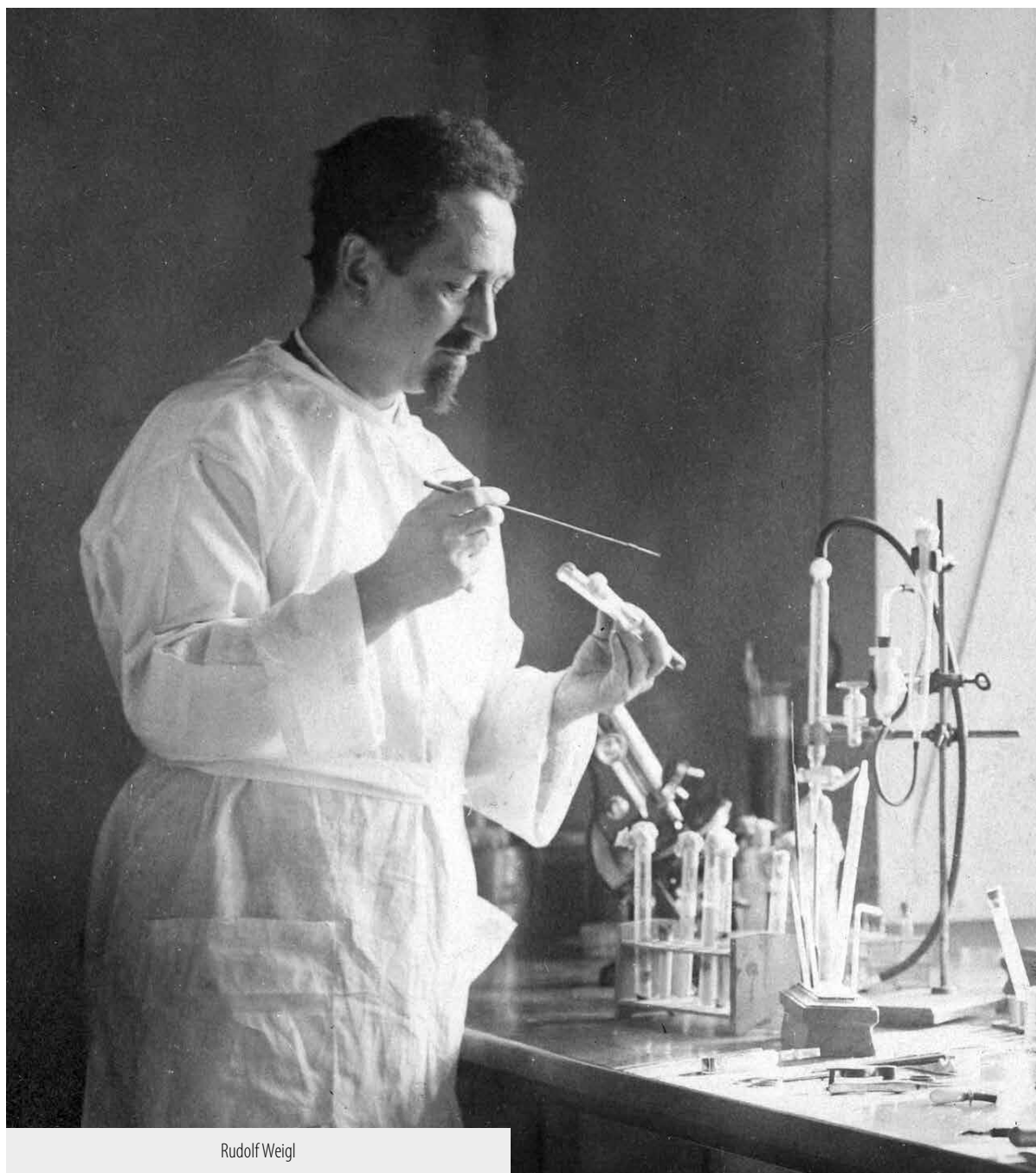
niem status privatdozenta w zakresie zoologii, anatomii porównawczej i histologii. W tym czasie jego zainteresowania coraz wyraźniej skupiały się na mikrobiologii.

Historia choroby

Wraz z I wojną światową wybuchła kolejna epidemia duru plamistego. „Tyfus, zamiennie nazywany drem osutkowym lub plamistym, był zawsze tam, gdzie nędza, głód i wojna. W dowolnej kolejności” (Mariusz Urbanek, *Profesor Weigl i karmiciele wszy*, Warszawa, Iskry, 2018). Do objawów należały: wysoka gorączka, dreszcze, światłowstręt, bóle mięśni i stawów. Na ciele pojawiały się czerwone plamy, które z czasem zaczynały krwawić. Chorobie towarzyszyły zaburzenia świadomości. W 60% przypadków kończyła się zgonem pacjenta. Przeżywali najsilniejsi, którymi miał się kto zaopiekować. W tym czasie nie było na tę chorobę ani skutecznego leku, ani szczepionki.

Wiedzano, że źródłem tyfusu jest krew ludzi zakażonych. Przetestował to na sobie Józef Moczutkowski w 1880 roku w Odessie. W 1909 roku Francuz Charles Nicolle udowodnił, że chorobę przenoszą wszy odzieżowe, za co w 1928 roku dostał Nobla. Amerykanie Howard Taylor Ricketts i Russel M. Wilder ustalili, że wszy są zdolne do zakażenia dopiero po 2-5 dniach ssania krwi chorego. Austriacki parazytolog Stanislaus von Prowazek potwierdził z kolei identyczność tyfusu plamistego u ludzi i małp. Ricketts i Prowazek niezależnie od siebie ustalili także, że wszy są nosicielkami bakterii odpowiedzialnej za chorobę duru osutkowego. Co smutne, obaj uczeni zmarli z powodu tej choroby. Ricketts miał 41 lat, a Prowazek 40. Ostatecznie wyniki ich badań potwierdził brazylijski uczony Henrique da Rocha Lima. Na cześć obu zmarłych nazwał bakterię roznoszoną przez wszy odzieżowe Rickettsia prowazekii.

Insekty nie zarażały się między sobą, dlatego potrzebny był ludzki pośrednik. Weigl opracował bezpieczną metodę sztucznego zakażenia wszy. Za pomocą cieniutkiej rurki wprowadzał per rectum do jelit zdrowych owadów bakterię wywołującą chorobę. Po kilku dniach ich przewód pokarmowy stawał się miejscem hodowli zarazka. Podobno na ten pomysł Weigl wpadł w Przemyślu, gdzie na początku 1915 roku trafił do pracy jako mikrobiolog. Znajdował się tam szpital wojskowy, którego jedną z pracowni kierował epidemiolog Filip Eisenberg, były asystent Odo Bujwida. Zajmowano się tam zarazkami cholery i zwierzchnik Weigla niechętnie patrzył na jego badania nad



Rudolf Weigl

Źródło: Wikipedia

tyfusem, jednak je tolerował. Kolejnym miejscem prowadzenia eksperymentów był Tarnów, gdzie znajdował się obóz jeniecki. Do badań zostały włączone świnki morskie, które – tak jak ludzie – także chorowały na tyfus.

W tym okresie Weigl przez przypadek zainfekował się badanymi zarazkami i zachorował na pełnoobjawowy tyfus. Postanowił sytuację wykorzystać i własną krwią zakażać wszy. W tym celu skonstruował specjalne klateczki, szczelne pojemniki, które mocował następnie na własnych kończynach. Z jednej strony pojemniki miały ściankę z gazy, dzięki czemu insekty mogły wgryzać się w ciało karmiciela. Drugą kwestią było sporządzenie szczegółowego opisu symptomów choroby, co uczynił. Kiedy wyzdrowiał, zaczął testy szczepionki. Najpierw na świnkach morskich, potem na sobie. Ustalił, że wstrzyknięcie zawiesiny z zarazków pozyskanych z jelit 250 wszy daje pożądaną odporność. Zaproponował władzom austro-węgierskim masową produkcję preparatu, ale zanim zapadły jakieś decyzje, wojna się skończyła.

Przez krótki czas Weigl pracował w Przemyślu w Pracowni Badań nad Tyfusem Plamistym. Zatrudnił tam swoją żonę Zofię Kuligowską (z którą wcześniej studiował) i Ludwika Flecka, który potem wyspecjalizował się w socjologii medycyny. Do Lwowa wrócił w 1920 roku, gdzie powołano go na Katedrę Biologii Ogólnej. Było to dość kontrowersyjne posunięcie uczelni. Weigl miał zaledwie 37 lat i niewielki dorobek publikacyjny. Trochę plotkowano o tej nominacji na uczelni, ale mikrobiolog nic sobie z tego nie robił.

Instytut i szczepionka

Jako kierownik katedry Weigl zajął się tworzeniem miejsca, gdzie będzie mógł kontynuować badania nad szczepionką i jednocześnie ją produkować. Placówka znajdowała się przy ul. Świętego Mikołaja 4, w jednym ze starszych budynków uniwersytetu. Napisy przestrzegały przed przekraczaniem drzwi katedry ze względu na możliwość zakażenia się niebezpiecznymi chorobami. Prace Weigla wymagały znacznej ilości sprzętu

laboratoryjnego: szkła, wirówek, palników, binokularów itp. Konieczna była także hodowla różnego rodzaju „braci mniejszych”: od wspomnianych świnek morskich i wszy, po króliki, myszy, traszki, salamandry czy żaby. W latach 20. XX wieku zakład tworzyło kilkunastu pracowników. W okresie II wojny światowej nawet powyżej tysiąca.

Rotacja pracowników była dosyć duża. Po pierwsze, nie wszyscy byli w stanie znieść wybuchowy charakter i wymagania szefa. „Oberwać” od Weigla można było za wszystko. Po drugie, mikrobiolog był bezkompromisowy i w sprawach naukowych nieco... nietolerancyjny, jak określił to dyplomatycznie syn Witold Weigl (zob. Zbigniew Stuchły, *Zwyciężyć tyfus – Instytut Rudolfa Weigla we Lwowie. Dokumenty i wspomnienia*, Sudety, Wrocław 2001, dostępny online). O swoich pracownikach zwykł wygłaszać surowe i czasem krzywdzące opinie. Kilku z nich jednak cenił i nawet spędzał z nimi prywatny czas. Szczególną funkcję w Instytucie pełniła żona Profesora Zofia Weiglowa. W pierwszych latach od jego utworzenia zajmowała się biurokracją i była mediatorką, która łagodziła konflikty między mikrobiologiem a jego podwładnymi. Była „dobrym duchem” katedry, dla każdego miała czas i często pomagała w problemach osobistych.

Do produkcji szczepionki potrzebni byli preparatorzy, strzykacze i karmiciele wszy. Ci pierwsi byli po to, żeby z zakażonych insektów wydobyć jelita. Ci drudzy wprowadzali małutkimi kapilarami zarazki do jelit owadów. Ich praca była niebezpieczna, bo pracowali z zarazkiem i łatwo mogli się sami zarazić. Trzecia i najbardziej liczna grupa miała za zadanie własną krwią nakarmić wszy. Zajęcie to wymagało nakładania na swoje kończyny kilkunastu skonstruowanych przez Weigla klateczek, do których wkładano setki insektów. Jednorazowy proces karmienia trwał około 40 minut i był bolesny oraz pozostawiał

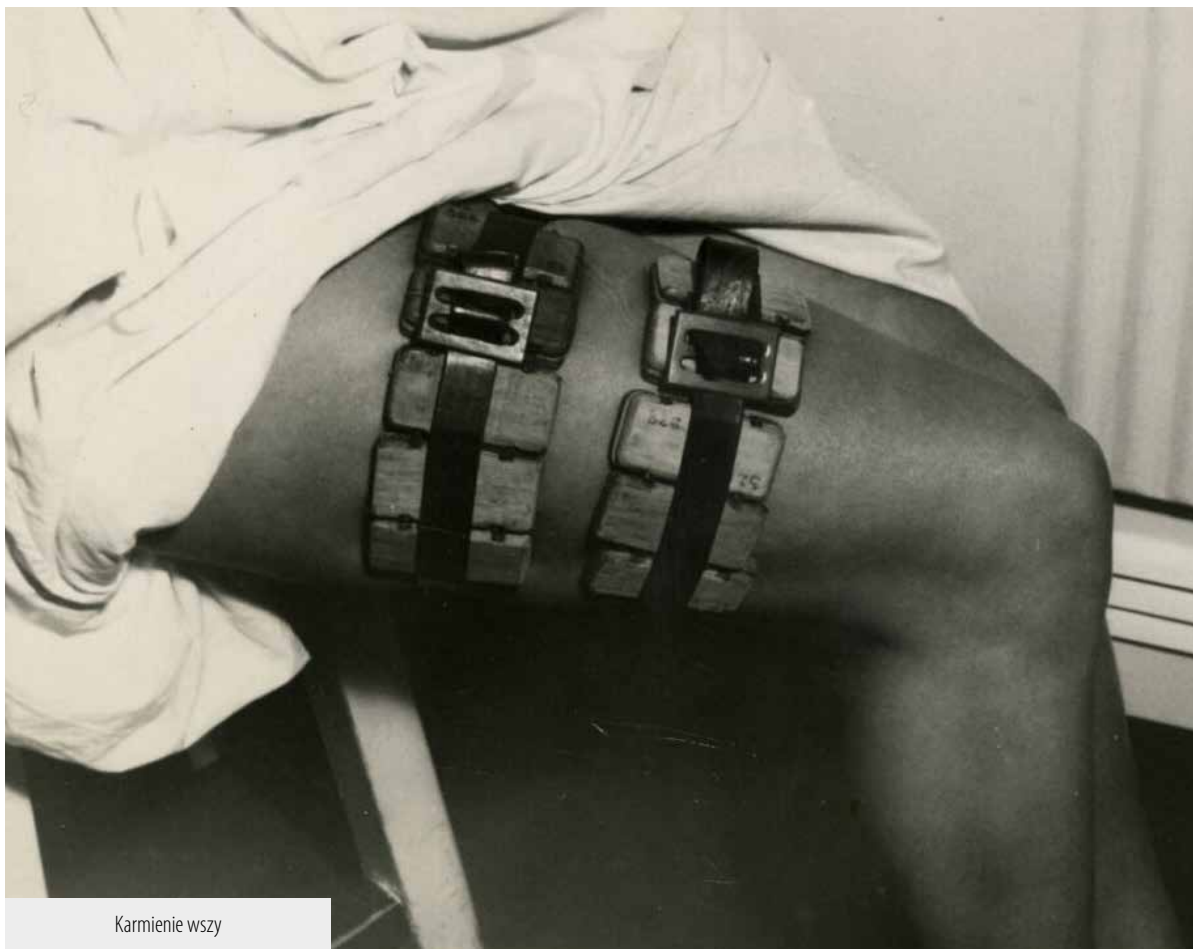
wiał nieestetyczne ślady w postaci prostokątnych wybroczyn, które bardzo swędziały. Żeby karmić wszy, niepotrzebne były specjalne kompetencje, oprócz tego, że trzeba było być w miarę silnym i zdrowym. Dlatego tak cenne było to zajęcie w okresie okupacji. Chroniło przed wywózką na przymusowe roboty lub do łagru, ale pozostawiało czas na tajne komplety i konspirację. Byli także potrzebni ludzie odpowiedzialni za hodowlę wszy, sporządzanie samego preparatu, jego porcjowanie, kontrolę jakości itp. Zatem Instytut Weigla był swoistą fabryką.

Gotowa szczepionka miała 3 dawki. Pierwsza zawierała zawiesinę z 15 jelit, druga z 30, a trzecia z 45 jelit wszy. Zastrzyki trzeba było robić w odstępach tygodniowych. Zależnie od organizmu szczepionej osoby uodporniało ją to na okres roku lub kilku lat.

Życie prywatne

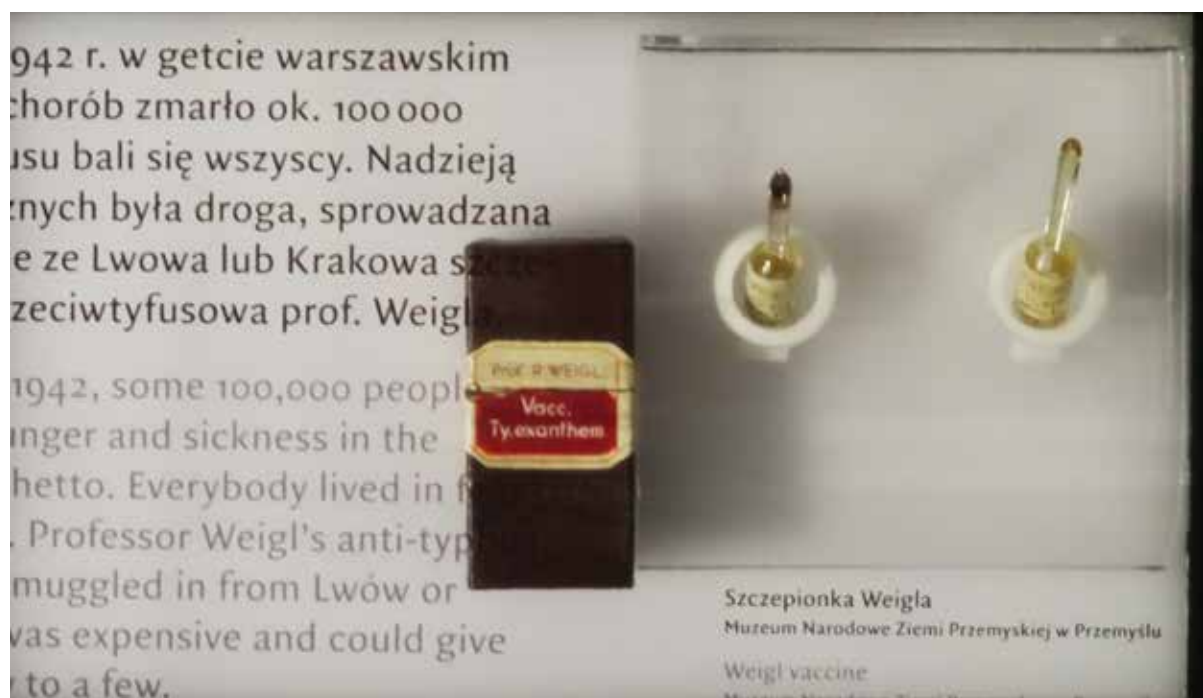
Weiglowie od 1914 roku mieszkali w kamienicy Kuligowskich przy ul. Wagilewicza. W domu, oprócz Weigłów i ich syna (ur. 1921), mieszkali teściowie i trzy siostry Zofii: Stefa, Helena i Wanda. Mikrobiolodzy prowadzili życie uregulowane. Rano wychodzili do „pracowni”, jak nazywali katedrę. Około 14:00 wracali na obiad, a potem Weigl – zwykle już sam – wracał do laboratorium, gdzie pozostawał nie raz do późnych godzin nocnych. Ich synek Wiktor towarzyszył im w pracy od najmłodszych lat, ponieważ nie było wtedy żłobków i przedszkoli.

Wolne chwile rodzina Weigłów spędzała na spacerach, obserwując przyrodę, łapiąc motyle, zbierając okazy płazów do laboratorium. Wakacje przez wiele lat spędzali w Iłemni w Gorgonach, paśmie gór w Beskidach Wschodnich, gdzie cieszyli się bliskością natury. W mieście chodzili na operetki i do kina. Teatru prof. Weigl nie lubił. Nie podobały mu się też filmy wojenne i kowbojskie. Synowi pozwalał korzystać ze



Karmienie wszy

Zofia mnap.pl



Szczepionka przeciwyfuszowa prof. Weigla, Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie Fot. Łukasz Katlewa

swojej biblioteki. Zbudował dla niego teleskop i uczył go astronomii. Interesował się fotografią i chętnie robił zdjęcia swojej rodzinie. Profesor wstawał rano. Codziennie się gimnastykował. Preferował mało profesorski, mniej formalny styl ubierania się. Uwielbiał łowić ryby i strzelać z łuku. Pasji tej oddawał się nawet w przerwach od pracy, gdyż urządził sobie tor łuczniczy w Ogrodzie Botanicznym UJK. Przed II wojną światową lubił też łowiectwo. Potem jednak go zaniechał. Nie był przesadnie religijny. Chodzenie do kościoła wydawało się Weiglowi stratą czasu, ale święta obchodzono w domu tradycyjnie. Nie lubił sytuacji formalnych. Niechętnie bywał na oficjalnych uroczystościach. Nie był też zbyt towarzyski. Miał raczej wąskie grono przyjaciół, do których zaliczał prof. Jana Lenartowicza (dermatologa i wenerologa), prof. Zdzisława Steuslinga (bakteriologa) oraz pediatrę Franciszka Groera. Weigl miał dość swobodne podejście do porządku, ale od innych go wymagał. Nie znosił marnotrawstwa. Złościł się, gdy nie mógł czegoś znaleźć. Gdy był czymś zajęty, zapominał o najzwyklejszych sprawach. Według syna był skrajnym pacyfistą. Nie lubił woj-ski ani nawet piosenek żołnierskich. Był przeciwny przemocy w każdej postaci.

W pracy naukowej był systematyczny, wytrwały, cierpliwy. Mawiał, że „nauka nie znosi partactwa”. Każdą tezę trzeba potwierdzić badaniami i nigdy nie wolno kłamać. Postrzegał też naukę jako rodzaj niewoli. Jeśli chce się osiągnąć wyniki, trzeba się jej całkowicie oddać. Uwielbiał majsterkować. Wiele przyrządów do produkcji szczepionki zrobił lub wymyślił sam. Stworzył zgrany i oddany zespół pracowników, a z zakładu naukowego rodzaj fabryki szczepionek, choć władze zachęcały go do dalszych badań, a wytwarzanie szczepionki proponowano przekazać Zakładowi Produkcji Surowic i Szczepionek PZH. Nie chciał, bo prawdziwą pasją dla Weigla był jego własny preparat.

Dla ludzi był szefem, ale nie kapralem. W latach 30. Katedrę przemianowano na Zakład Biologii Ogólnej UJK, a przy niej ulokowano Instytut Badań nad Durem Plamistym. Tam uformował się właściwy zespół „Weiglowców”. Jak już wspominałam, profesor bywał surowy. Nie był też wylewny i nie skracał dystansu. Prace swoich asystentów sprawdzał bardzo

skrupulatnie. Na publikację ukończonych tekstów trzeba było długo czekać. Weigl zresztą pisanie uważał za sprawę drugorzędną. Liczyło się samo odkrycie i możliwość zastosowania tego w leczeniu chorób. Sam miał w sumie niewielki dorobek publikacyjny – 40 prac.

W okresie okupacji syn Weigla został asystentem w Instytucie. Wymagano od niego tyle samo, co od innych, a do ojca miał się zwracać „Panie Profesorze”. Weigl nie był dobrym ani charyzmatycznym pedagogiem. Nie miał zdolności dydaktycznych, nie „porywał” swoimi wykładami. Pracy tej zresztą nie lubił, ale konsekwentnie sprzeciwiał się antysemickim ekscesom i nie pozwalał na „getto ławkowe” na swoich zajęciach. Brak wiedzy na egzaminie u studenta uważał jednak za ciężką osobistą zniewagę. Nie miał też poczucia humoru jeśli chodzi o naukę. Imieniny Weigla były świętem Zakładu. Współpracownicy przychodzili odświętnie ubrani i wręczali Profesorowi ręcznie zrobiony prezent, takie najbardziej lubił.

Uznanie

W 1930 roku na posiedzeniu Polskiej Akademii Umiejętności Rudolf Weigl ogłosił, że jego szczepionka chroni przed durem plamistym. W tamtym momencie miał przeprowadzone próby na kilkuset pacjentach i żaden nie zachorował ponownie. Informacje o sukcesie polskiego naukowca pojawiły się na pierwszych stronach gazet. We Lwowie Weigl był znaną osobistością. W tym samym roku nominowano mikrobiologa do Nagrody Nobla w dziedzinie fizjologii lub medycyny. Zgłoszenia ponawiano do wybuchu II wojny światowej, jednak z jakichś względów naukowca pomijano. Do Weigla zaczęli przyjeżdżać bakteriologowie z całego świata, w tym wspomniany Charles Nicolle z Paryża. Był wielkim fanem lwowskiego uczonego. W 1933 roku w Instytucie Pasteura w Paryżu chwalił Weigla, że uratował on już życie kilku tysiącom ludzi w Polsce, w Tunisie (czyli Tunezji) i w Chinach. Określił go mianem „fanatyka nauki” (Urbanek).

Za tym poszły oficjalne wyróżnienia. Pierwsze odznaczenie otrzymał w 1937 roku od króla Belgii Leopolda III. Zaś papież Pius XI mianował uczonego komandorem Orderu Świętego Grzegorza Wielkiego. Było to najwyższe odznaczenie waty-

kańskie, przyznawane za szczególne zasługi dla Kościoła Katolickiego. Weigl przekazał szczepionki i wyszkolił chińskiego uczonego, doktora Czanga, aby ten kontynuował dzieło Polaka w Azji. W ten sposób katolicycy misjonarze przestali umierać na tyfus. Szczepionka ratowała życie także chorym Chińczykom oraz mieszkańcom kolonii belgijskiej w Afryce (teren Konga, Rwandy i Burundi).

Pracom profesora Weigla przyglądał się uważnie także polski wywiad. Wszy roznoszące groźny zarazek mogły być potencjalnie skuteczną bronią biologiczną. Mariusz Urbanek w swojej książce wspomina o tym, że w przedwojennym laboratorium działali agenci. Nie wiadomo jednak, czy sam profesor był tego świadom.

W połowie lat 30. Zofia i Rudolf Weiglowie przeprowadzili się na ul. Panińskiego. Mieli teraz większe i ładniejsze mieszkanie, ale nie byli zamożni. Wszelkie nagrody naukowe, które Profesor otrzymywał, przeznaczal na dalszą działalność Instytutu, a jedynie niewielki procent z tego zasilał budżet domowy. Weigl nie należał do żadnej partii. Był lojalnym obywatelem miasta Lwowa i kraju, w którym żył.

Jesienią 1938 roku rząd włoski poprosił naukowca o pomoc w Abisynii (dziś Etiopia), gdyż tam wybuchła właśnie epidemia tyfusu. Weigl wahał się, czy przyjąć propozycję. Nie podobał mu się włoski faszyzm. Ostatecznie jednak ciekawość naukowa zwyciężyła. Profesor spodziewał się, że z Afryki przywiezie nieznanne dotąd szczepy riketsji. W wyprawie wzięli udział także Michał Martynowicz i Anna Herzig. Żona Zofia została w Polsce, żeby wspierać syna w przygotowaniach do matury.

Kolejna wojna

Wybuch II wojny światowej zastał Zofię i Wiktora Weiglów w Iłemni. Rudolf jeszcze w sierpniu wrócił do Lwowa. Odmówił ewakuacji do Rumunii, choć miał taką ofertę. 22 września

do miasta wkroczyła sowiecka dywizja pancerna. Wkrótce Wydział Lekarski UJK został przekształcony w odrębną uczelnię – Państwowy Instytut Medyczny. Instytut Weigla przemianowano na Instytut Sanitarno-Bakteriologiczny (w skrócie: San-Bak). Oddano go pod kontrolę NKWD i miał teraz produkować szczepionkę dla Armii Czerwonej. Szefem zakładu pozostał Weigl, ale dyrektorem mianowano Siergieja N. Tierchowa, później ministra zdrowia radzieckiej Ukrainy. Weigl pomagał, jak tylko mógł, żeby zabezpieczać ludzi przed przymusowymi deportacjami na wschód. Taką podstawową metodą było zatrudnianie w Instytucie osób potrzebujących schronienia.

W lutym 1940 roku do placówki zawiął Nikita Chruszczow, sekretarz Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej na Ukrainie. Zaproponował Profesorowi stworzenie analogicznej placówki w głębi Rosji oraz członkostwo we Wszechzwiązkowej Akademii Nauk. Ten jednak propozycji nie przyjął, tłumacząc, że nigdzie poza Lwowem nie ma tak wspaniałych wszy. Mimo afrentu, Chruszczow zdecydował o rozbudowie Instytutu. Powiększono go o budynek po Gimnazjum Żeńskim im. Królowej Jadwigi i asygnowano dodatkowe środki na działalność. Na ul. Świętego Mikołaja zostały pracownie naukowo-badawcze, zasadnicza produkcja szczepionki przeniosła się w nowe miejsce. Weigl jeździł do Związku Radzieckiego z wykładami. W listopadzie 1940 roku odeszła żona uczonego Zofia Weiglowa. Zamknęło to pewien etap w relacjach rodzinnych i spowodowało rosnący dystans między ojcem a synem.

30 czerwca 1941 roku Niemcy wkroczyli do Lwowa. Rosjanie uciekli, nie wypłacając pensji. Nie było prądu, wody ani gazu, więc trudno było produkować szczepionkę w normalnym trybie. Niemcy nie zlikwidowali Instytutu, ponieważ panicznie bali się tyfusu. Uważali go za śmiertelną chorobę przenoszoną przez Żydów. Weiglowi zaproponowali podpisanie Reichslisty (Volkslisty I kategorii, dla Niemców dzia-



Źródło: Wikipedia

Pomnik Rudolfa Weigla we Wrocławiu

lających na rzecz Rzeszy). On jednak odmówił SS, twierdząc, że: „ojczyznę wybiera się jeden raz” (Urbanek). San-Bak stał się częścią Instytutu Tyfusu Plamistego i Badań nad Wirusami Naczelnego Dowództwa Wojsk Lądowych Wehrmachtu (Institut für Fleckfieber und Virusforschung des Oberkommando des Heeres) i podporządkowany centrali w Krakowie. Na jej czele stanął 33-letni Hermann Eyer, privatdozent z uniwersytetu w Berlinie. Miał on zdecydowanie mniejszą renomę w świecie naukowym niż Weigl. Eyer na co dzień rezydował w Krakowie, a do Lwowa przysłał do kontroli podwładnych, oficerów służby medycznej, tzw. Oberstabsarztów. Weiglowi pozostawiono technika i sprawy personalne. Miał w sumie dość dużą swobodę, co po wojnie interpretowano jako jakąś formę współpracy z okupantem. Niemcy wkrótce po zajęciu Lwowa podjęli decyzję o dalszej rozbudowie Instytutu. Mimo ponawianych ofert podpisania Reichslisty i wzywania na gestapo, Weigl propozycji nigdy nie przyjął.

Przez całą okupację przez Instytut przewinęło się kilka tysięcy osób, głównie karmicieli wszy. Weigl wykorzystując swoje wpływy, wyciągał ludzi z gett, dostarczał nielegalnie szczepionkę, chronił przed więzieniem, wywózką. Po wojnie świadectwo w Instytucie Yad Vashem złożyła córka Pauli i Henryka Meislow – Felicia. Pół wieku po swojej śmierci Rudolf Weigl otrzymał tytuł „Sprawiedliwego wśród Narodów Świata”.

Praca u Profesora dawała bezpieczne schronienie, skromny dochód oraz racje żywnościowe. Weigl chciał ocalić jak najwięcej pracowników naukowych i ich rodzin, rozumiejąc, że ich siły intelektualne będą potrzebne po zakończeniu wojny. Do karmicieli należeli m.in.: botanik Stanisław Kulczyński, biochemik Tadeusz Baranowski, bakteriolog Ludwik Fleck, Seweryn i Helena Krzemieniewscy, archeolog Stefan Krukowski czy matematyk Stefan Banach. Praca nie była całkiem wolna od ryzyka. Stała utrata krwi prowadziła do anemii. Większość zatrudnionych zapadała też prędzej czy później, na tzw. zakładówkę, nieco łagodniejszą wersję tyfusu, której przechorowanie zajmowało kilka tygodni. Z czasem do Instytutu Weigla dołączono także tzw. Instytut Behringa, który znajdował się przy ul. Zielonej. Wehrmacht żądał coraz większych dostaw szczepionki.

Świadkowie zdarzeń mówią też o znaczącej liczbie szczyptów ludności cywilnej dokonywanych pod pozorem przeprowadzania doświadczeń. Lek trafiał też do zakonnic, które pracowały w szpitalach. Miejsca, w których mieszkali pracownicy Instytutu, były specjalnie oznaczone i niechętnie zaglądali tam Niemcy, obawiając się zakażenia chorobą. Stały się one bezpiecznym schronieniem dla osób ukrywających się. Kiedy Weigl dowiedział się, że w warszawskim getcie przebywa wybitny lekarz Ludwik Hirsfeld, wysłał mu kilkadziesiąt tysięcy szczepionek. Wiózł je syn Profesora ze współpracownikami w nieoznaczonych naczyniach, udając, że to czarna kawa. Wyprawa odbyła się pod pretekstem, że jadą szukać nowych szczepów bakterii wywołujących tyfus. Szczepionka dla warszawskiego getta oznaczała zwiększenie szans na przeżycie, gdyż tam każdego miesiąca na dur brzuszny umierało około 5 tys. ludzi. Weigl przysmykał też oko na sabotaż pracowników, którzy osłabiali jakość szczepionki wysyłanej dla Wehrmachtu.

Pod koniec stycznia 1944 roku Niemcy ogłosili, że Instytut będzie ewakuowany. Stali pracownicy mają się zapisywać na listę chętnych do wyjazdu, czego nie robili. Sprzęt został jednak wywieziony, a sam Profesor zmuszony do wyjazdu do Krakowa. Po zajęciu Lwowa Rosjanie wezwali pozostałych w mieście pracowników Lwowskiego Instytutu Epidemiologii i Mikrobiologii do powrotu. Niemcy nie zdążyli ewakuować filii Instytutu Weigla, wspomnianych Zakładów Behringa przy ul. Zielonej. Placówkę ponownie uruchomił wieloletni współpracow-

nik Weigla Henryk Mosing. Sam Profesor po ewakuacji osiadł w Krościenku nad Dunajcem. Mieszkał w pensjonacie „Stary Dwór”. Tam urządził skromne laboratorium produkujące szczepionkę. Działo do końca wojny.

Kolaborant?

Rudolf Weigl po wojnie próbował odzyskać sprzęt i odbudować swój Instytut. Rozważał nawet propozycję Chruszczowa, żeby wznowić produkcję szczepionki w Związku Radzieckim, ale sprzeciwiła się temu jego druga żona Anna Herzig. Od lipca 1945 roku uczony objął Katedrę Bakteriologii Ogólnej na Wydziale Medycznym UJ. Miał obowiązek prowadzenia wykładów i badań naukowych. Uruchomił niewielkie laboratorium przy ul. Świętego Sebastiana, gdzie zatrudniał lwowskich współpracowników. Pozornie wszystko było jak przed wojną. Sam Weigl był jednak coraz bardziej zmęczony i zniechęcony. We Lwowie był gwiazdą, w Krakowie intruzem. Instytut przy Św. Sebastianie nazywany był „lwowską wyspą” (Urbanek). Nowe władze nie mogły jednak pozwolić, żeby taka instytucja istniała prywatnie. Ostatecznie laboratorium musiało funkcjonować pod nadzorem Państwowego Zakładu Higieny i Wojewódzkiej Stacji Sanitarnej-Epidemiologicznej. Na ampułkach nie było już nazwiska Weigla, a uczony musiał ze wszystkiego pisać sprawozdania.

Wiosną 1946 roku zaczęto plotkować, że praca Weigla dla Niemców podczas wojny nosiła znamiona kolaboracji. Oceniano, że obowiązki swe wykonywał zbyt chętnie i skutecznie oraz przyjaźnił się z okupantami. Pomówienia miały na pewno wpływ na to, że Profesorowi odebrano nadzór nad produkowaniem własnej szczepionki. Przejęły to dwa inne laboratoria. Jedno w Częstochowie (kierowane przez Stefana Kryńskiego, ucznia Weigla), drugie w Krakowie (kierowane przez Zdzisława Przybyłkiewicza). Weigl negatywnie ocenił pracę habilitacyjną tego drugiego, czego mu nie zapomniano. W dokumentach Hermanna Eyera, niemieckiego szefa Instytutu podczas wojny, znaleziono dowód na rzekomą kolaborację Rudolfa Weigla. Była to fotografia uczonego z dedykacją „Mojemu młodemu przyjacielowi”, którą Weigl musiał podarować Eyerowi. Poruszając tą sprawę, Przybyłkiewicz nie wspominał już, że sam też z Eyerem pracował i nawet opublikował z nim wspólny tekst. Konsekwencje całej sprawy były jednak takie, że Weigla zepchnięto na boczny tor w kwestii produkcji szczepionki. Nie zgłaszano też więcej kandydatury bakteriologa do Nagrody Nobla.

Jesienią 1947 roku Weiglowie przenieśli się do Poznania na Wydział Lekarski UAM. Uczony wracał do Krakowa co parę dni, bo tam nadal istniało laboratorium. Po przekształceniu wydziałów medycznych w akademie medyczne Weigl próbował zachować swój zakład na uniwersytecie. Po 3 latach czekania na decyzję w sprawie uruchomienia produkcji szczepionki w Poznaniu poddał się i postanowił przejść na emeryturę.

Zwycięstwo nad tyfusem

Uczony doczekał wynalezienia tetracykliny – antybiotyku, który był skuteczny w walce z tyfusem plamistym. Mimo to choroba pozostała do końca tematem badań Weigla. Interesowało go, co się dzieje z zarazkami tyfusu, gdy epidemia wygasa. Czy przechowują się one w organizmach ludzi, czy zwierząt? Czy jakąś rolę odgrywają w tym procesie szczury? Nie zdążył odpowiedzieć na te pytania.

Rudolf Weigl zmarł w Zakopanem 11 sierpnia 1957 roku. Przyczyną był udar mózgu. Został pochowany na Cmentarzu Rakowickim w Krakowie. Rada Państwa pośmiertnie nadała mu Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski.

Globalizacja i prorozwojowe impulsy

Jak przystało na rzetelnego analityka, profesor Nowak uzupełnił aspekty ekonomiczne i ilościowe oceną sytuacji społecznej i politycznej.

Ile wolnego rynku, polityki liberalnej i spójności systemów UE, a ile niezależności, interwencjonizmu i budowania indywidualnej przewagi państw członkowskich? Są to dziś gorące pytania, jakie stawiają sobie europejscy, ale nie tylko europejscy, ekonomiści i badacze zarządzania. Jednym z nich jest prof. Alojzy Z. Nowak, który zebrał w swojej książce najbardziej aktualne publikacje, wypowiedzi i doktryny wyjaśniające pozycję UE i państw członkowskich, zwłaszcza Polski, w zestawieniu z szeroko rozumianą globalizacją, mającą swoje zalety, jak ekscytujący rozwój technologii, przepływ ludzi i idei, optymalizacja produkcji, a także zagrożenia związane z konfliktami zbrojnymi, walką o dostęp do rzadkich surowców, taniej energii i nierówną dystrybucją zysków. Jak przystało na rzetelnego analityka, profesor Nowak uzupełnił aspekty ekonomiczne i ilościowe oceną sytuacji społecznej i politycznej.

Autor wskazuje państwo jako ważnego uczestnika rynku i przywołuje narzędzia ekonomiczne i fiskalne, jakimi dysponują rządzący, by ożywić inwestycje i wzmocnić strategiczne sektory gospodarki. Jednym udaje się to lepiej, innym gorzej. Tu liczy się czas i odwaga, bo złożoność świata nie pozwala w sposób jednoznaczny przewidzieć długoterminowych konsekwencji jednostkowych przykładów interwencjonizmu, np. wprowadzonych ceł ochronnych. Nowak jednoznacznie opowiada się za aktywną rolą państwa jako twórcy i wykonawcy polityki rozwojowej i strukturalnej. Prezentując swoje tezy, nie jest jednak jednostronny. Pokazuje argumenty za i przeciw, nie odmawia prawa głosu przeciwnikom. Jest to wzorcowy wręcz przykład merytorycznej akademickiej debaty toczzonej poza gorączką wojenki politycznej.

Autor przypomina sukces gospodarczy Polski, której PKB w ostatnim ćwierćwieczu wzrosło czterokrotnie, osiągając 1 bilion dolarów, i w związku z tym pyta, jak dwudziesta gospodarka świata mogłaby swój sukces najlepiej wykorzystać i utrwalić tempo wzrostu? To zrozumiałe, że rektor najlepszej polskiej uczelni – Uniwersytetu Warszawskiego – szuka prorozwojowych impulsów na własnym podwórku, nawiązując do zmiany systemu kształcenia tak, by stymulował innowacyjność i kreatywność, zwłaszcza w branżach, w których Polska może

zbudować trwałą przewagę konkurencyjną. Przewija się też postulat wzrostu nakładów na badania i rozwój przynajmniej do poziomu średniej dla państw UE – 2,2% PKB (obecnie 1,6%), szczególnie w obszarze szybko rozwijającej się AI. Szczególnie bliskie jest mi zachęcanie do prowadzenia badań interdyscyplinarnych jako rozsądника najbardziej kreatywnych, przełomowych rozwiązań dla gospodarki.

Postawiony w tytule książki znak zapytania odnośnie do strategicznej zależności gospodarczej zachęca czytelnika do głębszej analizy tego, co wydaje się z pozoru oczywiste, czyli korzyści dla polskiej gospodarki z członkostwa w Unii Europejskiej. Tu jednak pytanie dotyczy samej UE, a taka analiza wymaga szerszego spojrzenia, które pokazuje opisany tu szczegółowo Raport Draghi. O ile silną stroną tej współzależności jest stosunkowo mocny system finansowy i gospodarczy Europy, to słabość wykazuje m.in. obszar bezpieczeństwa energetycznego i militarnego.

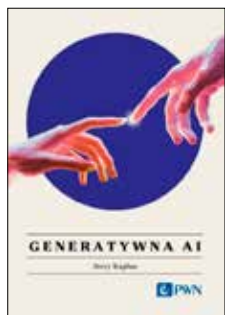
Autor łączy bogate doświadczenie ekonomisty-teoretyka i aktywnego uczestnika publicznej debaty. Można w tej książce znaleźć wątki ekonomiczne, społeczno-polityczne i refleksje praktyka skoncentrowane wokół zarządzania nauką i szkołami wyższymi. Ta wielowątkowość i interdyscyplinarność są wielkimi zaletami książki Nowaka. Książka stanowi kontynuację wcześniejszych publikacji Autora w tym samym nurcie tematycznym.

Na koniec mojej jednoznacznie pozytywnej opinii o tej wartościowej propozycji wydawniczej pozwolę sobie na polemikę z Autorem. W książce pojawia się szereg nawiązań do postulowanych działań reformatorskich lub „przebudowy modelu gospodarczego”, „polityki przemysłowej” itp. Autor nie wskazuje podmiotów, które miałyby te zadania wykonać. Można domniemywać, że są to władze państwowe. Niestety jednak wszystko wskazuje na to, że podmioty z taką agendą nie istnieją. Walka polityczna nie obejmuje bowiem obszarów tematycznych, o których tak ciekawie pisze w swojej książce profesor Alojzy Z. Nowak. Dlatego tym bardziej warto ją przeczytać.

Alojzy Z. Nowak, *Strategiczna zależność gospodarcza. Mit czy rzeczywistość*, Polskie Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 2025.



Ghost in the machine



W powieści George'a Orwella *Brak tchu* pojawia się postać przyjaciela głównego bohatera, w oczach którego na tym świecie nigdy nie ma nic nowego, gdyż każdy mechanizm polityczny czy społeczny, każde pozornie nieznanie wcześniej zjawisko stanowi powtórzenie zdarzeń i postaci z czasów starożytnych (bo też po prostu na tej epoce zna się najlepiej). Hitler (utwór powstał w 1939 roku) to dla niego po prostu kolejne wcielenie tyrana małej greckiej polis, co uniemożliwia mu dostrzeżenie zagrożenia, jakie przywódca ten stanowi dla jego ukochanej „starej, dobrej Anglii”. Coś podobnego obserwuję w opiniach wielu przedstawicieli średniego i starszego pokolenia na temat dynamicznego rozwoju sztucznej inteligencji: wyrabiają sobie wyraziste zdanie już po pierwszych, powierzchownych kontaktach. ChatGPT halucynował, zatem AI to humbug i ludzie prędzej czy później się zorientują. Odpowiedź DeepSeeka na dane pytanie była w miarę oczywista, więc to tylko taka wyszukiwarka i agregator, może trochę na sterydach. Albo w drugą stronę: niech duża część społeczeństwa, szczególnie z branży kreatywnej, co rychlej przekwalifikuje się na spawaczy czy hydraulików, bo ich akurat „ejaj” nie zastąpi...

Stoimy wciąż u progu rewolucji, nadal głównie rozpoznajemy teren. Narzędzia oparte na różnych odmianach AI zaczynają ujawniać rozmaite ograniczenia, ale to wciąż dopiero początek. Żeby mieć choć mgliste wyobrażenie, co może się w najbliższej przyszłości zmienić, warto znać nie tylko obecne wyniki korzystania z tych narzędzi (czyli właśnie halucynacje), ale przede wszystkim wiedzieć, jak sztuczna inteligencja naprawdę działa – w ogólnych, zrozumiałych dla laika zarysach duże modele językowe (LLM-y) i inne rodzaje AI nie są czarnymi skrzynkami. Jerry Kaplan umie wyjaśnić to na tyle przejrzysto, że jego książka jest dla każdego, kto chce wiedzieć, a jednocześnie na tyle szczegółowo, że pozwala mu na prognozowanie zmian w oparciu o znane już czytelnikowi mechanizmy; jest tym, kto stara się wyjaśniać, a nie wizjonerem czy prorokiem. Niektóre jego spostrzeżenia mogą być niepokojące, ale nigdy nie są katastroficzne.

Przy lekturze nie można się czasem oprzeć wrażeniu, że autor bagatelizuje niektóre problemy spoza jego specjalności (np. bezrobocie technologiczne w dłuższym horyzoncie czasowym jest chyba jednak poważniejszym problemem, niż mu się zdaje), ale znacznie istotniejsze są jego wskazówki co do potencjalnych zagrożeń płynących z wykorzystania AI w codziennym życiu, np. zalewanie mediów społecznościowych i innych kanałów informacyjnych samopowielającymi się treściami o zerowej wiarygodności czy nadmierne zaufanie do algorytmów w sądownictwie (co już dzieje się w Chinach). Zwraca też uwagę na nierozwiązane jak dotąd kwestie dotyczące możliwości popełniania przestępstw (a przynajmniej błędów skutkujących odpowiedzialnością karną lub inną) przez autonomicznie działające podmioty AI. Kogo należy wówczas pociągnąć do odpowiedzialności: twórcę narzędzia, osobę nim się posługującą, a może samo narzędzie? Czy w nieodległej przyszłości AI będzie ponosiła odpowiedzialność, ale także cieszyła się pewnymi prawami (np. nie będzie jej można po prostu wyłączyć czy skasować)?

Końcowe partie książki dotyczą kwestii filozoficznych, w tym regularnie (i na ogół powierzchownie) podnoszonej kwestii, czy sztuczna inteligencja może być świadoma? Kaplan potrafi przede wszystkim bez osuwania się w ogólniki wskazać, że może to być świadomość zupełnie innego typu niż nasza (i że generalnie nadmierne antropomorfizowanie AI bywa zwodnicze). Przyszłość to inna, płynna, dynamicznie zmienna codzienność, nie zaś kłójący hurraoptymizm lub kasandryczność wpędzająca w beznadzieję.

Marek Misiak

Jerry KAPLAN, *Generatywna AI. Wszystko, co warto wiedzieć*, tłum. Agnieszka Adamczyk-Karwowska, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2025.

„Supermoc Japan”



„Tak naprawdę cała ta Japonia jest czystym wymysłem” – twierdził Oscar Wilde w 1889 roku. I paradoksalnie słowa pisarza nie są dalekie od prawdy. Pojęcia „Japonia”, „japończyk” wymykają się ustalonym określeniom. Przesuwały się także granice terytorialne suwerennego państwa Nippon. Określenie „japońskość” zmienia się w zależności od kontekstu, a osoby uznawane za Japończyków ze względu na pochodzenie etniczne i narodowość mogą otrzymać miano „nie-Japończyków”, gdy ich zachowanie jest niezgodne z oczekiwaniami kulturowymi.

Ale skoro „Japonia” i „Japończyk” są pojęciami zmiennymi, niejednoznaczными, to co z „japońską kulturą popularną”, która przecież stała się ważną siłą w procesie globalizacji mediów rozrywkowych? E. Taylor Atkins pisze wprost, że jednym z celów jego pracy jest zestawienie czytelnika w niepewności co do tego, czym jest zarówno „Japonia”, jak i japońska kultura popularna. Czy zatem Oskar Wilde miał rację? A może właśnie ten „wymysł” stanowi „supermoc Japan”?

Atkins rozpoczyna od protopopkultury, czyli kultury popularnej okresu Edo. Wędrowni aktorzy wykonywali wówczas epickie pieśni lub wystawiali spektakle z gatunku „małpia muzyka” lub przedstawienia lalkowe. Akrobaci, treserzy małpek, „opowiadacze obrazków” i tancerki dostarczali rozrywki, a czasem wsparcia duchowego zwykłym ludziom. Mimo że istniała kultura „klasy wyższej”, *bushi* (wojownicy, samuraje) z wielką ochotą oddawali się mieszczańskiemu rozrywkowi, odwiedzali teatry i zabawiali się z gwiazdami estrady. Nie stronili też od *yūkaku*, czyli dzielnic przyjemności. Prostytutki żeńskie, męskie, aktorzy, dandysi, hulaki wszelkiej maści to postaci występujące w literaturze, dziełach plastycznych, piosenkach, spektaklach kabuki. Przyjemności ciała (seks, erotyczne eksperymenty, taniec, biesiady, pijaństwo etc.) opanowały wyobraźnię i gusta *chōnin* (mieszczanie) we wczesnej nowożytności. Najciekawsze jednak wydaje się to, że *yūkaku* tworzyły „przestrzenie liminalne”, znajdujące się „pomiędzy” strukturami relacji społecznych, w których reguły świata były odwrócone lub w ogóle nie obowiązywały. W książce znajdziemy mnogość owych „supermocy Japan”, które stanowią o sile przyciągania kultury japońskiej.

Opisywana przez autora tymczasowa liminalność doskonale wpisuje się w eufemizm, którym *chōnin* określali dzielnice przyjemności: *ukiyo* – „przepływający świat”.

To powracające i fascynujące „pomiędzy” można też zauważyć w rozdziale dotyczącym tajemniczych zjaw, widm, stworów, znanych pod wspólną nazwą *yōkai*. Wiara w ludzi zmieniających postać, którzy pod wpływem nastroju przeistaczają się w szkaradne potwory, wywoływała przerażenie, ale też wyjaśniała spotykające człowieka nieszczęścia i wyrażała nieufność wobec zwodniczego wyglądu. Współczesna manga i anime, przedstawiające cielesne przeobrażenia człowieka w zwierzęta, maszynę lub mężczyznę w kobietę i odwrotnie, czerpią z bogatego folkloru *obake* (nadprzyrodzone istoty) i dziedzictwa wyobrażeń wizualnych okresu Edo.

Praca Atkinsa wciąż fascynuje nie mniej niż kraj, który nam przedstawia. Odkrywa przed czytelnikami japoński teatr lalek, spektakle kabuki, cenzurę za rządów Meiji, skomplikowany system hierarchii prostytutek, rysunkową satyrę polityczną, *moga* i *mobo* jako ikony nowoczesności, pojęcie *modanizmu*, *bundan* (powieści detektywistyczne), *kawaisa* (słodkość). Pokazuje związek japońskiej kultury popularnej z imperializmem i mobilizację kultury na rzecz wojny. Jest też doskonałym przykładem na to, że pogłębiona analiza przedmiotu nie musi odbierać przyjemności obcowania z nią. A może to znów „supermoc Japan”?

Małgorzata Pawełczyk

E. Taylor ATKINS, *Historia kultury popularnej w Japonii. Od XVII wieku do współczesności*, tłum. Joanna Gilewicz, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2025.

Viva la revolution



Książka podzielona została na dwie części: *Minione rewolucje* i *Współczesne rewolucje*. W ramach części pierwszej Zakaria omawia XVII-wieczną historię Niderlandów (dzisiejsza Holandia), rewolucję francuską oraz rewolucję przemysłową w Wielkiej Brytanii i USA. Jak to się stało, że niewielkie państewko, kojarzone dzisiaj chyba głównie z tulipanami, kanałami i flamandzkim malarstwem, stało się być może najbogatszym państwem świata? Przyznam, że podrozdział dotyczący Holandii szczególnie przypadł mi do gustu, zapewne z powodu mojej

ograniczonej wiedzy w tym temacie.

Niejako tytułem wprowadzenia autor kreśli (tak w całej książce) ówczesne tło historyczne, bez którego obraz holenderskiej „rewolucji”, w sensie przemian gospodarczych i społecznych, nie byłby zrozumiały. Otóż w odróżnieniu od wielu europejskich państw XVII wieku, Holendrzy odrzucili monarchię absolutną, stawiając na ruchy oddolne i samoorganizowanie się społeczeństwa. Poszczególne miasta czy regiony funkcjonowały na zasadzie państw-miast, a problemy lokalne rozwiązywano na miejscu, unikając niepotrzebnej centralizacji. Do tego doszła tolerancja religijna oraz otwartość na wszystko, co nowe i przynosi pożytek szeroko pojmowanemu ogółowi. Teoretycznie ten niewielki kraj mógłby być jedynie wasalem wielkich potęg, a stał się hegemonem na polu gospodarki, finansjery i zamorskiego, kolonialnego handlu. Zakaria zestawia Holandię z dawną Republiką Wenecką, która po okresie świetności podupadła, stając się ofiarą własnego sukcesu.

Podobno rewolucja pożera własne dzieci, czego najlepszym przykładem jest Robespierre. Nie sposób było pominąć w tym zestawieniu Wielkiej Rewolucji Francuskiej, chociaż jej podłoże ideowe, rozwój i konsekwencje dla społeczeństwa były zgoła inne niż w Niderlandach. Można by rzec, że oprócz szczytnych haseł wniosła ona w życie Francuzów niewiele dobrego. Zdaniem autora tradycyjne społeczeństwo francuskie nie było jeszcze gotowe na postępowe hasła, jakie dyktatoriat starał się wdrażać siłą, a nie w wyniku powolnych reform i ewolucji społeczeństwa, jego samoświadomości, która legła u podstaw tak znakomicie zorganizowanego narodu holenderskiego.

Kolejnym rodzajem rewolucji musi być rzecz jasna ta przemysłowa, utożsamiana głównie z Wielką Brytanią, wiekiem pary i elektryczności, zmianą struktury społecznej, migracjami ze wsi do miast. Zakaria uaoacznia czytelnikowi jak wydarzenia religijne, historyczne i gospodarcze wiążą się z każdą rewolucją, stanowią jej podglebie lub efekt końcowy.

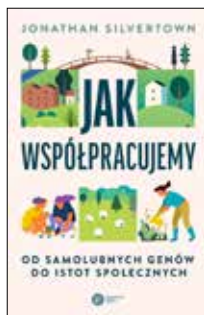
Druga część książki to rewolucje XX-wieczne lub te, których obecnie jesteśmy świadkami: globalizacja – na płaszczyźnie kulturowej, gospodarczej, politycznej i społecznej; geopolityczna – rosnąca pozycja Chin; tożsamościowa – społeczeństwa dobrobytu, zamożne i stabilne często szukają własnego ja, co może prowadzić do rozmaitych rewolt (europejscy studenci roku 1968, wystąpienia przeciwko wojnie w Wietnamie w USA). Chyba jednak największa i najszybsza rewolucja dotyczy zmian technologicznych związanych z internetem, mediami społecznościowymi oraz rozwojem AI – jej ostatecznego wpływu na społeczeństwa świata nie jesteśmy chyba jeszcze w stanie przewidzieć.

Zakaria podejmując niezwykle poważną tematykę, syntetyzuje, wysnuwa wnioski, daje pole do głębszych rozważań i przede wszystkim zacieka temat. Każda rewolucja ma ogromny wpływ na społeczeństwo, a jej dalekosiężne skutki mogą być odczuwalne nawet po kilku wiekach. *Czas rewolucji* nie wywraca do góry nogami dotychczasowego sposobu myślenia, nie powoduje intelektualnej rewolucji, ale nie mam wątpliwości, że jest jedną z ciekawszych pozycji, jakie dane mi było ostatnio czytać.

Jacek Hnidiuk

Fareed ZAKARIA, *Czas rewolucji. Postęp i opór od 1600 roku do współczesności*, tłum. Łukasz Muniowski, Wydawnictwo Przeźwycia, Warszawa 2025.

Ewolucja przez współpracę



Już w tytule książki widać nawiązanie do Richarda Dawkinsa i jego koncepcji „samolubnego genu”. Silvertown dopowiada, że geny są samolubne, jako że kierują się dążeniem do własnej replikacji. Nie znaczą to jednak, że nie współpracują. Otóż współpracują, tyle że w swoim własnym interesie. Książka poświęcona jest współpracy różnych gatunków: komórek, owadów, ptaków, ssaków, w końcu ludzi. Choć tym ostatnim autor, biolog ewolucyjny, poświęcił relatywnie mało miejsca, to książka powinna zainteresować i socjologów, i psychologów społecznych,

i politologów, a także wszystkich zainteresowanych życiem społecznym, gdyż ma charakter popularyzatorski i jest napisana przystępnym językiem.

„Będziemy analizować, czy reguły współpracy, z którymi stykamy się w codziennym życiu, są fundamentalnie takie same jak te stosujące się do innych gatunków, a także do współdziałania komórek w organizmie, wspólnego funkcjonowania różnych części w obrębie komórki oraz współpracy samolubnych genów w wytwarzaniu istot społecznych” – zapowiada autor. Siega po ciekawe przykłady: współpracy żołnierzy wrogich sobie armii w okopach pierwszej wojny światowej, piratów na pokładzie statku, organizacji ucieczki księcia Kropotkina z więzienia w Rosji czy chrząszczy grabarzy.

Ten ostatni przykład ilustruje jedną z sytuacji, w których współpraca ewoluuje w warunkach doboru naturalnego, przynosząc bezpośrednią korzyść kooperantom. Chrząszcze bowiem współpracują tylko wtedy, gdy leży to w ich indywidualnym interesie. Wspólnie zakopują zwłoki w celu zapewnienia pokarmu swojemu potomstwu. Współpracują, gdyż jeden osobnik nie zdoła szybko zakopać zwłok zwierzęcia samodzielnie. Obrona cennego zasobu przed rywalami, np. innymi padlinożercami, stanowi silną motywację do współpracy. Kooperacja między grabarzami ma więc charakter warunkowy, brak tu altruizmu. Działania, które na pierwszy rzut oka służą pożytkowi grupy, są podejmowane na korzyść jednostek.

Jedną z osi książki, w tle głównego tematu, są rozważania na temat natury dobra i zła. Znany jest dylemat dotyczący tego, czy człowiek jest z natury dobry i szlachetny, czy zły i samolubny. Czy brak kontroli w społeczeństwie skutkowałby walką każdego z każdym, nad czym musi panować żelazną ręką władca, jak uważał Hobbes? Czy też w swoim stanie naturalnym, nieskażeni przez cywilizację, jesteśmy szlachetnymi dzikusami, jak wyobrażał to sobie Rousseau. Najczęściej pada odpowiedź, i za nią podąża Silvertown, że każdy z nas jest zdolny zarówno do czynienia dobra, jak i zła. Tak czy inaczej, współpraca niejedno ma imię i choć na pierwszy rzut oka jest czymś pożądanym, mile widzianym i świadczącym dobrze o człowieku, są też naturalnie kooperacje fatalne w skutkach.

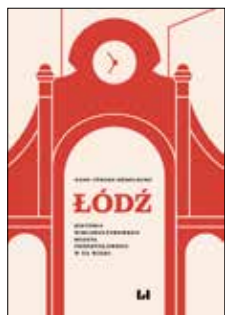
Przykładem „złej” współpracy było wytopienie bizonów w Ameryce Północnej. Jak pisze Silvertown, ta rzeź była – przynajmniej w części – elementem militarnej polityki Stanów Zjednoczonych, nastawionej na wymuszenie głodem uległości rdzennych Amerykanów, zwłaszcza niepokornionych Siuksów. Tymczasem, jak mówiły ofiary tego procederu, bizon dawał im wszystko: od pokarmu (mięso), przez narzędzia (rogi, kości), po okrycie i dom (skóra). Stanowił też ważny element kulturowy, był znaczącą częścią wierzeń. Jego wytopienie pociągnęło za sobą eliminację Indian.

Do współpracy może dochodzić w najmniej spodziewanych sytuacjach. Ma ona charakter warunkowy, tzn. pojawia się, kiedy jest się pewnym wzajemności, jeśli pozwalają na to zasoby, gdy pojawia się zewnętrzne zagrożenie lub gdy osobniki są spokrewnieni. Pewne jest za to, że życie nie mogłoby istnieć bez współpracy – przekonuje autor – ponieważ jego sednem jest zdolność do replikowania, a przez to ewoluowania.

Anna Jawor

Jonathan SILVERTOWN, *Jak współpracujemy. Od samolubnych genów do istot społecznych*, tłum. Dariusz Rossowski, Copernicus Center Press, Kraków 2025.

Wielokulturowa metropolia



Dotychczas nie ukazała się żadna kompleksowa publikacja o dziejach Łodzi XX stulecia. Prof. Bömelburg jest pierwszym badaczem, który podjął się stworzenia szczegółowej monografii miasta.

Jak wyglądała XX-wieczna Łódź? Można wyobrazić sobie zmęczone twarze pracowników wracających z nocnej zmiany. Fabryki zasnuwa smog dymu i pary, a przed osiedłami robotniczymi bawią się dzieci. Z jednej strony słysząc jidysz, z drugiej dźwięk dzwonów wzywających na mszę.

Łódź była bowiem wieloetnicznym miastem przemysłowym, zamieszkiwanym głównie przez Żydów, Polaków oraz Niemców. Mimo różnych podziałów powstała wówczas wspólnota pluralistyczna, która miała ulec rozpadowi na grupy narodowe już w latach trzydziestych. Jak podkreśla autor, celem opisu jest ukazanie różnych form budowania kulturowo zróżnicowanej społeczności w perspektywie ogólnoeuropejskiej. Z tego względu monografia skupia się na aspekcie wielokulturowości i wielojęzyczności, przedstawiając dokładny mechanizm współpracy i rozbieżności.

Przez pewien czas Łódź była metropolią włókienniczą. Zaletą publikacji jest opis życia codziennego mieszkańców, szczególnie robotników i robotnic. Warunki egzystencjalne były niewystarczające, szczególnie dla kobiet, padających ofiarą przemocy środowiska patriarchalnego. Tak więc publikacja dotyka także aspektów społecznych.

Na szczególną uwagę zasługuje segmentacja społeczna, która rozwinęła się pod wpływem reżimu nazistowskiego. Badacz unaocznia jak zmieniło się funkcjonowanie mieszkających po sąsiedzku Niemców, Polaków i Żydów, gdy jedni uzyskali przywileje, drudzy byli zmuszeni do podporządkowania się, a trzecich całkowicie pozbawiono praw. Trzy różne grupy społeczne funkcjonowały wśród eskalacji przemocy wynikającej m.in. z polityki rasowej, a każda z nich inaczej doświadczała wojennej rzeczywistości ze względu na odmienny status przyznany przez okupanta.

W wywodzie badacz uwzględni także powojenne przemiany. Łódź znalazła się w szczególnej sytuacji polityczno-społecznej, co ukazane jest dzięki analizie strategii władz PRL oraz realiów życia obywateli. Politycy starali się wykreować obraz Łodzi jako miasta robotniczego proletariatu, kreując wizerunek pracującej ludności jako symbol ideologii komunistycznej.

Bömelburg opisuje jak na przestrzeni lat miasto podległo pauperyzacji. Upadek przemysłu włókienniczego doprowadził do masowej likwidacji miejsc pracy, dzięki którym często zarabiała całe pokolenia robotników. Z miasta wielokulturowego, do którego migrowało wiele osób poszukujących zatrudnienia, Łódź stała się miejscem homogenicznym, z którego mieszkańcy uciekali.

Analiza oparta jest na bogatej bazie źródłowej. Autor przytacza m.in. relacje ludności, opinie badaczy oraz dokumenty archiwalne. Istotne są także ilustracje: plany, fotografie czy pocztówki. Opracowanie urozmaicają i zobrazowują nawiązania do tekstów kultury, np. twórczości Tuwima, Reymonta i Krasińskiego. Bömelburg słusznie podkreśla istotę *Ziemi obiecanej*, interpretując metaforę polipa.

Monografia jest rzetelną publikacją z wyjątkowym zapleczem badawczym. Na uznanie zasługuje umiejętne połączenie wielu perspektyw: społecznej, kulturowej, ekonomicznej, politycznej, urbanistycznej... Niemniej szczegółowość opracowania może przytłoczyć czytelnika spoza środowiska akademickiego. *Łódź. Historia wielokulturowego miasta przemysłowego w XX wieku* stanowi ważny wkład w badania nad historią miasta, wypełniając dotychczasową lukę badawczą.

Weronika Zuzanna Jabłońska

Hans-Jürgen BÖMELBURG, *Łódź. Historia wielokulturowego miasta przemysłowego w XX wieku*, tłum. Łukasz Marek Płes, Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego, Łódź 2024.

Jak pomalować ściany?



Oglądając malarstwo ścienne bardzo często nie zdajemy sprawy z tego, że twórca musi rozstrzygnąć trudny problem i podjąć decyzję, jak dostosować kompozycję do układu architektonicznego. Sprawa jest prosta jedynie na pozór, ponieważ niejako automatycznie przyjmujemy rozwiązania proponowane przez artystę i zdaje się, że mamy do czynienia z oczywistym ułożeniem kompozycji barwnej tak, jak układają się płaszczyzny (i krzywizny) ścian, filarów lub przekryć dachowych budynków.

Jednakże gdyby tak było, to tekst Ernsta Gombricha, jednego z najwybitniejszych badaczy dziejów sztuki, byłby po prostu zarysem historii dzieł tworzonych w technice al fresco. Jednakże ten tekst zachowuje świeżość i oryginalność właśnie dzięki postawionemu przez autora problemowi. Jest to, nota bene, kwestia stawiana już od dawna. Wielki Leonardo tłumaczył, że nie wolno ustawiać jednych scen figuralnych nad drugimi i że należy komponować dzieła ukazujące jedną scenę w jednej przestrzeni. Jak wskazuje autor, słowa da Vinciego odpowiadają arystotelesowskiej jednostce czasu, miejsca i akcji.

Jednakże w dziejach sztuki możemy zetknąć się z wielką liczbą arcydzieł, które nie stosują się do tej zasady. Esej *O freskach* zaczyna się od wspomnienia o wspaniałej historii Jana Chrzyciela namalowanej przez Ghirlandaia we florenckiej Santa Maria Novella. Trudno o wyraźniejsze zaprzeczenie koncepcji Leonarda niż ten zbiór pojedynczych scen, składający się w przestrzeni kaplicy w spójną całość. Trudno też zaprzeczyć, że jest to dzieło zapierające dech w piersi.

Tłumacząc ten niewątpliwie paradoks, Gombrich wskazuje na dwa nurty w malarstwie europejskim mające swe korzenie w sztuce starożytnych Greków. Z jednej strony są to przedstawienia postaci bądź wydarzeń będące właściwie symbolicznymi, niemalże piktograficznymi prezentacjami. Z drugiej są to rozbudowane historie, mające swe źródło w koncepcji mimesis, czyli naśladownictwie natury.

Skoro zatem artysta miał przedstawiać nie tylko co się wydarzyło, ale także jak się wydarzyło, to musiał tworzyć rozbudowane kompozycje ukazujące całe historie. I tutaj właśnie stajemy wobec problemu, jak owe rozbudowane (często wielopostaciowe) sceny dostosować do potrzeb fresku, czyli pokrycia powierzchni architektonicznej.

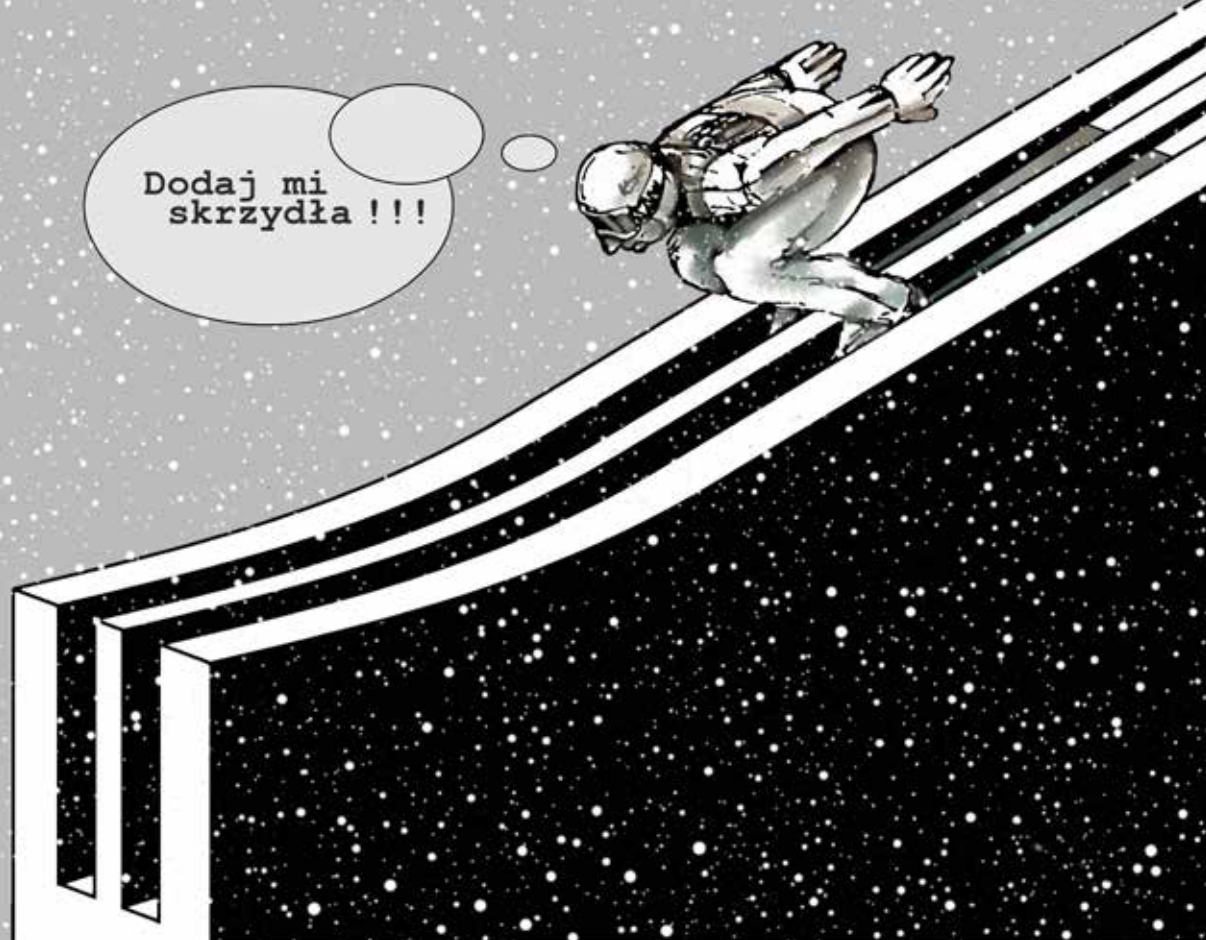
Tym bardziej, że sztuka renesansu ponownie odkryła cały ten koncept. Sztuka późnoantyczna oraz średniowieczna raczej trzymała się koncepcji „malarstwa piktograficznego” niż narracyjnego. Jednakże od czasu rozwoju kaznodziejstwa i wysiłku duchownych, aby wierni ożywiali w swoich umysłach i emocjach święte historie, był już tylko krok do renesansowego powrotu do sztuki klasycznej starożytności. Proces ten łączył się z wynalazkiem perspektywy, która ułatwiała tworzenie rozbudowanych kompozycji, w których historie nie tylko wciągały oglądającego, ale także, dzięki kunsztowi artysty, prowadziły wzrok widza zgodnie z malarskim założeniem.

Sztuka fresków w malarstwie europejskim rozwijała się czasami tworząc „zorganizowany chaos”, jak we wspaniałych iluzjonistycznych kompozycjach, które nawet nie tyle dostosowywały się do przestrzeni architektonicznej, co ją „rozbijały”, a nawet zdawały się ją niwelować i budować całe wielkie obszary poza ścianami zdobionej przestrzeni.

Z czasem wielu artystów odwróciło się od sztuki iluzji i dostosowało się z pełną surowością do układu architektonicznego. Co jednak w najmniejszym stopniu nie umniejszało podstawowego problemu, jaki stanowi kwestię rozważaną w eseju Gombricha.

Juliusz Gałkowski

Ernst GOMBRICH, *O freskach*, tłum. Małgorzata Trzebiatowska, Wydawnictwo Smak Słowa, Sopot 2025, seria: Sztuka i życie. Miniatury o Sztuce.



Krzysztof Goczyła

Siły i zamiary

Tegoroczna zima nam wszystkim dała się nieźle we znaki. Szczególnie jej dokuczliwość odczuli kierowcy, a to przecież znaczna część narodu. Co rusz w mediach pojawiały się relacje z mniejszych lub większych kolizji drogowych, z nawoływaniem do zachowywania ostrożności i umiaru w naciskaniu pedału przyspieszenia. Jedną z takich telewizyjnych relacji z dość poważnej kolizji drogowej przejęty reporter zakończył apelem, by kierowcy – cytując: „mierzyli siły na zamiary”. Przyznam się, że zdumiał mnie ten apel, gdyż dotychczas sądziłem, że popularne mierzenie sił na zamiary ma się dokładnie odwrotnie do apelu o zachowywanie ostrożności na drogach.

Sięgnijmy do źródła, a jest nim *Pieśń filaretów* – wiersz Adama Mickiewicza z 1820 roku, zaczynający się od cytowanego chętnie nie tylko przez wyznawców hedonizmu: „Hej, użyjmy żywota! Wszak żyjem tylko raz”. Zwrotka z owymi siłami i zamiarami brzmi w oryginale następująco:

„Cyrkla, wagi i miary
Do martwych użyj brył;
Mierz siłę na zamiary,
Nie zamiar podług sił”.

Tekst według czterotomowego wydania dzieł wszystkich naszego narodowego wieszczu, zatytułowanego *Adam Mickiewicz. Dzieła poetyckie* (Czytelnik, Warszawa, 1982). Starsi z Szanownych Czytelników pamiętają zapewne ogólnonarodowe zapisy na to, anonsowane jako pomnikowe, wydanie. Ukażało się, jak na tamte czasy przystało, w dość zgrzebną formie.

U mnie stoi dumnie na półce w specjalnie zamówionej twardej, pozłacanej oprawie, należytym dziełom Mickiewicza. W powyższej zwrotce warto zwrócić uwagę na oryginalne „siłę”, a nie „siły”, jak to się powszechnie słyszy.

Przesłanie płynące od młodego poety jest jasne: podejmujemy ambitne cele i nowe wyzwania, które z pozoru wydają się niewykonalne, i znajdujemy w sobie nowe siły do ich realizacji. Podobny wydźwięk niesie, pochodząca z tego samego okresu twórczości Mickiewicza *Oda do młodości*, ze swoimi chętnie cytowanymi apelami: „Młodości! dodaj mi skrzydła (...) ty nad poziomy wylatuj”. Przyznają Państwo, że nijak się to ma do zachowywania powściągliwości, w szczególności na drogach.

Wspomniany reporter, zapewne pod wpływem emocji, poszedł po linii najmniejszego oporu, przytaczając popularne powiedzenie, nie wniknąwszy w jego pierwotne znaczenie. Uważny Czytelnik spostrzeżł zapewne, że przy okazji przeoczyłem inny popularny frazeologizm, słyszany często w niepoprawnej formie z najmniejszą linią zamiast z najmniejszym oporem...

Tak czy owak: Drodzy kierowcy, pomimo polepszających się z każdym wiosennym dniem warunków na drogach i wbrew Mickiewiczowskiemu przesłaniu, nigdy nie mierzmy swojej siły na nierozważne zamiary, lecz zawsze mierzmy jakikolwiek drogowy zamiar podług naszych i naszego pojazdu realnych sił.

krissun@pg.edu.pl



20 lat Stowarzyszenia PR i Promocji Uczelni Polskich „PRom”

Fot. Łukasz Kamiński, Anna Wojnar, Arch.





Fot. Paweł Jaskółka



Akademickie Mistrzostwa Polski w pływaniu

Poznań, 27-29 marca 2026 r.

